



artefakty

# WALTER TEVIS

CZŁOWIEK,  
KTÓRY SPADŁ  
NA ZIEMIĘ



Walter Tevis

CZŁOWIEK, KTÓRY  
SPADŁ NA ZIEMIĘ

Przełożył Wojciech M. Próchniewicz

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2017

Tytuł oryginału: *The Man Who Fell to Earth*

Copyright © 1963 by Walter Tevis

Copyright for the Polish translation © 2017 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark  
Crayon

Nazwa serii: Vanrad

Redaktor serii: Andrzej Miskurka

ISBN 978-83-7480-764-7

Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228134743

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227213000

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

*Dla Jamie, która zna Anteę lepiej ode mnie.*

**1985:**

Ikar spada

# rozdział 1

Po przejściu dwóch mil dotarł do miasteczka. Na jego skraju stała tablica z napisem „Haneyville, 1400 mieszk.». Dobrze. Ilość w sam raz. Ciągłe jeszcze był dość wczesny ranek – wybrał taką porę na spacer do miasteczka, bo było chłodniej, a na ulicach jeszcze nie panował ruch. Przeszedł w słabym świetle przez kilka przecznic zdeorientowany obcością miejsca, spięty i nieco przestraszony. Starał się nie myśleć o tym, co chce zrobić. Już dosyć się o tym namyślał.

W okolicy pełnej drobnych sklepów znalazł to, czego chciał, maleńki sklepik pod nazwą „Szkatułka». Na rogu ulicy tuż obok stała zielona drewniana ławka. Podszedł do niej i usiadł cały obolały od trudów długiej wędrówki.

Dopiero parę minut później zobaczył pierwszą ludzką istotę.

Była to kobieta w bezkształtnej niebieskiej sukience, wyglądająca na zmęczoną. Człapała ku niemu ulicą. Zdumiony pośpiesznie odwrócił wzrok. Wyglądała jakoś nie tak. Spodziewał się, że będą mniej więcej jego wzrostu, tymczasem ona była o ponad głowę od niego niższa, a cerę miała o wiele ciemniejszą i bardziej czerwoną, niż się spodziewał. Cały jej wygląd, cała postać wyglądała dziwnie – mimo że zdawał sobie sprawę, że na żywo ludzie będą wyglądać inaczej niż w telewizji.

W końcu na ulicy pojawiło się więcej osób – a wszystkie mniej więcej przypominały tę pierwszą kobietę. Usłyszał uwagę rzuconą przez przechodzącego mężczyznę: „...mówiłem, takich

samochodów to już teraz nie robią...”, i choć wymowa była dziwna, o wiele mniej wyrażna, niż oczekiwał, zrozumiał te słowa bez trudności.

Kilka osób pogapiło się na niego, niektóre podejrzliwie – tym jednak w ogóle się nie przejął. Nie przewidywał, że ktoś go będzie zaczepiał, a jeśli nawet, to, poobserwowawszy innych, był przekonany, że jego ubranie przejdzie pobieżną kontrolę.

Gdy jubiler otworzył sklepik, odczekał dziesięć minut i wszedł do środka. Za ladą był jeden człowiek, mały, pulchny, w białej koszuli z krawatem. Przecierał półki. Przerwał, odrobinę dziwnie zerknął na niego i zapytał:

– Słucham pana?

Poczuł się niezdarny, zbyt wysoki. I nagle mocno przerażony. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Nic z siebie nie wydusił. Spróbował się uśmiechnąć, lecz twarz mu jakby zdrętwiała. Poczuł, gdzieś głęboko, pierwsze oznaki paniki; przez moment myślał, że zemdleje.

Człowiek wciąż na niego patrzył z niezmiennym wyrazem twarzy.

– Słucham pana? – powtórzył.

Wysiłkiem woli wykrztusił parę słów:

– Ja... tak się zastanawiam... czy byłby pan zainteresowany tym... pierścionkiem? – Ileż razy planował sobie to niewinne pytanie, ileż razy je sobie powtarzał? A i tak teraz zabrzmiało mu dziwnie, jak absurdalna zbitka bezsensownych sylab.

Tamten cały czas się na niego gapił.

– Jakim pierścionkiem? – zapytał.

– A. – Udało mu się zmusić do uśmiechu. Zsunął złoty pierścionek z palca lewej dłoni i położył go na ladzie, bojąc się dotknąć ręki jubilera. – Przejeżdżałem i... i zepsuł mi się samochód. Parę mil stąd. Nie mam przy sobie pieniędzy, więc pomyślałem, że może uda mi się sprzedać pierścionek. Jest dość cenny.

Człowiek obracał pierścień w palcach, patrząc nań podejrzliwie. Wreszcie zapytał:

– Skąd pan to wziął?

Ton, jakim jubiler to powiedział, brzmiał tak, że aż zaparło mu oddech. Coś jest nie tak? Kolor złota? Coś z diamentem? Spróbował się ponownie uśmiechnąć.

– Dostałem od żony. Parę lat temu.

Jubiler wciąż był nachmurzony.

– Skąd mam wiedzieć, czy nie jest kradziony?

– Aaa. No tak. – Ogromna ulga. – W środku jest moje nazwisko. – Wyciągnął portfel z wewnętrznej kieszeni. – Proszę spojrzeć w paszport. – Wyjął go i położył na ladzie.

Sprzedawca zerknął na pierścień i odczytał na głos:

– Dla T.J. na rocznicę ślubu. 1982, Marie Newton. – A potem: – Osiemnaście karatów. – Odłożył pierścionelek, wziął paszport i zaczął go kartkować.

– Anglia?

– Tak. Pracuję w ONZ-ecie jako tłumacz. Pierwszy raz tu jestem. Chciałem trochę pozwiedzać kraj.

– Mmm. – Jubiler znów spojrzał do paszportu. – Tak mi się wydawało, że mówi pan z innym akcentem. – Znalazł stronę ze zdjęciem, odczytał nazwisko. – Thomas Jerome Newton. – Po czym podniósł wzrok i dodał: – Dobrze. Wszystko w porządku. To pana imiona.

Uśmiechnął się ponownie. Tym razem uśmiech wyszedł bardziej rozluźniony, bardziej autentyczny, choć wciąż czuł się dziwnie, te zawroty głowy – cały czas czuł ogromny ciężar swego ciała, przygniatanego przez tutejsze ołowiane ciążenie. Udało mu się jednak przyjemnym tonem zapytać:

– Czyli jest pan zainteresowany?

\* \* \*



Dostał za niego sześćdziesiąt dolarów i dobrze wiedział, że dał się oszukać. Ale dostał coś cenniejszego niż pierścień, cenniejszego niż setki takich samych pierścieni, które miał ze sobą. Dostał pierwsze zaczątki pewności siebie – i dostał pieniądze.

Za część tych pieniędzy kupił ćwierć kilo kiełbasy, sześć jajek, chleb, parę ziemniaków, jakieś warzywa – w sumie chyba z pięć kilogramów jedzenia, tyle, ile był w stanie unieść. Wzbudził pewną ciekawość, ale nikt nie zadawał mu żadnych pytań, a on nie wyrywał się z nawiązywaniem rozmowy. Nic by to nie zmieniło – i tak nie zamierzał już wracać do tego miasteczka w Kentucky.

Opuszczając miasteczko, poczuł się całkiem dobrze, mimo niesionego ciężaru, mimo bólu stawów i pleców – poczynił bowiem pierwszy krok, udało mu się zacząć, miał przy sobie swoje pierwsze amerykańskie pieniądze. Lecz gdy znalazł się o milę dalej, idąc wśród nieużytków ku niskim pagórkom, gdzie krył się jego obóz, nagle wszystko zważyło się na niego w jednym miażdżącym szoku – nagromadzenie dziwności, niebezpieczeństw, ból, niepokój. Padł na ziemię i leżał tak dłuższą chwilę, a ciało i umysł protestowały przeciwko gwałtowi, który zadaje im to niesamowite, obce nieznanie miejsce.

Czuł się niedobrze, niedobrze od długiej, niebezpiecznej wyprawy, którą odbył, niedobrze od wszystkich tych leków – tabletek, szczepionek, inhalacji, niedobrze z niepokoju, wyczekiwania kryzysu, a jeszcze gorzej od nieznośnego własnego ciężaru. Od lat wiedział, że kiedy nadejdzie czas, kiedy w końcu wyląduje i zacznie wcielać w życie ów skomplikowany i pieczołowicie opracowany plan, poczuje się właśnie tak. To miejsce, choć dowiedział się o nim bardzo wiele, choć bez końca ćwiczył rolę, jaką miał tu odegrać, było tak obce

– czuł jego obcość, teraz, gdy już był w stanie coś czuć. Przytłaczająco obce. Położył się w trawie i wymiotował.

Nie był człowiekiem, niemniej bardzo człowieka przypominał. Miał prawie dwa metry wzrostu, jednak i ludzie miewają więcej, włosy białe jak u albinosa, choć twarz dość opalona, a oczy bladoniebieskie. Był nieprawdopodobnie szczupły, rysy miał delikatne, palce długie i smukłe, a skórę bezwłosą i niemal przejrzystą. Jego twarz miała w sobie coś nieomal elfiego, w dużych, inteligentnych oczach przebłyskiwały chłopięce figlarne iskierki, a białe kręcone włosy sięgały teraz nieco poniżej uszu. Robił wrażenie dość młodego.

Było też parę innych różnic. Na przykład paznokcie miał sztuczne, naturalnych nie posiadał w ogóle. Na stopach miał tylko po cztery palce, nie miał wyrostka robaczkowego ani zębów mądrości. Nie dostawał czkawki, bo jego przepona, podobnie jak cały układ oddechowy, była bardzo silna i mocno rozwinięta. Pierś potrafiła mu się rozszerzyć na wdechu niemal o trzynaście centymetrów. Ważył bardzo mało, około czterdziestu kilogramów.

Miał jednak rzęsy, brwi, przeciwstawne kciuki, stereoskopowe widzenie i tysiąc innych cech fizjologicznych normalnego człowieka. Był odporny na kurzajki, za to podatny na wrzody żołądka, odrę i próchnicę zębów. Był człekokształtny, człowiekiem jednak nie był. I podobnie jak człowiek, mógł przeżywać miłość, strach, dotkliwy fizyczny ból i żal nad samym sobą.

Po półgodzinie poczuł się lepiej. W żołądku wciąż mu się przewracało i miał wrażenie, że nie da rady unieść głowy; czuł jednak, że pierwszy kryzys minął i zaczyna bardziej obiektywnie patrzeć na świat wokół siebie. Usiadł i rozejrzał się. Był na paskudnym płaskim nieużytku, z rzadkimi kępami brązowej trawy, mietlicy, oraz splachetkami szklatego, na nowo

zamarzniętego śniegu. Powietrze było dość czyste, a niebo zaciągnięte, zatem łagodne rozproszone światło nie raziło go tak, jak oślepiające słońce sprzed dwóch dni. Po drugiej stronie zagajnika ciemnych i rachitycznych drzewek, nad niewielkim stawem stały dom i stodoła. Pomiedzy drzewami przeblyskiwała woda – na sam widok zaparło mu dech: taka ilość wody! Widział ją już w ciągu dwóch dni na Ziemi, ale wciąż jeszcze się do tego widoku nie przyzwyczaił. Kolejna rzecz, której się spodziewał, a i tak zdumiewała, gdy była widziana na własne oczy. Wiedział oczywiście o wielkich oceanach, jeziorach i rzekach, dowiedział się o nich jeszcze w dzieciństwie; mimo to sam widok takiej obfitości wody w jednym tylko stawie był zdumiewający.

Zaczynał dostrzegać piękno w tym obcym krajobrazie. Zupełnie nie tego kazali mu się spodziewać – jak odkrywał, dotyczyło to większości rzeczy na tym świecie – jednak stopniowo obce kształty, kolory, widoki i zapachy nabierały dlań uroku. I dźwięki – słuch miał bardzo czuły. Wychwytywał nieznane i przyjemne szmery i szelesty w trawie, odgłosy owadów, które przetrwały chłód początku listopada. Nawet teraz, z głową przytkniętą do ziemi, słyszał w jej głębi cichutkie, delikatne pomruki.

Nagle w powietrzu coś załopotalo, fala czarnych skrzydeł, a potem żałobne krakanie – w powietrze wzbilo się stado wron i przeleciało nad nim w głąb pola. Anteańczyk patrzył za nimi, aż stracił je z oczu. Uśmiechnął się. Okazuje się, że całkiem niezły będzie ten świat...

\* \* \*

Obóz założył w starannie wybranym jałowym miejscu, na opuszczonej odkrywce węglowej we wschodnim Kentucky. W promieniu paru mil nie było niczego poza gołą ziemią

i kępkami bladej trawy. Spod ziemi gdzieniegdzie wystawały smoliste skały. Pod jedną z takich skał rozbił namiot, prawie niewidoczny na jej tle. Był szary, zrobiony z czegoś przypominającego tkaną ukośnie bawełnę.

Gdy do niego dotarł, był niemal całkowicie wyczerpany i zanim wyjął z worka jedzenie, przez parę minut odpoczywał. Zrobił to ostrożnie, założywszy wcześniej cienkie rękawiczki. Rozłożył wszystkie produkty na małym składanym stoliku. Spod niego wyciągnął parę przyrządów i ułożył obok jedzenia. Przez chwilę patrzył na jajka, ziemniaki, seler, rzodkiewki, ryż, fasolę, kielbasę i marchewkę. Uśmiechnął się sam do siebie. Jedzenie wydawało się nieszkodliwe.

Po czym wziął małe metalowe urządzenie, wbił je jednym końcem w ziemniaka i przystąpił do analizy chemicznej...

Trzy godziny później zjadł marchewkę, na surowo, ugryzł też rzodkiewkę, od której zapiekło go w język. Jedzenie było dobre – nieziemsko dziwne, ale dobre. Potem rozpalił ogień, ugotował jajko i ziemniaka. Kielbasę zakopał – wykrył w niej parę aminokwasów, których nie był do końca pewien. W pozostałych produktach nie znalazł niczego groźnego, nie licząc wszechobecnych bakterii. Dokładnie tak, jak zakładali. Ziemniak, pomimo wszystkich tych węglowodanów, bardzo mu posmakował.

Czuł ogromne zmęczenie. Zanim położył się na pościeli, wyszedł jeszcze na zewnątrz, żeby zerknąć na miejsce, w którym dwa dni wcześniej, pierwszego dnia na Ziemi, zniszczył napęd i przyrządy swojego jednoosobowego pojazdu.

## rozdział 2

Słuchał koncertu klarnetowego A-dur Mozarta. Tuż przed finałowym allegretto Farnsworth podkręcił bas w obu przedwzmacniaczach, delikatnie zwiększył głośność i opadł ciężko w skórzany fotel. Lubił to allegretto z mocnym basem, przydawało klarnetowi rezonansu, od którego utwór jego zdaniem nabierał większego sensu. Wpatrzył się w przesłonięte firanką okno wychodzące na 5. Aleję; splótł pulchne palce i słuchał, jak muzyka narasta.

Kiedy skończył, a taśma się zatrzymała, zerknął na drzwi prowadzące do jego gabinetu i zauważył, że stoi w nich cierpliwa, wyczekująca gosposia. Zerknął na porcelanowy zegar na kominku i zmarszczył czoło. Potem spojrział na nią i zapytał:

– Słucham?

– Przyszedł pan Newton, proszę pana.

– Newton? – Nie znał żadnego bogatego Newtona. – Czego chce?

– Nie powiedział, proszę pana. – Lekko uniosła brew. – Dziwny człowiek. I wygląda na kogoś... bardzo ważnego.

Zastanawiał się przez moment i zdecydował:

– Niech wejdzie.

Gosposia miała rację, pan Newton wyglądał bardzo dziwnie. Wysoki, chudy, o białych włosach i delikatnych, drobnych kościach. Miał gładką skórę i chłopięcą twarz, za to oczy – bardzo dziwne, jakby bezbronne, nadwrażliwe, a jednocześnie emanujące wiekową mądrością i zmęczeniem. Był ubrany w kosztowny antracytowy garnitur. Podeszedł do fotela i usiadł,

ostrożnie, jakby dźwigał ogromny ciężar. Po czym spojrzał na Farnswortha i zapytał:

- Pan Oliver Farnsworth?
- Napije się pan czegoś?
- Wody, jeśli można.

Farnsworth w myślach wzruszył ramionami i wydał gosposi polecenie. A kiedy wyszła, zerknął na gościa i pochylił się ku niemu w geście powszechnie zrozumiałym jako pytanie: „Słucham, o co chodzi”?

Jednak Newton dalej siedział prosto, złożony na kolanach długie chude ręce. Zapytał:

– Rozumiem, że zna się pan na patentach? – W jego głosie słyhać było ślad obcego akcentu, a wymowę miał aż za dokładną, zbyt oficjalną.

Farnsworth nie był w stanie umiejscowić tego akcentu.

– Tak – odparł i dodał, cokolwiek obcesowo: – Panie Newton, ja mam określone godziny pracy.

Newton jakby tego nie usłyszał. Mówił łagodnie, ciepło.

– Rozumiem, że jest pan najlepszym ekspertem od patentów w całych Stanach Zjednoczonych. I że jest pan bardzo drogi.

– No tak, znam się na tym.

– To bardzo dobrze. – Sięgnął w bok i podniósł teczkę.

– A o co panu chodzi? – Farnsworth znów zerknął na zegar.

– Chciałbym z panem omówić pewne sprawy. – Wysoki mężczyzna wyciągał z teczki kopertę.

– Nie sądzi pan, że pora jest trochę późna?

Newton już otworzył kopertę. Teraz wyjął z niej cienki plik spiętych gumką banknotów. Uniósł wzrok i uśmiechnął się przyjacielsko.

– Może pan tu podejść i je wziąć? Bardzo trudno mi się chodzi. Te moje nogi.

Farnsworth, trochę zły, podniósł się z fotela, podszedł do wysokiego mężczyzny, wziął pieniądze, wrócił i usiadł

ponownie. To były tysiąc dolarówki.

– Jest ich dziesięć – powiedział Newton.

– Trochę to melodramatyczne, nie sądzi pan? – Wetknął plik do kieszeni domowej marynarki. – Za co mi pan płaci?

– Za dzisiejszy wieczór – odparł Newton. – Około trzech godzin pańskiego czasu tylko dla mnie.

– Ale na litość boską, czemu tak późno?

Tamten wzruszył nonszalancko ramionami.

– A, jest parę powodów. Przede wszystkim dyskrekcja.

– Mógłby pan kupić mój czas za mniej niż dziesięć tysięcy.

– Tak, ale chciałem także dać panu do zrozumienia... jak ważna jest ta rozmowa.

– No cóż. – Farnsworth rozparł się w fotelu. – Rozmawiajmy.

Chudy mężczyzna chyba się nieco rozluźnił, ale nie opadł na oparcie.

– Po pierwsze, chciałbym zapytać, ile rocznie pan zarabia?

– Ja nie mam stałej pensji.

– Rozumiem. To ile pan zarobił w zeszłym roku?

– No wie pan... Zresztą zapłacił pan za to. Mniej więcej sto czterdzieści tysięcy.

– Rozumiem. Można więc powiedzieć, że jest pan dość zamożny?

– Tak.

– Ale chciałby pan mieć więcej?

Robiło się to absurdalne. Jak tandetny program telewizyjny. Ale ten człowiek mu płacił, więc rozsądnie było na razie pozwolić mu kierować rozmową. Wyjął papierosa ze skórzanej papierošnicy i odpowiedział:

– Oczywiście, że tak.

Tym razem Newton nachylił się ku niemu.

– A dużo więcej? – zapytał z uśmiechem, zaczynając się dobrze bawić tą sytuacją.

To też wyglądało jak z telewizji, ale zaczynało się robić przekonujące.

– Tak – powiedział, a potem dodał: – Zapali pan? – Podsunął gościowi papierośnicę.

Białowłosy mężczyzna zignorował propozycję i powiedział:

– Panie Farnsworth. Mogę pana uczynić bardzo bogatym, jeśli byłby pan w stanie przez najbliższe pięć lat pracować wyłącznie dla mnie.

Farnsworth zachował pokerową twarz, zapalił papierosa, a mózg pracował mu jak szalony, rozkładając całą tę dziwną rozmowę na czynniki pierwsze, analizując mikroskopijne prawdopodobieństwo, że ten człowiek jest zdrowy na umyśle. Człowiek jednak, choć dziwny, ma pieniądze. Może lepiej jeszcze trochę z nim pogadać. Przyszła pokojówka, niosąc na srebrnej tacy szklanki i lód.

Newton ostrożnie wziął z tacy szklanekę wody, przytrzymał ją jedną ręką, drugą zaś wyjął z kieszeni pudełko z aspiryną, otworzył je kciukiem i wrzucił do wody jedną tabletkę. Rozpuściła się, tworząc biały, mętny roztwór. Przez chwilę przyglądał się szklance, po czym zaczął z niej bardzo powoli pić.

Farnsworth był prawnikiem i miał oko do szczegółów. Od razu zauważył, że coś jest z tą aspiryną nie tak – niby zwykłe pudełko, lek firmy Bayer, coś jednak mu się tu nie zgadzało. I Newton też dziwnie tę wodę pił, powoli, starając się nie uronić ani kropli, jakby była drogocenna. Poza tym woda zrobiła się nieprzezroczysta od jednej tabletki. To nie powinno tak być. Trzeba będzie potem sprawdzić, kiedy on pójdzie: wrzucić do wody jedną aspirynę i przekonać się samemu.

Zanim gosposia wyszła, Newton poprosił, aby podała Farnsworthowi jego teczkę. Potem z przyjemnością wypił kolejny łyk i odstawił wciąż prawie pełną szklanekę na stół.



– W tej teczce mam parę rzeczy, chciałbym, żeby je pan przeczytał.

Farnsworth otworzył teczkę, znalazł w niej gruby plik papierów, wyciągnął je i położył sobie na kolanach. Od razu zauważył, że papier jest dość osobliwy. Niezwykle cienki, twardy, a mimo to elastyczny. Kartka na wierzchu była pokryta głównie wzorami chemicznymi, elegancko wypisanymi niebieskawym atramentem. Przekartkował resztę: schematy elektroniczne, wykresy, schematy jakichś, na oko, urządzeń przemysłowych. Narzędzia, odlewy. Niektóre ze schematów wydały mu się znajome. Uniósł wzrok.

– Elektronika?

– Tak. Po części. Pan się na tym zna?

Farnsworth nie odpowiedział. Jeśli gość cokolwiek o nim wiedział, powinien też wiedzieć, że jako dowodzący zespołem prawie czterdziestu prawników stoczył co najmniej sześć batalii, od których zależał los jednego z największych na świecie koncernów produkujących elementy elektroniczne. Zaczął wczytywać się w dokumenty...

\* \* \*

Newton siedział wyprostowany w fotelu; jego białe włosy lśniły w świetle żyrandola. Uśmiechał się, choć bolało go całe ciało. Po chwili uniósł szklankę i zaczął popijać wodę, którą przez całe swoje długie życie uważał za najbardziej drogocenną z substancji. Popijał ją wolno i przypatrywał się czytającemu Farnsworthowi, a napięcie, jakie czuł, to starannie skrywane napięcie, wywołane przez kompletnie obcy gabinet na wciąż obcym świecie, przez tego grubego człowieka, z jego fałdami tłuszczu, napiętą skórą na łysej głowie, z małymi świńskimi oczkami – to napięcie powoli zaczynało z niego uchodzić.

Wiedział, że już go ma. Wiedział, że znalazł właściwą osobę na właściwym miejscu...

\* \* \*

Zanim Farnsworth podniósł wzrok znad papierów, minęły dwie godziny. Przez ten czas zdążył wypić trzy szklanki whiskey. Oczy miał czerwone w kącikach. Zamrugał, spojrzał na Newtona, w pierwszej chwili prawie go nie widząc, potem skupił na nim wzrok. Wytrzeszczył oczy.

– I jak? – zapytał wciąż uśmiechnięty Newton.

Grubas wziął głęboki wdech i pokręcił głową, jakby chcąc zebrać myśli. Gdy się odezwał, mówił cicho, z wahaniem, ostrożnie.

– Ja prawie nic z tego nie rozumiem. Niektóre rzeczy, może. Na optyce, filmach fotograficznych się nie znam. – Zerknął z powrotem na papiery, jakby chciał się upewnić, czy wciąż je ma. – Panie Newton, ja jestem prawnikiem – dodał. – Jestem prawnikiem. – Jego głos nagle nabrał energii, ożył, choć wciąż drżał, otyłe ciało i maleńkie oczka zaczęły emanować czujnością. – Ale na elektronice się znam. I na barwnikach. Chyba mniej więcej rozumiem ten pana... wzmacniacz, i ten telewizor, i... – Urwał na moment, zamrugał. – Rany boskie. To się chyba naprawdę da zrobić, tak jak tu jest narysowane. – Powoli wypuścił powietrze. – Wygląda to przekonująco. Na oko powinno działać.

Newton wciąż się do niego uśmiechał.

– Oczywiście, że to będzie działać. Wszystko, co tam jest.

Farnsworth wyciągnął papierosa i zapalił, żeby się uspokoić.

– Będę musiał to wszystko posprawdzać. Metale, układy... – Przerwał, ściskając papierosa w tłustych palcach. – Rany boskie, człowieku, pan wie, co to znaczy? Pan wie, że tu jest z dziewięć naprawdę fundamentalnych patentów? – Uniósł kartkę

w pulchnej dłoni. – Tylko tu, w układzie przesyłania obrazu, w tym prostowniku? Pan wie, co to oznacza?

Wyraz twarzy Newtona nie zmienił się.

– Tak, wiem, co to oznacza.

Farnsworth powoli zaciągnął się papierosem.

– Jeśli pan się nie myli, panie Newton... – dodał spokojniejszym tonem – jeśli pan się nie myli, to ma pan w garści RCA, Kodaka, nie wiem, może i Du Pont. Pan wie w ogóle, co tu siedzi?

Newton spojrział mu prosto w oczy.

– Wiem, co tam siedzi.

\* \* \*

Jazda do wiejskiego domu Farnswortha zajęła im sześć godzin. Newton starał się podtrzymać rozmowę, skulony w rogu tylnego siedzenia limuzyny, lecz gwałtowne przyspieszenia samochodu były zbyt dotkliwie bolesne dla jego ciała, już i tak obciążonego grawitacją, do której nie przyzwyczał się jeszcze przez wiele lat. Musiał więc powiedzieć prawnikowi, że jest bardzo zmęczony i musi odpocząć. Potem zamknął oczy, ułożył się tak, by miękkie siedzenie jak najbardziej podpierało mu grzbiet, i wytrzymał ból najlepiej, jak zdołał. W samochodzie było, jak dla niego, bardzo ciepło – jak w najgorętsze dni w domu.

W końcu, gdy minęli granicę miasta, szofer zaczął prowadzić bardziej płynnie, a bolesne szarpnięcia przy zatrzymywaniu i ruszaniu niemal ustały. Parę razy zerknął na Farnswortha. Prawnik nie spał. Siedział z łokciami na kolanach, cały czas wertując papiery, które od niego dostał. W małych oczkach lśniło skupienie.

Dom był ogromny, na odludziu, pośrodku wielkiego lasu. I dom, i drzewa wydawały się wilgotne: połyskiwały delikatnie

w szarym blasku poranka, który tak bardzo przypominał południe na Antei. Jak relaks dla jego nadwrażliwych oczu. Podobał mu się las, ten jego delikatny klimat życia, podobał mu się połysk wilgoci – świadomość wody i żyzności dla życia, które na Ziemi widziało się w takiej obfitości, nie wyłączając ciągłego owadziego cykania i trzeszczenia. Będzie się tu nieustannie zachwycał – w porównaniu z jego światem, suchym, pustym, bezdźwięcznym, złożonym z rozległych pustyń pomiędzy prawie opuszczonymi miastami, gdzie jedynym odgłosem było wycie zimnego, nieustannego wiatru, wyrażające cierpienie jego wymierającego plemienia...

Drzwi otworzył im służący, zaspany, w szlafroku. Farnsworth wyprawił go po kawę, a potem krzyknął jeszcze za nim, że ma przygotować pokój dla gościa i że przez co najmniej trzy dni nie będzie odbierać żadnych telefonów. Po czym zaprowadził Newtona do biblioteki.

Pokój był bardzo duży i urządony jeszcze kosztowniej niż gabinet w nowojorskim mieszkaniu. Farnsworth ewidentnie czytał najlepsze pisma dla bogatych mężczyzn. Pośrodku podłogi stała biała figura kobiety z misterną lirą. Dwie ściany pokrywały półki z książkami, na trzeciej wisiał duży obraz przedstawiający postać z religii, w której Newton rozpoznał Jezusa przybitego do drewnianego krzyża. Twarz na obrazie wstrząsnęła nim na moment – jej chudość i wielkie, przenikliwe oczy mogły należeć do Anteańczyka.

Po czym zerknął na Farnswortha, który mimo czerwonych oczu był teraz o wiele bardziej rozluźniony, rozpiął się w fotelu, złożywszy małe dłonie na brzuchu, i patrzył na gościa. Ich spojrzenia zetknęły się na krótką, wstydliwą chwilę. Prawnik odwrócił wzrok.

A po chwili spojrzał nań z powrotem i powiedział:

– No dobrze, to jakie ma pan plany?

Newton uśmiechnął się.

– Bardzo proste. Zarobić jak najwięcej pieniędzy. W jak najkrótszym czasie.

Twarz prawnika była bez wyrazu, za to w głosie zabrzmiała drwina.

– Ta pana prostolinijność jest wręcz elegancka – powiedział. – A jaką sumę pan sobie zaplanował?

Newton gapił się z roztargnieniem na kosztowne dzieła sztuki.

– A ile da się na tym zarobić, powiedzmy, w pięć lat?

Farnsworth zerknął na niego. Wstał. Poczłapał powoli do regału, pokręcił małymi gałkami. Z ukrytych gdzieś w pokoju głośników popłynęła muzyka skrzypcowa. Newton nie rozpoznawał melodii – była cicha i skomplikowana. Farnsworth, dalej regulując dźwięk, powiedział:

– To zależy od dwóch kwestii.

– Tak?

– Po pierwsze, jak uczciwie chce pan grać?

Newton skupił uwagę z powrotem na Farnsworcie.

– W stu procentach – powiedział. – Legalnie.

– Rozumiem. – Farnsworth chyba nie mógł wyregulować wysokich tonów tak, by mu odpowiadały. – Dobrze. Po drugie, jaki udział przewiduje pan dla mnie?

– Dziesięć procent zysku netto. Pięć procent udziałów we wszystkich spółkach.

Farnsworth gwałtownie oderwał palce od gałek wzmacniacza. Powoli wrócił na fotel i uśmiechnął się słabo.

– No dobrze. Panie Newton, wydaje się, że po pięciu latach będzie pan miał około... trzystu milionów dolarów.

Newton zastanawiał się przez chwilę.

– To nie wystarczy.

Farnsworth gapił się na niego przez długą minutę, z uniesionymi brwiami. W końcu zapytał:

– Na co nie wystarczy, panie Newton?

Wzrok Newtona stężał.

– Na pewien... projekt naukowy. Bardzo kosztowny.

– Raczej tak.

– Załóżmy – dodał wysoki mężczyzna – że dam panu proces rafinowania ropy naftowej o piętnaście procent bardziej wydajny niż najlepsze używane obecnie? Czy to pozwoli podnieść tę kwotę do pięciuset milionów?

– A da się ten... ten pana proces wdrożyć w rok?

Newton kiwnął głową.

– Za rok możemy prześcignąć Standard Oil Company, której, swoją drogą, raczej sprzedamy licencję.

Farnsworth znów wytrzeszczył oczy. Wreszcie powiedział:

– Jutro zaczniemy przygotowywać dokumenty.

– Świetnie. – Newton podniósł się sztywno z fotela. – To jutro porozmawiamy też dokładniej o warunkach. Właściwie najważniejsze są tylko dwa: te pieniądze mają być zdobyte uczciwie, a ja mam mieć możliwie minimalny kontakt z innymi ludźmi, oprócz pana.

Pokój gościnny był na górze. Przez chwilę myślał, że nie da rady wejść po schodach. Udało mu się jednak, stopień za stopniem, a Farnsworth dreptał obok niego, nie odzywając się. Potem, gdy zaprowadził go do pokoju, spojrzał mu w oczy i powiedział:

– Bardzo dziwny z pana człowiek. Mogę zapytać, skąd pan pochodzi?

Pytanie kompletnie go zaskoczyło, ale nie dał się zbić z tropu.

– Oczywiście – odparł. – Jestem z Kentucky.

Prawnik tylko nieznacznie uniósł brwi.

– Aha – powiedział.

Po czym odwrócił się i ciężko począpał korytarzem, który miał marmurową podłogę i odbijał echem jego kroki...

Pokój był wysoki i urządzony z przepychem. Zauważył telewizor wbudowany w ścianę naprzeciwko łóżka. Uśmiechnął

się ze znużeniem na myśl o oglądaniu telewizji – ale kiedyś będzie trzeba, żeby zobaczyć, jaki jest tu odbiór w porównaniu z Antea. Zresztą będzie zabawnie znów zobaczyć niektóre z tych programów. Sam zawsze lubił westerny, choć źródłem informacji dla jego sztabu, informacji, których musiał się potem nauczyć na pamięć, były głównie teleturnieje i niedzielne programy edukacyjne. Nie oglądał telewizji od... ile właściwie trwała podróż? Cztery miesiące. A na Ziemi był kolejne dwa – dwa miesiące zajęło mu zdobywanie pieniędzy, badanie bakterii chorobotwórczych, żywności i wody, doskonalenie akcentu, wczytywanie się w gazety i przygotowanie do kluczowej rozmowy z Farnsworthem.

Wyjrzał przez okno, popatrzył na już jaśniejący świat, na bladoniebieskie niebo. Gdzieś na tym niebie, być może właśnie tam, gdzie patrzył, była Antea. Zimny, umierający świat, lecz i tak będzie za nim tęsknił; za ludźmi, których kocha i których nie zobaczy jeszcze bardzo długo... Ale kiedyś to nastąpi.

Zaciągnął zasłony, a potem ostrożnie ułożył swe obolałe ciało na łóżku. Nie wiedział, kiedy uszły zeń wszystkie emocje – był teraz najzupełniej spokojny. Po paru minutach zasnął.

Obudziło go popołudniowe słońce – i choć raziło mu oczy, gdyż zasłony w oknie były prześwitujące, obudził się wypoczęty i zadowolony. Może sprawiło to miękkie łóżko, w porównaniu z tymi w obskurnych hotelach, gdzie się zatrzymywał, a może ulga, że wczoraj wieczorem się udało. Przez parę minut leżał w łóżku i myślał, potem wstał i poszedł do łazienki. Ktoś zapewnił mu elektryczną maszynkę do golenia, mydło, myjkę i ręcznik. Uśmiechnął się na ten widok; Anteańczycy nie mieli zarostu. Odkręcił kran w umywalce i patrzył przez chwilę, jak zawsze zafascynowany tą obfitością wody. Potem obmył twarz, nie mydłem – podrażniało mu skórę – lecz kremem ze słoiczka, który wyciągnął z walizki. Zażył, jak zawsze, swoje lekarstwa,

przebrał się i zszedł na dół, żeby wziąć się do pracy i zarobić pół miliarda dolarów.

\* \* \*

Wieczorem, po sześciu godzinach gadania i planowania, długo stał na balkonie swojego pokoju, rozkoszując się chłodnym powietrzem, i patrzył w czarne niebo. Gwiazdy i planety wyglądały dziwnie, migotały w gęstej atmosferze. Dobrze było tak na nie patrzeć, na ich nieznanym układach. O astronomii wiedział jednak niewiele i nie orientował się w ich układach – może poza Wielkim Wozem i paroma innymi gwiazdozbiorami. Wreszcie wrócił do pokoju. Dobrze byłoby wiedzieć, która z nich to Antea, ale nie był w stanie tego rozpoznać...



## rozdział 3

Pewnego osobliwie ciepłego wiosennego popołudnia profesor Nathan Bryce, idąc po schodach do swojego mieszkania na trzecim piętrze, znalazł na półpiętrze zwój kapiszonów. Przypomniawszy sobie wczorajsze huki na klatce schodowej i podniósł kapiszony z zamiarem spuszczenia ich w toalecie. Dopiero po chwili domyślił się, co to jest, bo zwój miał jaskrawożółty kolor. Kiedy Nathan Bryce był mały, kapiszony zawsze były czerwone, w takim specyficznym rdzawym odcieniu – i wydawało mu się, że to odpowiedni kolor dla fajerwerków i tym podobnych rzeczy. Najwyraźniej jednak teraz robili żółte, zresztą robili i różowe lodówki, i żółte aluminiowe kieliszki, i inne nielogiczne cuda. Ruszył dalej po schodach, spocony, myśląc teraz o chemicznych niuansach, potrzebnych, by wyprodukować kieliszki z cieniutkiego żółtego aluminium. Podejrzewał, że jaskiniowcy, którzy pili ze złożonych razem stwardniałych dłoni, radzili sobie całkiem nieźle bez tak skomplikowanej inżynierii chemicznej – tej aż bezbożnej w swej głębokości wiedzy o zachowaniu cząsteczek w przemysłowych procesach chemicznych – a on, Nathan Bryce, utrzymywał się z tego, że się na niej zna i opisuje ją w swoich pracach naukowych.

Zanim dotarł do mieszkania, zdążył o tych kapiszonach zapomnieć. O tylu innych sprawach musiał pamiętać. Na jego biurku, wielkim, porysowanym, dębowym, od sześciu tygodni w tym samym miejscu tkwił bezładny stos prac studentów. Aż strach było o nich myśleć. Obok biurka znajdował się

staroświecki, pomalowany na szaro kaloryfer, anachroniczny w czasach ogrzewania elektrycznego, a na jego szacownym żeliwnym parapecie leżał równie bezładny stos studenckich sprawozdań laboratoryjnych. Był tak wysoki, że prawie całkowicie zakrywał wiszącą nad kaloryferem grafikę Lasansky'ego. Wystawały tylko oczy pod ciężkimi powiekami – kojarzyły się, być może, ze zmęczonym bogiem nauki, zerkającym w niemej udręce na laboratoryjne sprawozdania. Tak przynajmniej pomyślał profesor Bryce, skłonny do drwiących fantazji. Zauważył także, że grafika – a przedstawiała brodatego mężczyznę – jedna z nielicznych interesujących rzeczy, jakie napotkał w ciągu trzech lat w tej zapyziałej dziurze na Środkowym Zachodzie, stała się niewidoczna wskutek pracy jego własnych studentów.

Na pustej stronie biurka stała maszyna do pisania, niczym kolejny bóg rzeczy pospolitych – gburowaty, przyziemny, nadmiernie wymagający bóg – wciąż trzymający w paszczy siedemnastą stronę pracy o wpływie promieniowania jonizującego na żywice poliestrowe, pracy, której nikt nie chciał, nikt nie szanował i która zapewne nigdy nie zostanie skończona. Spojrzenie Bryce'a omiotło ten ponury bałagan – rozrzucone kartki publikacji, niczym zbombardowane miasto domków z kart, niekończące się, przerażająco porządne studenckie równania utleniania, redukcji i przemysłowej syntezy groźnych kwasów; równie nudne, nudne prace o żywicach poliestrowych. Gapił się na nie, z rękoma w kieszeniach płaszcza, przez pełne trzydzieści sekund. Czarna rozpacz. Potem, ponieważ w pokoju było ciepło, zdjął płaszcz, cisnął go na obitą złotym brokatem kanapę, sięgnął pod koszulę, żeby podrapać się po brzuchu, i poszedł do kuchni zrobić kawę. Zlew był zawalony brudnymi retortami, zlewkami, słoiczkami i talerzami po śniadaniu – na jednym z nich zostało zaschnięte żółtko jajka. Patrząc na ten niemożliwy bałagan,

przez chwilę miał ochotę zawyc z rozpaczy; powstrzymał się jednak. Stał tylko nieruchomo przez minutę, a potem powiedział sam do siebie, na głos:

– Bryce, nieźle się zapuściłeś.

Znalazł w miarę czystą zlewkę, opłukał ją, wypełnił mieloną kawą, którą zalał gorącą wodą z kranu, zamieszał laboratoryjnym termometrem i wypił, gapiąc się ponad naczyniem na wielką, kosztowną reprodukcję *Upadku Ikara* Bruegla, wiszącą na ścianie ponad białą kuchenką. Świetny obraz. Obraz, który niegdyś uwielbiał, a teraz się po prostu do niego przyzwyczaił. Przyjemność, jaką mu sprawiał, była już tylko intelektualna: podobał mu się kolor, kształty, tak jak lubi obraz dyletant – przy czym doskonale wiedział, że to zły objaw, co więcej, że to poczucie jest w dużej mierze spowodowane czającymi się na biurku w sąsiednim pokoju stosami niesprawdzonych prac. Zrobiwszy kawę, powolnym, nabożnym tonem, bez krzty uczucia, zacytował mówiące o obrazie wersy z wiersza Audena:

*...delikatny i kosztowny okręt, z którego na pewno widziano  
Rzecz zdumiewającą, chłopca lecącego z nieba,  
Musiał żeglować dalej i płynął, gdzie trzeba*<sup>[1]</sup>.

Postawił na kuchence nieopłukaną zlewkę. Następnie podwinął rękawy, zdjął krawat i zaczął napełniać zlew gorącą wodą, patrząc, jak pod jej ciśnieniem wypiętrza się piana, niczym wielokomórkowa żywa istota, oko złożone wielkiego albinotycznego owada. Potem zaczął wkładać do tej piany, do gorącej wody pod spodem, brudne naczynia laboratoryjne. Znalazł zmywak i wziął się do pracy. Od czegoś trzeba było zacząć...

Cztery godziny później zebrał mu się mały stosik ocenionych prac i zaczął szukać w kieszeni gumki, by je spiąć. Właśnie

wtedy odkrył rolkę kapiszonów. Wyciągnął ją z kieszeni, przez chwilę trzymał w dłoni, a potem wyszczerzył się głupkowato. Nie strzelał z kapiszonów od trzydziestu lat – przed zamierzchłą epoką pryszczatej niewinności, kiedy to awansował z kapiszonów i Wierszy dla dzieci do olbrzymiego, poważnie wyglądającego zestawu Mały Chemik, który dostał od dziadka – ewidentny palec boży. Nagle pożałował, że nie ma pistoletu na kapiszony, że fajnie byłoby wystrzelać je wszystkie po kolei w tym pustym mieszkaniu. Potem jednak przypomniał sobie, że kiedyś, Bóg wie ile lat temu, zastanawiał się, co by się stało, gdyby podpalić całą rolkę kapiszonów od razu. Wspaniały, radykalny pomysł. Nigdy tego nie sprawdził. No cóż, to teraz jest ta chwila. Wstał, uśmiechając się, i poszedł do kuchni. Położył rolkę kapiszonów na kawałku gazy, gazę położył na trójnogu, polał odrobiną alkoholu z palnika, mrużąc pedantycznie „wymuszony zapłon”, wziął kawałek drewnianka, podpalił je zapalniczką i ostrożnie przytknął do kapiszonów. Rezultat zdumiał go i ucieszył: spodziewał się tylko nieregularnej serii „prrrt” i szarego dymu, otrzymał natomiast satysfakcjonujący ciąg głośnych „bum”. Co dziwne, z czarnego popiołu w ogóle nie unosił się dym. Pochylił się i powąchał czarną masę. Żadnego zapachu. Dziwne. Mój Boże, pomyślał, jak szybko to wszystko się dzieje! Jakiś inny biedny głupek, chemik, już zdążył wynaleźć substytut dla prochu strzelniczego. Przez chwilę zastanawiał się, co to może być, potem wzruszył ramionami. Może kiedyś się tym zajmie. Zatęsknił jednak za jego zapachem, przyjemnym, ostrym. Zerknął na zegarek. Wpół do ósmej. Na zewnątrz zapadał wiosenny zmierzch. Minęła pora kolacji. Poszedł do łazienki, umył ręce i twarz, kręcąc głową nad zapuszczoną siwizną w lustrze. Potem zdjął z wieszaka płaszcz, włożył go i wyszedł. Schodząc po schodach, machinalnie wypatrywał kolejnych kapiszonów. Nie dostrzegł ich jednak.

Po hamburgerze i filiżance kawy postanowił pójść do kina. Miał trudny dzień – cztery godziny laboratorium, trzy godziny wykładów, cztery czytania tych debilnych prac. Poszedł w stronę centrum, licząc, że trafi się jakiś film fantastycznonaukowy, o wskrzeszonych dinozaurach, z osłupieniem w ptasich mózdkach rozdeptujących Manhattan, albo o owadożernych najeźdźcach z Marsa, którzy przybyli zniszczyć cały ten świat (i daj im Boże zdrowie), żeby móc w spokoju zreć owady. Nic takiego jednak nie grali, zadowolił się więc musicalem – kupił popcorn i batonik, zasiadł w małej ciemnej sali, wyszukawszy sobie odosobnione miejsce. Zaczął jeść, żeby usunąć z ust posmak byle jakiej musztardy z hamburgera. Szła kronika filmowa, patrzył na nią tępo, z lekkim przerażeniem, jak zawsze. Pokazywano zamieszki w Afryce. Ile to już lat trwają te zamieszki w Afryce? Od połowy lat sześćdziesiątych? Jakiś polityk z Wybrzeża Kości Słoniowej groził użyciem „taktycznej broni wodorowej” przeciwko jakimś bezbronnym „wichrzycielom”. Bryce wiercił się w fotelu, wstydząc się za własną branżę. Wiele lat temu, jako bardzo obiecujący dyplomant, pracował przez chwilę przy projekcie pierwszej bomby wodorowej. I podobnie jak nieszczęsny stary Oppenheimer, już wtedy miał poważne wątpliwości. Kronika przeskoczyła na obrazy wyrzutni rakiet na brzegach rzeki Kongo, potem na wyścigi rakiet załogowych w Argentynie i wreszcie na nowojorską modę, pokazując odsłaniające piersi suknie dla kobiet i marszczone spodnie dla mężczyzn. Bryce nie mógł jednak zapomnieć o tych Afrykanach – ci poważni młodzi ludzie byli wnukami pokrytych pyłem ponurych grupiek rodzinnych na zdjęciach w „National Geographic”, przeglądanych w niezliczonych poczekalniach u lekarzy i w salonach szacownych krewnych. Przypomniawszy sobie obwisłe piersi kobiet i obowiązkową czerwoną chusteczkę na każdej barwnej fotografii. Teraz potomkowie tych ludzi ubierali się

w mundury, pokończyli wyższe uczelnie, pili martini i sami sobie robili własne bomby wodorowe.

Musical rozpoczął się feerią pstrokatych, wulgarnych kolorów, jakby samą ich siłą mógł zatrzeć wspomnienie o kronice. Miał tytuł *Historia Shari Leslie*, był nudny i hałaśliwy. Bryce próbował zatracić się w bezcelowym ruchu i kolorze, stwierdził jednak, że nie jest w stanie i musi się zadowolić biustami i długimi nogami występujących w filmie młodych kobiet. Samo to mogło ująć za rozrywkę, była to jednak rozrywka, która dla wdowca w średnim wieku mogła okazać się bolesna, a do tego bezproduktywna. Wierząc się, atakowany otwartą zmysłowością, skupił uwagę na samej fotografii – i wtedy uświadomił sobie, że techniczna jakość obrazu jest niesamowita. Kontury, szczegóły, choć wyświetlone na ogromnym perełkowym ekranie, wydawały się ostre jak na stykowej odbitce. Dostrzegłszy to, zamrugał i przetarł okulary chusteczką. Nie było wątpliwości: obraz był idealny. Na fotochemii odrobinę się znał; taka jakość wydawała się niemożliwa, nie na podstawie jego wiedzy o barwnikach i filmie z trzema emulsjami. Złapał się na tym, że pogwizduje z podziwu – dalszy ciąg musicalu obejrzał już z większym zainteresowaniem, rozkojarzając się tylko w chwilach, gdy któraś z różowych sylwetek zdejmowała stanik – nigdy nie przyzwyczyił się do takich rzeczy w kinie.

Potem, wychodząc z kina, zatrzymał się na moment, żeby popatrzeć na plakaty, ciekawy, czy mówią coś o technice reprodukcji koloru. Nie miał kłopotu ze znalezieniem tego – pomiędzy jaskrawymi reklamami wisiał afisz reklamujący „Nowe, sensacyjne kolory dzięki WORLDCOLOR. Poza tym ani słowa, nie licząc małego „R” w kółku, oznaczającego zastrzeżony znak towarowy, i drobnego druku pod spodem, „Zn. tow. zastrzeżony przez W. E. Corp.”. Poszukał w głowie słów pasujących do tego skrótu, mózg jednak uparcie tylko się

wygłupiał, podpowiadając mu Wściekłych Eunuchów, Włochate Enchilady, Wielkich Elektroników i Wszechświatowego Erosa. Wzruszył ramionami, wbił ręce w kieszenie spodni i ruszył wieczorną ulicą ku neonowemu sercu małego uniwersyteckiego miasteczka.

Niespokojny, trochę jakby podenerwowany, nie miał jeszcze ochoty wracać do domu i z powrotem gapić się na te niesprawdzone prace, stwierdził więc, że poszuka jednej ze studenckich piwiarni. Znalazł ją, mały pub „U Henry’ego”, artystowski lokalik z niemieckimi kuflami do piwa na witrynie. Był tam wcześniej, ale tylko z rana. To był jeden z jego aktywnie praktykowanych grzeszków. Po tym, jak osiem lat temu umarła mu żona (w wylizanym szpitalu, z półtorakilogramowym guzem w żołądku), stwierdził, że picie z rana ma pewne zalety. Odkrył, właściwie przypadkiem, że w szary, ponury poranek, poranek koloru zdechłej ostrygi, całkiem nieźle być delikatnie, acz konkretnie wstawionym i rozkoszować się własną melancholią. Trzeba to było jednak praktykować z chemiczną dokładnością, w razie błędu mogły się wydarzyć bardzo złe rzeczy. Bezimienne urwiska, z których można było spaść, a w szare dni jeszcze do tego uzalanie się nad samym sobą i poczucie krzywdy podgryzające z boku, jak niezawodna mysz, miłą falę porannego rauszu. Był jednak mądrym człowiekiem i miał świadomość tych problemów. Tak jak przy morfinie, wszystko zależało od odpowiedniego dawkowania.

Otworzył drzwi Henry’ego. Przywitała go stłumiona męka szafy grającej, która zdominowała środek sali, pulsując basami i czerwonym światłem, niczym chore i rozkołatane serce. Wszedł, trochę niepewnie, pomiędzy rzędy plastikowych łóż, z rana pustych i bezbarwnych, teraz wypchanych studentami. Niektórzy coś zawzięcie mamrotali – wielu było modnie niechlujnych i brodatych – niczym anarchiści ze sztuk teatralnych albo „agenci wrogich sił” ze starych filmów z lat

trzydziestych. A pod brodą? Kto? Poeci? Rewolucjoniści? Jeden z nich, który był u niego na chemii organicznej, pisywał do studenckiej gazetki o wolnej miłości i „rozkładającym się truchle etyki chrześcijańskiej zatruwającym krynice życia”. Bryce kiwnął mu głową, a chłopak rzucił mu zażenowane spojrzenie znad groźnej brody. Przeważnie to wszystko wiejskie dzieciaki z Nebraski i Iowy, teraz nagle podpisujące petycje rozbrojeniowe i dyskutujące o socjalizmie. Przez chwilę poczuł się nieswojo – stary zmęczony bolszewik w tweedowym płaszczu pośród nowej klasy.

Znalazł sobie wąskie miejsce na końcu baru i zamówił piwo u kobiety o siwiejących włosach, w okularach w czarnych oprawkach. Nigdy wcześniej jej tu nie widział, z rana przeważnie obsługiwał go miłkiwy i drażliwy starszy facet imieniem Arthur. Może to jego żona? Biorąc piwo, uśmiechnął się do niej niewyraźnie. Wypił je szybko, czując się nieswojo, chciał wyjść. Z szafy grającej, znajdującej się teraz za jego głową, dobiegła folkowa ballada, z brzęczącą metalicznie cytrą. *Oh Lordie, Pick a Bale of Cotton! Oh Lordie...* Siedząca obok niego przy barze biała dziewczyna gadała do drugiej, smutnookiej, o „strukturze” poezji i pytała ją, czy wiersz „działa”. Bryce wzdrygnął się na samą myśl. Czemu, do cholery, te dzieciaki są takie wszystkowiedzące? Potem jednak przypomniał sobie, jak sam gadał, przez rok, kiedy studiował filologię angielską: „poziomy znaczeń”, „problem semantyczny”, „poziom symboliczny”. No cóż, wiedzę i głębokie przemyślenia dawało się łatwo i bez wysiłku zastępować fałszywymi analogiami. Dopił piwo, a potem, nie wiedząc dlaczego, zamówił kolejne, chociaż chciał wyjść, odciąć się od tego jazgotu i pozerstwa. Nie jest czasem zbyt niesprawiedliwy dla tych dzieciaków? Nie jest nadętym bufonem? Młodziaki zawsze głupio wyglądają, nabierają się na pozory – jak wszyscy zresztą. Już lepiej, że zapuszczają brody, niżby mieli wstępować



do stowarzyszeń studenckich czy klubów dyskusyjnych. I tak niedługo dowiedzą się wszystkiego o tępym debilizmie, kiedy pokończą studia, ogolą się i zaczną szukać pracy. A może i tu się myli? Jest pewna szansa, że niektórzy z nich zostaną następnymi stuprocentowymi Ezrami Poundami, nigdy nie zgołą brody, staną się błyskotliwymi i głośnymi faszystami, anarchistami, socjalistami, umrą w jakimś europejskim mieście, o którym nikt nigdy nie słyszał, jako autorzy świetnych wierszy, malarze znaczących obrazów, bez pieniędzy i ze sławą dopiero po śmierci. Wypił piwo i wziął jeszcze jedno. Kiedy je pił, przed oczyma znów stanął mu filmowy plakat i olbrzymie słowo „Worldcolor”. Przyszło mu do głowy, że to „W” w „W. E. Corp.” może oznaczać właśnie Worldcolor. Albo może World, Świat. Wszechświat. Wszechświatowy. A „E”? *Ekshibicjonizm? Erotyzm? Eliminacja?* Albo, uśmiechnął się ponuro, *Exodus?* Rzucił mądry uśmiech dziewczynie w czerwonej kurtce obok, która mówiła teraz o „fakturze” języka. Nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. Spojrzała nań podejrzliwie, ciemne oczy spoważniały. Wtedy poczuł, że coś go zabolalo: była bardzo ładna. Przestał się uśmiechać, ekspresowo dopił piwo i ruszył do wyjścia. Po drodze jego student chemii organicznej, ten brodaty, rzucił: „Dobry wieczór, panie profesorze” bardzo ugrzecznionym tonem. Bryce kiwnął mu głową, coś wymamrotał i przecisnął się przez drzwi, wychodząc na ciepły wieczór.

Była jedenasta, nie miał jednak ochoty wracać do domu. Przez chwilę myślał, czy nie zadzwonić do Gelbera, jedyne go przyjaciela, którego miał wśród profesorskiego grona, zdecydował jednak, że nie. Gelber był sympatyczny, ale nie miał mu w tej chwili nic do powiedzenia. O sobie nie chciał mówić – o swoich lękach, tandetnych żądach, o okropnym i głupim życiu. Poszedł dalej.

Tuż przed północą zatrzymał się w jedynym w całym miasteczku całodobowym drugstorze, pustym, nie licząc starszego sprzedawcy za błyszczącą plastikową witryną z kanapkami. Usiadł, zamówił kawę, a gdy wzrok przyzwyczał mu się do fałszywego blasku świetlówek, zaczął z nudów rozglądać się po półkach, czytając napisy na fiolkach z aspiryną, akcesoriach fotograficznych, paczkach maszynek do golenia... Mrużył oczy, rozbolała go głowa. Od piwa, od tego światła... Spray do opalania, kieszonkowe grzebyki. Nagle coś przykuło jego uwagę. Worldcolor. Film fotograficzny, 35 mm – na każdym małym, prostokątnym niebieskim pudełeczku, zaraz obok grzebieni, tuż pod obcinaczami do paznokci. Zdumiało go to, choć nie wiedział dlaczego. Sprzedawca stał niedaleko. Bryce odezwał się nagle.

– Pan mi pokaże ten film.

Sprzedawca zmrużył oczy – jego też raziło światło? – i zapytał:

– Jaki film?

– Ten kolorowy. Worldcolor.

– Aaa. Ja nie...

– Tak, oczywiście. – Zdziwił się niecierpliwością we własnym głosie. Nie miał zwyczaju przerywać ludziom.

Starszy człowiek zmarszczył nieco czoło, a potem poczłapał za ladę i wyciągnął jedno pudełeczko z filmem. Położył je na blacie przed Bryce'em, z teatralną stanowczością, nic nie mówiąc.

Bryce podniósł je i wczytał się w napisy. Pod wielkimi literami, drobniejszy tekst głosił: „Idealnie zrównoważony film barwny bez ziarna”. A pod spodem: „Czułość ISO od 200 do 3000, zależnie od wywołania”.

Jezus! – pomyślał – to niemożliwe, taka czułość? I jeszcze zmienna?

Podniósł wzrok na sprzedawcę.

– Ile kosztuje?  
– Sześć dolarów. Za trzydzieści sześć klitek. Dwadzieścia klitek – dwa siedemdziesiąt pięć.

Zważył opakowanie w dłoni. Dość lekkie.

– Sporo, prawda?

Starszy pan skrzywił się zirytowany.

– Nie bardzo, bo wywołanie nic nie kosztuje.

– A, rozumiem. Oni wywołują. Jest koperta, się wysyła... – Urwał. Co za głupia rozmowa. Ktoś wymyślił nowy typ kliszy. Co go to obchodzi, przecież nie jest fotografem.

Sprzedawca po chwili dodał:

– Nie. Sam się wywołuje.

– Sam co?

– Sam się wywołuje. Proszę pana. Kupuje pan ten film czy nie?

Nie odpowiedziawszy, obrócił pudełeczko w dłoni. Na obu końcach dumnie widniało to samo hasło. „Samoczynne wywoływanie”. Zdumiał się. Czemu nie przeczytałem o tym w chemicznych publikacjach? Zupełnie nowy proces...

– Tak – rzucił machinalnie, patrząc na etykietkę. Na samym spodzie, drobnymi literami: „W. E. Corp.”. – Tak, poproszę. Wyciągnął portfel i podał mężczyźnie sześć zmiętych banknotów. – A jak to działa?

– Wsadza się z powrotem do puszki. – Sprzedawca wziął pieniądze. Wyglądało na to, że trochę go uspokoiły.

– Do puszki?

– Do puszki, w której jest na początku. Jak zużyje pan całą kliszę, wsadza pan kasetkę z powrotem do puszki. Potem trzeba nacisnąć taki guziczek na puszcze. Wszystko tam jest napisane. W środku jest instrukcja. Naciska się raz, dwa razy, albo więcej, zależy od tej tak zwanej czułości. I to wszystko.

– Aha. – Wstał, nie dopiwszy kawy, włożył pudełeczko ostrożnie do kieszeni płaszcza. Wychodząc, zapytał sprzedawcę:

– Dawno to jest w sprzedaży?

– Ten film? Może ze dwa, trzy tygodnie. Świetnie działa. Masę tego sprzedajemy.

Poszedł prosto do domu, rozmyślając o tym filmie. Jak to możliwe, żeby coś było takie proste i takie dobre? Machinalnie wyjął opakowanie z kieszeni, otworzył, podważając kciukiem. W środku była niebieska metalowa puszczałka, z wystającym czerwonym przyciskiem. Otworzył ją. Zawinięta w instrukcję, zwyczajnie wyglądająca kasetka z filmem małoobrazkowym. Dokładnie pod guzikiem na kasetce dostrzegł coś wyglądającego jak mała kratka. Przesunął po niej paznokciem. W dotyku przypominała porcelanę.

W domu wygrzebał z szuflady staroświecki aparat Argus. Zanim włożył do niego kasetkę z filmem, wywlókł z niej ze trzydzieści centymetrów kliszy, prześwietlając ją, i oddał ten kawałek. Był szorstki w dotyku, zupełnie nie śliski jak typowa emulsja. Resztę włożył do aparatu i szybko ponaświetlał, fotografując co popadnie – ściany, kaloryfer, stos papierów na biurku, wszystko w słabym świetle, ustawivszy aparat na czułość 800. Kiedy skończył, wywołał film w kasetce, naciskając przycisk osiem razy. Otwierając potem kasetkę, powąchał ją. Wydostał się z niej bladoniebieski gaz o ostrym, nieznanym zapachu. W środku nie było żadnej cieczy. Wywoływanie gazem? Pośpiesznie wyciągnął kliszę z kasetki, i unosząc ją do światła, dojrzał szereg idealnych slajdów, ostrych, ze znakomitym, realistycznym kolorem. Gwizdnął i powiedział:

– A niech to.

Po czym wziął oba kawałki kliszy i poszedł z nimi do kuchni, gdzie zaczął rozstawiać rzędy zlewek do szybkiej analizy i szukać sprzętu do miareczkowania. Złapał się na tym, że rzucił się w gorączkowy wir pracy, nie zastanowiwszy się wcześniej, co go tak strasznie w tym filmie zaniepokoiło. Coś nie dawało mu spokoju, lecz on nie zwracał na to uwagi – był zbyt zajęty...

\* \* \*

Pięć godzin później, o szóstej rano, gdy za oknem już szarzało i rozkrzyczały się ptaki, opadł ciężko na kuchenny fotel, trzymając w ręce mały kawałek błony. Wszystkiego nie sprawdził, ale spróbował dość, by przekonać się, że klisza nie zawiera żadnych konwencjonalnych światłoczułych substancji, żadnych soli srebra. Usiadł i przez parę minut patrzył przed siebie zaczerwienionymi oczyma. Potem wstał, ze znużeniem poczłapał do sypialni i padł, na wpół wyczerpany, na niepościelone łóżko. Zanim zasnął, w ubraniu, z dręcymy się za oknem ptakami, ze wstającym powoli słońcem, powiedział głośno kpiącym, chrypliwym tonem:

– To musi być jakaś zupełnie nowa technologia... ktoś coś wykopał w ruinach Majów albo przywiózł z innej planety...

---

1 W.H. Auden, *Muzeum Sztuk Pięknych*, tłum. J.M. Rymkiewicz (przyp. tłum.).

## rozdział 4

Chodnikami szły w obie strony rozfalowane tłumy śpieszących się ludzi w wiosennych ubraniach. Wydawało się, że wszędzie jest pełno młodych kobiet, stukających wysokimi obcasami (słyszał je nawet z auta), ubranych kolorowo, niesamowicie jaskrawo w silnym porannym słońcu. Cieszył go widok ludzi i kolorów – choć wciąż raziły jego nadwrażliwe oczy – powiedział więc kierowcy, żeby jechał wolno przez Park Avenue. Dzień był piękny, pierwszy naprawdę słoneczny dzień jego drugiej wiosny na Ziemi. Rozparł się uśmiechnięty na specjalnie zaprojektowanych poduszkach tylnego fotela, a samochód sunął powoli i gładko do centrum miasta. Artur, jego kierowca, był bardzo dobry – wybrali go specjalnie pod kątem płynności jazdy, umiejętności utrzymywania szybkości i unikania gwałtownych manewrów.

W środku miasta skręcili w 5. Aleję i podjechali pod budynek, w którym kiedyś mieściło się biuro Farnswortha, a teraz z boku widniał mosiężny szyld, oznajmiający dyskretnie wypukłymi mosiężnymi literami: „World Enterprises Corporation”. Newton przyciemnił przeciwsłoneczne okulary dla ochrony przed blaskiem na zewnątrz i wysiadł z limuzyny. Zatrzymał się na chodniku, przeciągnął, czując na twarzy słońce – delikatnie ciepłe dla ludzi wokół, dla niego przyjemnie gorące.

Artur odsunął szybę i zapytał:

– Mam czekać, proszę pana?

Przeciągnął się po raz drugi, rozkoszując się słońcem i powietrzem. Prawie przez miesiąc nie wychodził

z mieszkania.

– Nie – powiedział. – Zadzwońię po ciebie. Ale raczej do wieczora nie będę cię potrzebował, jeśli chcesz, możesz pójść sobie do kina.

Wszedł głównym wejściem, minął rzędy wind i dotarł do specjalnej windy na końcu holu, gdzie już czekał na niego wyprężony windziarz w nieskazitelnej liberii. Newton uśmiechnął się pod nosem – wyobrażał sobie te fale poleceń kłębiące się tu dzień wcześniej, po tym, jak zadzwonił i uprzedził ich, że nazajutrz przyjedzie do biura. Nie zaglądał do firmy od trzech miesięcy. W ogóle rzadko opuszczał mieszkanie. Windziarz przywitał go wyćwiczonym, nerwowym:

– Dzień dobry, panie Newton.

Uśmiechnął się do niego i wsiadł do windy.

Zawiozła go powoli i bardzo płynnie na siódme piętro, gdzie wcześniej mieściła się kancelaria Farnswortha. Farnsworth czekał na niego przy windzie. Był ubrany jak przemysłowy magnat, w szary jedwabny garnitur; na grubym i wypielegnowanym palcu połyskiwał wielki czerwony kamień.

– Świetnie wyglądasz – powiedział, ostrożnie ujmując jego dłoń. Był spostrzegawczy, na pewno zauważył, i to szybko, że Newton krzywi się przy każdym intensywniejszym dotyku.

– Dziękuję, Oliver. Wyjątkowo dobrze się czuję.

Farnsworth poprowadził go korytarzem przez cały biurowiec, aż do biura z tablicą „W. E. Corp.”.

Minęli stadko sekretarek, które z szacunku umilkły, kiedy przechodzili, i weszli do gabinetu Farnswortha, z mosiężnym napisem „O.Y. Farnsworth, prezes” na drzwiach.

Gabinet był urządony tak samo jak przedtem, z różnorodnością rokokowych mebli zdominowanych przez gigantyczne, absurdalnie wręcz ozdobne biurko w stylu Caffieriego. Jak zawsze, wypełniała go muzyka, tym razem jakiś utwór na

skrzypce. Był nieprzyjemny dla ucha Newtona. Nie odezwał się jednak.

Pokojówka przyniosła im herbatę. Przez parę minut gawędzili o błahostkach – Newton nauczył się lubić herbatę, choć musiał ją pić letnią – a potem zaczęli rozmawiać o sprawach firmy, o rejestracji firm w sądach, o organizacji i reorganizacji rad nadzorczych, o holdingach, o grantach, licencjach, koncesjach i prawach własności, o finansowaniu nowych fabryk i zakupach starych, o rynkach, cenach i wahaniach zainteresowania konsumentów siedemdziesięcioma trzema produktami, które wytwarzali – antenami telewizyjnymi, tranzystorami, filmami fotograficznymi i wykrywaczami promieniowania, o trzystu z hakiem patentach, które licencjonowali innym firmom, od procesu rafinacji ropy naftowej po nieszkodliwy zastępnik prochu strzelniczego używany w zabawkach dla dzieci. Newton doskonale zdawał sobie sprawę, jakie zdumienie budzi u Farnswortha swoją doskonałą orientacją we wszystkich tych kwestiach – powtarzał sobie, że mądrzej byłoby parę razy umyślnie popełnić błąd przy podawaniu jakichś szczegółów czy liczb. Mimo to było to przyjemne i ekscytujące – choć wiedział, że to tania próżność – wykorzystywać anteański umysł do takich kwestii. Całkiem jakby któryś z tych ludzi – zawsze myślał o nich per „ci ludzie”, choć zdążył już ich polubić, podziwiał ich nawet – zaczął obcować z grupą niezwykle bystrych i pomysłowych szympanów. Lubił ich, choć typowo ludzka próżność sprawiała, że nie mógł się oprzeć łatwej przyjemności popisywania się przed nimi wyższością swojego umysłu. Jednak, mimo że sprawiało mu to wielką frajdę, musiał pamiętać, że ci ludzie są o wiele groźniejsi od szympanów – i od tysięcy lat żaden nie widział niezakamuflowanego Anteańczyka.



Rozmawiali dalej, póki pokojówka nie przyniosła im lunchu – dla Farnswortha kanapki z kurczakiem na zimno i butelka reńskiego wina, dla Newtona – ciasteczka owsiane i szklanka wody. Odkrył, że płatki owsiane są wyjątkowo lekkostrawne dla jego specyficznego organizmu, i jadał je bardzo często. Jeszcze przez dłuższy czas rozmawiali o skomplikowanych mechanizmach finansowania tych wszystkich szeroko zakrojonych i zróżnicowanych przedsięwzięć. Newton polubił ten element gry dla samej gry. Musiał nauczyć się jej od zera – wielu kwestii dotyczących tego społeczeństwa i tej planety nie dało się poznać z telewizji – i odkrył, że ma do niej wrodzony talent, być może odziedziczony po przedwiecznych przodkach, z czasów chwały i potęgi prymitywnej anteańskiej kultury. Ziemia przechodziła wówczas drugie zlodowacenie, a u nich był to czas drapieżnego kapitalizmu i wojen, po którym wyczerpały się wszystkie anteańskie źródła energii i skończyła się woda. Lubił zabawę liczbami i kwotami, mimo że nie była dlań zanadto ekscytująca – wiedział, że wszedł do gry z przewagą dziesięciu tysięcy lat rozwoju anteańskiej elektronii, chemii i optyki. I nigdy nie zapominał, po co przybył na Ziemię. Ta świadomość wisiała nad nim, nieubłagana, jak tępy ból zawsze obecny w coraz mocniejszych, choć wciąż zmęczonych mięśniach, jak nieustające zadziwienie tą ogromną i zróżnicowaną planetą, choć coraz lepiej się z nią zapoznawał.

Polubił Farnswortha. Lubił nielicznych innych ludzi, z którymi się spotykał. Nie poznał żadnych kobiet. Bał się ich, sam nie rozumiał dlaczego. Czasami czuł smutek, że dla własnego bezpieczeństwa nie może lepiej poznać tych ludzi. Farnsworth był przebiegłym graczem, motywowanym żądzą pieniędzy; od czasu do czasu trzeba było mieć na niego oko. Potencjalnie niebezpieczny, o umyśle skrywającym wiele różnych talentów i niuansów. Do swojego znacznego majątku –

a Newton jeszcze potroił jego dochody – nie doszedł, opierając się tylko na reputacji.

Gdy wyjaśnił mu dokładnie, co potrzebuje zrobić, na moment rozparł się w fotelu, by odpocząć, po czym dodał:

– Oliver, słuchaj... teraz, gdy zaczynamy już te pieniądze... akumulować, chciałbym rozpocząć pewien nowy projekt. Wspominałem ci wcześniej, planuję taki projekt naukowy...

Farnsworth chyba się nie zdziwił. W sumie musiał przewidywać, że wizyta ma na celu coś ważnego.

– Tak, Newton?

Uśmiechnął się łagodnie.

– Widzisz, Oliver, to będzie całkiem nowe i zupełnie inne przedsięwzięcie. Obawiam się także, że będzie bardzo kosztowne. Czeka cię trochę pracy przy zorganizowaniu tego, przynajmniej kwestii finansowych.

Zerknął za okno, na dyskretny szary pasaż sklepów przy 5. Alei, na drzewa.

– To będzie działalność non profit, myślę, że najlepiej byłoby założyć w tym celu fundację.

– Fundację? – Prawnik zacisnął usta.

– Tak. – Odwrócił się z powrotem do Farnswortha. – Tak. Myślę, że zarejestrujemy ją w Kentucky, z maksymalnym kapitałem zakładowym, jaki damy radę zebrać. Myślę, że to będzie około czterdziestu milionów dolarów, jeśli uda nam się coś wyciągnąć od banków.

Brwi Farnswortha uniosły się gwałtownie.

– Czterdzieści milionów? Newton, ty nie masz nawet połowy tego. Za sześć miesięcy, być może, ale przecież dopiero zaczynamy...

– Tak. Wiem. Ale pomyślałem, że sprzedam Kodakowi całego Worldcolora. Jeśli chcesz, możesz oczywiście zatrzymać swoje udziały. Tak myślę, że Kodak będzie wiedział, jak to inteligentnie wykorzystać. Są gotowi dać bardzo wysoką ofertę

– pod warunkiem, że przez pięć lat nie wprowadzę na rynek konkurencyjnego filmu barwnego.

Farnsworth zaczął czerwienić na twarzy.

– A to nie jest czasem tak, jakbyś sprzedał klejnot w koronie?

– Może trochę i jest. Ale potrzebny mi kapitał, a sam dobrze wiesz, w jakim stopniu te nasze patenty obciążają najróżniejsze przepisy antymonopolowe. A Kodak ma lepszy niż my dostęp do światowych rynków. Tak naprawdę oszczędzimy sobie masę zachodu.

Farnsworth pokręcił głową, trochę udobruchany.

– Gdybym ja miał prawa autorskie do Pisma Świętego, to nie sprzedawałbym ich wydawnictwu Random House. Ale myślę, że wiesz, co robisz. Zawsze wiesz.

## rozdział 5

Bryce zajrzał do gabinetu szefa swojego wydziału na Uniwersytecie Stanowym w Pendley w stanie Iowa. Był to profesor Canutti, a jego stanowisko nazywało się „koordynator i doradca ds. wydziałowych”, typowo dla szefostwa w tych czasach, po wielkiej zmianie nazewnictwa, wskutek której każdy komiwojażer został „przedstawicielem handlowym”, a dozorca „specjalistą ds. konserwacji”. Na uczelnie i tak trafiło to o wiele później. Jednak trafiło – i nie było już sekretarek, jedynie recepcjonistki i pomoce administracyjne, nie było dziekanów, tylko koordynatorzy.

Profesor Canutti, ostrzyżony na jeża, o gumiatej cerze, z fajką w zębach, przywitał go uśmiechem od ucha do ucha, gestem zaprosił, by przeszedł po szaroniebieskim dywanie i siadł w lawendowym plastikowym fotelu, dodając:

– Miło cię widzieć, Nate.

Bryce skrzywił się niemal zauważalnie, słysząc to „Nate”, zerknął na zegarek, jakby się śpieszył, i powiedział:

– Ciekawi mnie jedna rzecz, panie profesorze. – Nie śpieszyło mu się nigdzie, może tylko do zakończenia tej rozmowy. Było już po egzaminach i przez tydzień nie miał nic do roboty.

Canutti uśmiechnął się ze zrozumieniem, a Bryce w myślach przeklął się za pomysł, by w ogóle przychodzić do tego grającego w golfa kretyna. Canutti może jednak wiedzieć coś, co mu się przyda, przynajmniej chemik jest z niego nie najgorszy.

Wyciągnął z kieszeni pudełeczko i położył je na jego biurku.

– Widział pan ten nowy film? – zapytał.

Canutti ujął je miękką, delikatną dłonią i przez chwilę przyglądał się mu zdziwiony.

– Worldcolor? Tak, nawet używałem, wiesz, Nate. – Odłożył je, jakby chcąc zamknąć sprawę. – Cholernie dobry film. I sam się wywołuje.

– A wie pan jak to działa?

Canutti pociągnął teatralnie z fajki, która nie była zapalona.

– Nie, Nate. Nie mogę powiedzieć, żebym coś wiedział. Pewnie działa jak każdy inny film. Tylko trochę bardziej... zaawansowany. – Uśmiechnął się.

– Nie bardzo. – Bryce wyciągnął rękę i wziął pudełko, zważył je w dłoni, patrząc na beznamietną twarz Canuttiego. – Trochę go zbadałem i bardzo się zdziwiłem. Bardzo. Wie pan, że filmy barwne typowo mają trzy różne emulsje, po jednej na każdy kolor podstawowy. No a ten tutaj w ogóle nie ma żadnej emulsji.

Canutti uniósł brwi.

No chociaż trochę byś się zdziwił, debilu jeden, pomyślał Bryce. Wyjął fajkę z ust i powiedział:

– To na oko niemożliwe. I co jest tam światłoczułe?

– Jakby sama klisza. Wygląda na to, że wykorzystane są sole baru, Bóg jeden wie jak. Kryształki soli baru, jako zawiesina. I jeszcze... – nabrał powietrza – ...wywoływacz ma postać gazową, jest w kapsułce pod wieczkiem puszki. Próbowałem ustalić, co zawiera, i jedno, czego mogę być pewien, to azotan potasu, trochę nadtlenu wodoru i coś, co z całą pewnością reaguje jak kobalt. I to wszystko jest delikatnie radioaktywne, co może coś tłumaczyć, ale nie jestem pewien co.

Canutti dłuższą chwilę milczał, jak wypadało po takim wykładzie. Potem powiedział:

– No, nieźle to brzmi, Nate. A gdzie go robią?

– Fabryka jest w Kentucky. Ale firma jest zarejestrowana w Nowym Jorku, na ile udało mi się ustalić. Nie są notowani na giełdzie.

Canutti, słuchając, zrobił poważną minę. Zapewne, pomyślał Bryce, zarezerwowaną na specjalne okazje, na przykład przyjęcie do nowego klubu golfowego.

– Rozumiem. No, coś cwanego to jest, nie?

„Cwanego”? A to co ma niby znaczyć? Pewnie, że cwanego. Niemożliwego wręcz.

– Tak. Coś cwanego. Dlatego właśnie chciałem o coś pana poprosić. – Wahał się przez moment, niechętny, by prosić tego małego, ekstrawertycznego bufona o przysługę. – Chciałbym się tym trochę zająć, dojść, jak to, do cholery, działa. Tak się zastanawiam... Może mógłbym skorzystać z któregoś z tych dużych laboratoriów na dole, przynajmniej póki są ferie? No i przydałby mi się asystent, jeśli jest jakiś wolny.

Canutti w połowie tej przemowy odchylił się daleko w obitym skajem fotelu, jakby Bryce fizycznie wpychał go w miękkie, pękate piankowe poduchy.

– Nate, wszystkie laboratoria są zajęte. Wiesz, że mamy wojskowych i przemysłowych projektów więcej, niż jesteśmy w stanie obrobić. Nie możesz po prostu napisać do tej firmy, która produkuje film, i zapytać?

Postarał się nie podnieść głosu.

– Pisałem, a jak. Nie odpowiadają na listy. W ogóle nikt nic o nich nie wie. Nie ma nic o nich w żadnych publikacjach, nawet w „Amerykańskim przeglądzie fotochemicznym”. – Urwał na minutę. – Niech pan posłucha, panie profesorze... wystarczy mi samo laboratorium. Obejdę się bez asystenta.

– Walt. Mów mi „Walt”. Mówię przecież, Nate. Wszystkie są pozajmowane. Koordynator Johnson wytarga mnie za uszy, jeśli...

– Posłuchaj... Walt... To są badania podstawowe. Johnson w swoich przemówieniach ciągle gada o badaniach podstawowych, nie? Że to kręgosłup nauki. A my tu nic, tylko

szukamy tańszych sposobów produkcji pestycydów albo doskonalimy bomby gazowe.

Canutti uniósł brwi, pulchne ciało cały czas tonęło w miękkiej piance.

– Nate, u nas się tak nie mówi o wojskowych projektach. Nasze badania dla obronności kraju to...

– Dobra, dobra. – Opanował głos, żeby go nie podnosić. – Rozumiem. Zabijanie ludzi to fundament. Kluczowe i strategiczne dla kraju. Ale ten film...

Canutti zaczerwienił się, słysząc sarkazm.

– Nate, posłuchaj. Chcesz się pobawić przy jakimś uprzemysłowionym procesie. I do tego takim, który już świetnie działa. Po co się tak gorączkować? Jasne, ten film jest trochę niezwykły. I dobrze.

– Mój Boże – powiedział. – Ten film jest bardziej niż niezwykły. Chyba to rozumiesz. Jesteś chemikiem, lepszym niż ja. Nie widzisz, jakie techniki są w nim zastosowane? Jakies sole baru, niech to szlag, albo wywoływacz w postaci gazu? – Nagle przypomniał sobie, że cały czas trzyma w dłoni rolkę tego filmu. Wyciągnął ją przed siebie, jakby była węzłem albo świętą relikwią. – Całkiem jakbyśmy byli jaskiniowcami, którzy drapią się pod pachami, i jeden z nas znalazł... rolkę kapiszonów... – W jednej chwili poczuł aż fizyczny cios w pierś, przerwał na moment przemowę i pomyślał: Jezus Maria, ta rolka kapiszonów! – ...i wrzucił je do ognia. Pomyśl, ile technicznej myśli trzeba, żeby zrobić pasek papieru z kropkami prochu strzelniczego w rzędzie, żebyśmy mogli sobie usłyszeć takie pyk, pyk, pyk! Albo jakbyś dał gościowi ze starożytnego Rzymu zegarek na rękę, a on dotąd znał tylko zegary słoneczne... – Nie dokończył porównania, myśląc teraz o rolce kapiszonów, które strzelały tak głośno, a w ogóle nie śmierdziały prochem.

Canutti uśmiechnął się zimno.

– No cóż, Nate, bardzo elokwentnie o tym opowiadasz. Ale ja bym się tak nie nakręcał jednym wynalazkiem jakiegoś zdolnego zespołu naukowego. – Starał się zabrzmieć żartobliwie, obrócić różnicę zdań w żart. – Jakoś wątpię, żeby odwiedzali nas przybysze z przyszłości. Na pewno nie po to, żeby nam opchnąć jakieś filmy.

Bryce wstał, ściskając w ręku pudełeczko z kliszą. Odezwał się cicho:

– Zdolny zespół naukowy! Niech mnie szlag! Jak dla mnie, to ten film – który nie wykorzystuje ani jednego chemicznego procesu ze stu lat rozwoju fotografii – może równie dobrze być pozaziemski. Chyba że w tym Kentucky siedzi w kryjówce jakiś geniusz, który za tydzień będzie nam sprzedawać perpetuum mobile. – Odwrócił się raptownie, zniesmaczony tą rozmową, i ruszył do wyjścia.

Canutti zawołał jeszcze, jak matka za dzieckiem, które w złości wybiega, trzaskając drzwiami:

– Na twoim miejscu, Nate, nie gadałbym tyle o tej pozaziemskiej koncepcji. Oczywiście rozumiem, o co ci chodzi...

– Oczywiście, że rozumiesz – rzucił Bryce od drzwi.

Pojechał popołudniową jednoszynówką z powrotem do domu i zaczął się rozglądać – czy raczej nasłuchiwać – chłopców z pistoletami na kapiszony.



## rozdział 6

Pięć minut po wyjściu z lotniska zdał sobie sprawę, że popełnił poważny błąd. Nie należało jechać w samym środku lata tak daleko na południe, choćby to było nie wiadomo jak konieczne. Trzeba było wysłać Farnswortha, wysłać kogoś, żeby kupił nieruchomości, pozałatwiał sprawy. Było ponad trzydzieści stopni, a jego ciało nie potrafiło się pocić – było przystosowane do temperatury około pięciu stopni. Na tylnym siedzeniu lotniskowej limuzyny, która wiozła go, obijając wciąż wrażliwe na grawitację ciało o twarde poduszki, do centrum Louisville, poczuł się tak źle, że prawie stracił przytomność.

Jednakże po dwóch latach spędzonych na Ziemi i dziesięciu latach fizycznego przygotowania, które musiał przejść przed wylotem z Antei, był zdolny wytrzymać ten ból i samą siłą woli oraz ponurą determinacją zachować przytomność. Był w stanie wysiąść z limuzyny, przejść do hotelowego foyer, z foyer do windy – z ulgą stwierdził, że jest nowoczesna i płynnie się porusza – a z niej do swojego pokoju na drugim piętrze, gdzie padł na łóżko, gdy tylko boy zostawił go samego. Po chwili zdołał się podnieść, dotrzeć do panelu klimatyzatora i ustawić go na bardzo zimno. Klimatyzator był bardzo wydajny, opierał się bowiem na grupie patentów, które sam wylicencjonował jego producentowi. Po chwili w pokoju zrobiło się w sam raz dla niego, nie wyłączał go jednak, ciesząc się, że dzięki jego własnemu wkładowi w technologię chłodzenia te paskudne skrzynki, tak mu niezbędne, stały się bezgłośne.

Było południe. Po pewnym czasie zadzwonił do obsługi i kazał sobie przysłać butelkę chablis i trochę sera. Dopiero niedawno zaczął pić wino, z przyjemnością odkrywając, że ma na niego taki sam wpływ, jak na ziemskich ludzi. Wino mu smakowało, choć ser był odrobinę gumisty. Włączył telewizor, także wykorzystujący patenty W. E. Corp., rozparł się w fotelu i postanowił, że skoro nic nie jest w stanie zrobić w tak upalne popołudnie, to chociaż będzie się dobrze bawił.

Od ponad roku prawie wcale nie oglądał telewizji i wydało mu się dziwne, że ogląda ją właśnie tutaj, w luksusowym i ostentacyjnie nowoczesnym hotelowym apartamencie w Louisville w stanie Kentucky – kojarzącym mu się z mieszkaniem prywatnych detektywów z telewizyjnych seriali, z przepaścistymi fotelami, nigdy nieużywanymi półkami na książki, abstrakcyjnymi obrazami i barkiem z plastikowym blatem. Że patrzy na małe ludziki poruszające się na ekranie, tak samo, jak patrzył na nie wiele lat temu na ojczystej Antei. Wspominał teraz tamte dni, popijając chłodne wino i przegryzając serem – osobliwym, obcym dla podniebienia przysmakiem, a chłodny pokój wypełniała muzyka z telewizyjnego romansu i ledwie słyszalne głosy z głośniczka telewizora, brzmiące dla jego wyczulonych nieziemskich uszu jak obce pomrukiwania i pochrząkiwania, którymi w istocie były. Zupełnie nie przypominały łagodnego mruczenia jego języka, choć oba języki miały, wiele stuleci temu, wspólnego przodka. Pozwolił sobie, po raz pierwszy od miesiąca, na wspomnienie miłych dla ucha rozmów z dawnymi anteańskimi przyjaciółmi, łagodnych w smaku i kruchych pokarmów, które spożywał przez całe życie. Wspomnił też żonę i dzieci. Możliwe, że nastroił go tak właśnie chłód w pokoju, uspokajający po męczącej jeździe w upale, a może alkohol, wciąż nowość dla jego żył, wprowadził go w ten stan emocjonalny bardzo przypominający ludzką nostalgię – sentymentalny,

skupiony na samym sobie, pełen goryczy. Nagle zapragnął usłyszeć dźwięk własnego języka, zobaczyć jasną barwę anteańskiej ziemi, poczuć ostry zapach pustyni, usłyszeć przytłumione dźwięki anteańskiej muzyki i ujrzeć cienkie jak gaza ściany ich budowli i zapylone miasta. Zapragnął własnej żony, łagodnej anteańskiej zmysłowości, poczuł dyskretny, uporczywy ból. I nagle, rozglądając się po pokoju, po stonowanych szarych ścianach i krzykliwych meblach, nabrał obrzydzenia do tego tandetnego i obcego miejsca, do głośnej, gardłowej, chaotycznej i przeseksualizowanej kultury, do tej gromady cwanych, drażliwych, egoistycznych małp – prymitywnych, nieczułych na to, że ich wątpa cywilizacyjka, tak jak most londyński, wali się, wali się, wali się.

Do głosu doszło uczucie, które już znał – ciężka apatia, zmęczenie życiem, śmiertelne znużenie tym zalatany, zaganianym, niszczyielskim światem i całym jego jazgotem. Miał wrażenie, że powinien się poddać, zrezygnować z misji, że jej rozpoczęcie ponad dwadzieścia lat temu było aktem niewiarygodnej głupoty. Po raz kolejny niechętnie rozejrzał się wokół. Co on tu robi – na innej planecie, trzeciej od Słońca, sto milionów mil od domu? Wstał, wyłączył telewizor i opadł z powrotem w czeluść fotela. Dalej pił wino, czując już skutki alkoholu i w ogóle się tym nie przejmując.

Telewizję amerykańską, brytyjską i rosyjską oglądał wcześniej przez piętnaście lat. Jego współpracownicy zebrali ogromną bibliotekę nagranych programów, a zanim Stany, czterdzieści lat temu, rozpoczęły ciągłą emisję telewizyjną, większość niuansów języka mieli już rozpracowanych na podstawie audycji radiowych. Studiował je codziennie, ucząc się języka, zachowania, historii i geografii, wszystkiego, co dostępne, póki za pomocą skomplikowanego systemu nawiązań nie nauczył się nawet najbardziej hermetycznych terminów, typu „żółty”, „Waterloo” czy „Republika Demokratyczna” – to

ostatnie nie miało bowiem żadnego odpowiednika na Antei. A gdy on pracował, studiował i bez końca ćwiczył fizycznie, gdy cierpiał w niepewności przez lata, oni cały czas deliberowali nad tym, czy w ogóle należy podjąć się takiej wyprawy. Tak mało mieli energii – pochodziła tylko z ogniw słonecznych na pustyni. Tyle paliwa potrzeba było, żeby posłać tylko jednego Anteańczyka w głąb kosmosu, być może na spotkanie ze światem, który będzie już martwy, tak jak większość Antei, zasłanej postnuklearnym gruzem, pogorzeliem po wybuchu małego gniewu. Wreszcie powiedzieli mu, że podróż się jednak odbędzie, jednym ze starych, starych statków, które ocalały głęboko pod ziemią. Na rok przed wylotem dowiedział się, że plan już się skryształizował, że statek będzie gotowy na czas, gdy planety ustawią się w korzystnym położeniu. Mówiąc o tym żonie, nie był w stanie opanować drżenia rąk...

\* \* \*

Odczekał, nie ruszając się z pokoju ani z fotela do piątej po południu. Wtedy wstał, zadzwonił do agencji nieruchomości i umówił się z nimi na wpół do szóstej. Wyszedł z pokoju, zostawiając na barku niedopitą butelkę wina. Miał nadzieję, że będzie odrobinę chłodniej, ale nie było.

Wybrał akurat ten hotel, bo mieścił się o trzy przecznice od biura nieruchomości mającego pośredniczyć w gigantycznej transakcji, którą już zaplanował. Tyle był w stanie przejść – jednak przytłaczające, ciężkie i obłędnie gorące powietrze przykrywające ulice niczym poduszka sprawiło, że był oszołomiony, dezorientowany i słaby. Przez chwilę miał wrażenie, że powinien wrócić do hotelu i zaprosić ludzi z biura do siebie, szedł jednak dalej.

A potem, gdy znalazł ich biurowiec, odkrył coś, co go przeraziło – biuro znajdowało się na osiemnastym piętrze. Nie

spodziewał się w Kentucky takich wieżowców, nie przewidział tego. Wspinaczka po schodach nie wchodziła w grę. A o windach w tym budynku nie wiedział nic. Jeśli wsiądzie do takiej, która jedzie zbyt szybko, albo szarpie, to może być katastrofą dla jego i tak obciążonego tutejszą grawitacją ciała. Windy wyglądały jednak na nowe i porządne, a biurowiec był klimatyzowany. Wsiadł do pierwszej, pustej, nie licząc windziarza, cichego staruszka w liberii poplamionej tytoniem. Zabrali jeszcze jedną pasażerkę, pulchną ładną kobietę, która podbiegła zdyszana w ostatniej chwili. Windziarz zasunął mosiężne drzwi. Newton powiedział: „Poproszę dziewiętnaste”, kobieta mruknęła: „Dwunaste” i starszy człowiek leniwie, niechętnie niemal, położył dłoń na dźwigni sterowania windą. Do Newtona natychmiast dotarł straszny fakt – to nie była nowoczesna winda z przyciskami, lecz starożytna, tyle że odnowiona. Zdał sobie z tego sprawę odrobinę za późno – zanim zdążył zaprotestować, poczuł, że żołądek mu się skręca, a mięśnie tężeją z bólu, gdy winda szarpnęła, zawahała się, znów szarpnęła i wystrzeliła w górę, podwajając na chwilę jego i tak już potrójny ciężar. I wtedy jakby wszystko stało się jednocześnie. Zobaczył, że kobieta wytrzeszcza oczy, i wiedział, że zapewne puściła mu się krew z nosa, że zalewa przód koszuli. Spojrzał w dół – istotnie tak było. W tym samym momencie usłyszał lub poczuł przez rozdygotane ciało suchy trzask, nogi ugięły się pod nim i padł na podłogę windy w groteskowo skręconej pozycji, widząc jedną nogę zgiętą pod przerażającym kątem. Umysł osunął się w czerń równie głęboko jak pustka, która dzieliła go od domu...

\* \* \*

Dwa razy w życiu tracił przytomność – raz na ojczystej planecie, podczas ćwiczeń w wirówce, i później, podczas startu statku,

w fazie silnego przyspieszenia. Za każdym razem szybko dochodził do siebie, zdeorientowany i obolały. Tym razem też się obudził, czując bóle zmalretowanego ciała i przerażającą dezorientację, wynikającą z tego, że nie wiedział, gdzie jest. Leżał na plecach, na czymś gładkim i miękkim, w oczy świeciły mu ostre światła. Zmrużył powieki, potem skrzywił się i przekręcił głowę. Leżał chyba na kanapie. Po drugiej stronie, za biurkiem, stała jakaś kobieta ze słuchawką telefonu w dłoni. Patrzyła na niego. Wpatrzył się w nią i wtedy ją poznał – to ta kobieta z windy.

Gdy zobaczyła, że się ocknął, zawahała się, jakby nie wiedziała, co ma teraz począć z telefonem. Opuściła bezwładnie rękę. Uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Dobrze się pan czuje?

Własny głos zabrzmiał mu obco, słaby i cichy.

– Chyba tak. Sam nie wiem... – Nogi miał wyciągnięte przed sobą. Bał się nimi poruszyć. Krew na koszuli wciąż się lepiała, ale była już zimna. Widocznie niezbyt długo leżał bez przytomności. – Coś mi się chyba stało w nogi...

Spojrzała nań ponuro, kręcąc głową.

– I to jak. Jedną się zgięła jak drucik.

Cały czas patrzył na nią, nie wiedząc, co powiedzieć, zastanawiając się, co począć. Do szpitala nie mógł iść – tam go zbadają. Prześwietlą...

– Od pięciu minut dzwonię i dzwonię po lekarzach. – Głos miała ochryply, wyglądała na przestraszoną. – Już do trzech zadzwoniłam i żadnego nie ma.

Zamrugął, próbując zebrać myśli.

– Nie! – powiedział. – Nie! Proszę nie dzwonić...

– Nie dzwonić do lekarza? Ale trzeba! Zrobił pan sobie krzywdę! – Spojrzała nań z powątpiewaniem, była jednak zbyt zaniepokojona, by nabrać podejrzeń.

– Nie. – Próbował dodać coś więcej, ale nagle ogarnęła go fala mdłości – prawie nie wiedząc, co robi, wymiotował za kanapę, a nogi paliły bólem przy każdym skurczu.

Potem, wyczerpany, położył się z powrotem na wznak, lecz światła były zbyt jaskrawe, raziły go nawet przez zamknięte powieki – cienkie, półprzezroczyste powieki. Jęknął i podniósł rękę, żeby zakryć oczy.

Ten atak chyba ją uspokoił. Może dzięki temu wydał się jej bardziej ludzki. Głos jej złagodniał.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytała. – Mogę coś zrobić? – Zawahała się. – Przynieść coś do picia...

– Nie. Nie chcę... – I co on ma teraz zrobić?

Jej głos nagle się uspokoił, jakby była na skraju hysterii i zawróciła z niego.

– Jest pan w strasznym stanie.

– Na to wygląda. – Odwrócił twarz ku oparciu kanapy, chcąc uniknąć światła. – Może mnie tu pani zostawić? Dojdę do siebie... tylko muszę odpocząć.

Parsknęła śmiechem.

– No nie. Nie da rady. To jest biuro; z rana przyjdzie tu masa ludzi. Windziarz dał mi klucz.

– Aha. – Musi coś zrobić z tym bólem, inaczej długo nie zachowa przytomności. – Proszę posłuchać – powiedział. – W mojej kieszeni jest klucz od pokoju w hotelu. Brown Hotel. Trzy przecznice stąd, jeśli pójdzie pani...

– Wiem, gdzie jest Brown Hotel.

– Aaa. No to dobrze. Mogłaby pani wziąć ode mnie ten klucz i przynieść mi z pokoju czarną teczkę, która jest w szafie w sypialni? Mam w niej... lekarstwa. Proszę.

Nie odpowiedziała.

– Ja pani zapłacę...

– No nie, nie w tym problem.

Odwrócił głowę i otworzył oczy, żeby popatrzeć na nią przez chwilę. Marszczyła czoło, brwi ściągnęły się jakby w parodii głębokiego namysłu. Potem zaśmiała się lekko, nie patrząc na niego.

– Po prostu. Nie wiem, czy mnie do tego hotelu wpuszczą, czy dadzą mi wejść do jakiegoś pokoju jak po swoje.

– A dlaczego nie? – Kiedy mówił, bolało go coś w piersi. Miał wrażenie, że zaraz znowu zemdleje. – Nie dadzą?

– Pan to się za bardzo na ubraniach nie wyznaje, co? Zresztą tak pan wygląda, jakby nigdy nie musiał się o to martwić. A ja mogę się im nie spodobać. Wsiowa sukienka, tu, o, rozdarta. I mój chuch też może się im nie spodobać.

– O?

– Dżin. Ale może... – Zastanowiła się. – No, nie. Nie.

Czuł, że znowu robi się jak z wody, jakby płynął. Zamrugął, zmusił się do koncentracji, do zignorowania słabości i bólu.

– Portfel. Niech pani weźmie sobie trochę pieniędzy. Da je chłopakom w hotelu. Musi się udać. – Pokój wirował wokół niego, światła już słabły, wydawało się, że zatacza ciemniejące kręgi w polu jego widzenia. – Proszę.

Poczuł, że grzebie mu w kieszeni, poczuł gorący oddech na twarzy. Po chwili usłyszał, jak się zatchnęła.

– Rany! – zawołała. – Pan to jest przy kasie... Zabrałabym to sobie i uciekła.

– Proszę. Niech mi pani pomoże. Jestem bogaty. Mogę...

– Nie, nie ucieknę – odparła ze znużeniem. A potem, radośniejszym tonem: – No, dobra. Pan tu zaczeka. Wrócę z tymi lekarstwami, choćbym miała cały hotel kupić. Pan się nie boi.

Usłyszał, jak zamyka za sobą drzwi, potem znów zemdłał.

Wydawało mu się, że dosłownie po chwili wróciła zdyszana do pokoju i otworzyła teczkę na biurku.



A później, gdy wziął tabletki przeciwbólowe i drugie, na gojenie się nogi, windziarz przyprowadził człowieka, który administrował budynkiem i Newton musiał go zapewniać, że nie będzie nikogo pozywać do sądu, że naprawdę już dobrze się czuje i nic mu nie będzie. Nie, nie trzeba karetki. Tak, podpisze oświadczenie, że nie wystąpi z żadnymi roszczeniami. A mogliby go teraz zaprowadzić do taksówki? W trakcie tej nerwowej dyskusji parę razy omal nie zemdłał, a gdy się skończyła, zemdłał naprawdę.

Ocknął się w taksówce z tą kobietą. Delikatnie nim potrząsała.

– Gdzie pan chce jechać? – pytała. – Gdzie jest pana dom?

Wytrzeszczył na nią oczy.

– Ja... ten... nie wiem.

## rozdział 7

Trochę wystraszony podniósł głowę znad lektury. Nie słyszał, jak weszła do pokoju. Często się to jej zdarzało, pojawiała się jakby znikąd, a jej szorstki, poważny głos drażnił go. Była jednak dobrą kobietą i kompletnie niepodejrzliwą. W cztery tygodnie zdążył bardzo ją polubić, jakby była pożytecznym zwierzątkiem. Zanim odpowiedział, przesunął nogę do wygodniejszej pozycji.

– Wybierasz się wieczorem do kościoła?

Obejrzał się na nią przez ramię. Chyba dopiero co weszła; trzymała czerwoną foliową torbę z zakupami, tuląc ją do obfitej piersi jak dziecko.

Uśmiechnęła się do niego głupkowato. Uświadomił sobie, że jest już trochę wstawiona, choć było wczesne popołudnie.

– Właśnie to mówiłam. Myślałam, że może też pójdziesz.

Postawiła torbę na stole obok klimatyzatora, który kupił dla niej w pierwszym tygodniu pobytu w jej domu.

– Kupiłam ci wino – dodała.

Odwrócił się w stronę nogi, podpartej wątłą skrzynką obciążoną stosem komiksów – tylko komiksy czytała. Zdenerwował się. Skoro kupiła wino, oznaczało to, że wieczorem zamierza się upić, a choć miała mocną głowę, po alkoholu zawsze dostawała lęków. Choć często rzucała rozbawione uwagi na temat jego chudości i kruchości, wciąż chyba nie zdawała sobie sprawy, jaką krzywdę mogłaby zrobić jego ptasiemu szkieletowi, gdyby się na niego zatoczyła, przewróciła czy choćby mocniej go klepnęła. Miała mocną,

ciężką budowę, ważyła co najmniej dwadzieścia pięć kilogramów więcej od niego.

– Dobrze, że pomyślałaś o winie, Betty Jo – powiedział. – A jest zimne?

– O, pewnie – odparła. – Aż za zimne, cholera. – Wyjęła butelkę z torby. Usłyszał, jak podzwania o inne, nadal niewidoczne towarzyszeki. Popatrzyła na nią z namysłem. – Tym razem nie kupowałam u Reichmanna. Dzisiaj dawali zasiłek i jak tylko wyszłam z pomocy społecznej, od razu kupiłam. Jest tam obok taki sklepik, „Szybki Numerek” się nazywa. Kupa osób po wypłacie od razu do nich zachodzi.

Wzięła szklanekę z szeregu ustawionego na staroświeckim, pomalowanym na czerwono regale i postawiła ją na parapecie. Potem, z leniwym roztargnieniem, jak zawsze wobec alkoholu, wyciągnęła z torby butelkę dżinu i zatrzymała się, z winem w jednej ręce, dżinem w drugiej, jakby nie mogąc się zdecydować, którą pierwszą postawić.

– Wszystkie wina trzymają w normalnej lodówce na jedzenie i za zimne się robią. Trzeba mi było kupić u Reichmanna.

W końcu odstawiła butelkę z winem i otworzyła dżin.

– Nic nie szkodzi – powiedział. – Szybko się ogrzeje.

– Postawię ją tutaj, zawołaj mnie, jak będzie ci czegoś trzeba, dobra? – Nalała sobie pół szklanki dżinu i poszła do małej kuchenki. Usłyszał, jak szczęka cukiernicą, jak zawsze sypiąc do dżinu cukier, i po minucie wróciła, pijąc już po drodze. – Cholera, jak ja lubię ten dżin! – powiedziała z zadowoleniem.

– Chyba nie dam rady pójść do kościoła.

Zrobiła autentycznie rozczarowaną minę. Podeszła i niezdarnie usiadła na krześle z perkalowym obiciem, naprzeciwko niego, jedną ręką obciążając drukowaną we wzory spódnicę, w drugiej trzymając szklanekę.

– No to szkoda. Naprawdę fajny mamy kościół. Jest klasa. Pasowałbyś tam.

Po raz pierwszy zauważył na jej palcu pierścionek z brylantem. Pewnie kupiony za jego pieniądze. Nie miał jej tego za złe – zasłużyła sobie, opiekując się nim jak należy. Mimo nałogów, mimo gadatliwości, była znakomitą pielęgniarką. I zupełnie niczym się nie ciekawiła.

Nie chcąc dalej rozmawiać o kościele, milczał, a ona usiadła wygodniej na krześle i na poważnie zajęła się dżinem. Praktykowała nieregularnie i sentymentalnie – była z tych, których telewizyjni prezenterzy nazywają głęboko religijnymi osobami, twierdziła bowiem, że religia jest dla niej wielkim źródłem siły. To praktykowanie składało się głównie z chodzenia w niedzielę po południu na wykłady o hipnotyzmie, a w środę – o ludziach, którzy dzięki wierze odnieśli sukces w biznesie. Ta wiara obejmowała głównie przekonanie, że niezależnie od tego, co się stanie, wszystko będzie dobrze, a moralność, że każdy musi sam zdecydować, co dla niego najlepsze. Betty Jo, podobnie jak rzesza innych osób, zdecydowała, że są to dżin i pomoc społeczna.

Przez parę tygodni mieszkania z tą kobietą dowiedział się bardzo dużo o pewnym aspekcie amerykańskiego społeczeństwa, który telewizja całkowicie pomijała. Wiedział o prosperity, która kwitła nieustannie, niczym kwiat jakiegoś olbrzymiego i niesamowicie odpornego chwastu, przez czterdzieści lat od zakończenia II wojny światowej, wiedział, jak to bogactwo rozchodziło się i było wydawane przez niemal wszechogarniającą klasę średnią, która z każdym rokiem spędzała coraz więcej czasu na coraz mniej pożytecznej pracy i zarabiała na tym coraz więcej pieniędzy. To właśnie tę wyelegantowaną i niesamowicie zadowoloną z siebie klasę średnią pokazywały niemal wszystkie telewizyjne seriale, można było więc łatwo nabrać przekonania, że wszyscy Amerykanie są młodzi, opaleni, jasnoocy i ambitni. Poznawszy Betty Jo, dowiedział się, że istnieje całkiem spora warstwa

społeczeństwa zupełnie nietknięta tym wzorcem, że ogromna i obojętna masa ludzi nie ma dosłownie żadnych ambicji ani wartości. Przeczytał wystarczająco dużo o historii, żeby wiedzieć, że ludzie tacy jak Betty Jo byli kiedyś biedotą epoki przemysłu, teraz zaś stali się całkiem zamożnymi ludźmi epoki przemysłu, żyjącymi sobie wygodnie w komunalnych mieszkaniach – Betty Jo wynajmowała trzypokojowe lokum w gigantycznym, ceglany, komunalnym osiedlu, na wpół zamienionym teraz w slums, za pieniądze z najrozmaitszych instytucji, Pomocy Federalnej, Pomocy Stanowej, Funduszu Pomocy w Nagłych Wypadkach, Funduszu Walki z Ubóstwem. Amerykańskie społeczeństwo było na tyle bogate, że mogło sobie pozwolić na utrzymywanie całej klasy Betty Jo, ośmiu czy dziesięciu milionów ludzi we względnym, trochę niechlujnym komforcie, na dżinie i używanych meblach, podczas gdy większość społeczeństwa opalała sobie rumiane policzki na basenach domków jednorodzinnych na przedmieściach, śledziła nowinki w modzie i wychowywaniu dzieci, mieszała drinki, zmieniała żony, grała w gry oparte na religii, psychoanalizie i „kreatywnie spędzała czas wolny”. Do klasy średniej należeli wszyscy spotykani przez Newtona ludzie, z wyjątkiem Farnswortha, który należał do jeszcze innej, rzadszej klasy ludzi autentycznie bogatych. Wszyscy oni byli bardzo do siebie podobni i kiedy przestawali się na moment pilnować, gdy nie wyciągali dłoni na powitanie i nie układali twarzy w maskę samozadowolenia i chłopięcego wdzięku, wydawali się odrobinę zagubieni i znękanymi. Newton miał wrażenie, że to Betty Jo, ze swoim dżinem, nudą, kotami i używanymi meblami, ustawiła się w życiu lepiej.

Raz urządziła imprezę dla „dziewczyn” z innych mieszkań w budynku. On zaszył się w sypialni i nie pokazywał się, ale słyszał je doskonale, śpiewały stare kościelne hymny, upijały się dżinem i sentymentalizmem, i wydawało mu się, że czerpią

z tych wybuchów emocji więcej radości niż średnia klasa ze swoich grilli, pływania po pijaku w basenie o północy i z szybkich numerków. Jednak nawet Betty Jo nie była przekonana do tych dziecinnych hymnów, bo kiedy inne kobiety wróciły pijane do swoich własnych trzypokojowych cel, ona położyła się obok niego w łóżku i śmiała się z głupoty baptyzmu, który nic, tylko śpiewa hymny – tej religii, w której wychowała ją rodzina w Kentucky, z której „wyrosła całkowicie, choć czasami fajnie sobie te hymny pośpiewać”. Newton nie mówił nic, choć mimo woli dziwił się niezmiernie. Parę razy słuchał ze starych anteańskich nagrań radiowego nabożeństwa *Old-time Revival Hour*, widział i „nowoczesną” mszę, która „kreatywnie wykorzystuje” Boga, a jej muzyka składa się wyłącznie z elektronicznych organów grających walce Straussa oraz uwerturę *Chłop i poeta*. Wcale nie był przekonany, czy ci ludzie mądrze postąpili, wymyślając sobie i rozwijając tę osobliwą istotę – coś, czego Antea była całkowicie pozbawiona, choć możliwe, że to właśnie Anteańczycy i ich pradawne wizyty na Ziemi były za to odpowiedzialne – ten cudaczny zestaw założeń i obietnic zwany religią. Naprawdę niezbyt dobrze to rozumiał. Anteańczycy oczywiście mieli wiarę, wierzyli, że we wszechświecie prawdopodobnie istnieją bogowie lub stworzenia, które można bogami nazwać, nie było to jednak dla nich zbyt istotne, a w każdym razie nie tak, jak dla większości ludzi. Mimo to pradawna ludzka wiara w grzech i odkupienie przemawiała do niego – jak wszyscy Anteańczycy znał poczucie winy i potrzebę zadośćuczynienia. Jednak ci tutaj budowali sobie zamiast religii byle jakie konstrukcje z niedorobionych poglądów i sentymentów – nie wiedział, co o tym sądzić; nie był w stanie dojść, dlaczego Betty Jo tak obstaje przy rzekomej sile, jaką dostaje w tygodniowych dawkach ze swojego syntetycznego kościoła, sile, która wydawała się mniej pewna i bardziej kłopotliwa od tej czerpanej z dżinu.

Po chwili poprosił ją o wino, które mu usłużnie podała, nalawszy je zręcznie z butelki do jedyne go kryształowego kieliszka kupionego specjalnie dla niego. Wypił je dość szybko. Podczas rekonwalescencji bardzo polubił alkohol.

– No cóż – odezwał się, gdy nalewała mu drugi kieliszek – myślę, że w przyszłym tygodniu będę mógł się stąd wyprowadzić.

Wahała się przez moment, potem dokończyła nalewanie wina. I powiedziała:

– Ale po co, Tommy? – Kiedy była podpita, mówiła do niego „Tommy”. – Nie ma co się śpieszyć.

## rozdział 8

Boże, jakie z niego było dziwadło. Wysoki, chudy, wielkooki, jak ptak, choć nawet z połamaną nogą potrafił się poruszać lekko jak kot. Ciągłe tylko brał pigułki i w ogóle nie musiał się golić. Chyba też nie spał; czasami wstawiała w nocy, budząc się z zaschniętym gardłem i zawrotami głowy – miała tak po dzinie, jeśli za słabo się pilnowała – a on siedział w salonie, z nogą w górze, i czytał, słuchał tego małego złotego gramofoniku, który grubas przywiózł mu z Nowego Jorku, albo po prostu siedział z rękoma pod brodą, gapiąc się na ścianę z zaciśniętymi ustami i umysłem wędrującym Bóg jeden wie gdzie. Starła się w takich chwilach poruszać bardzo cicho, żeby mu nie przeszkadzać, on jednak zawsze ją słyszał i widać było, że się płoszył. Mimo wszystko zawsze się do niej uśmiechał, czasem rzucał słowo czy dwa. Raz, w drugim tygodniu, wydawał się tak bardzo zagubiony i samotny, gdy tak siedział ze złamaną nogą, niczym jakiś połamany pisklak, który wypadł z gniazda. Wyglądał tak żałośnie, że miała ochotę objąć go, przytulić, pogłodzić po matczynemu. Nie zrobiła tego jednak; już wiedziała, że bardzo nie lubi, gdy się go dotyka. Poza tym był taki delikatny, mogłaby mu zrobić krzywdę. Nigdy nie zapomni, jaki był lekki, kiedy wynosiła go wtedy z tej windy, w zakrwawionej koszuli, z nogą zgiętą jak drut.

Dokończyła szczotkowanie włosów i wzięła do ręki szminkę. Po raz pierwszy użyła srebrnej szminki i cienia do powiek, jak te młode dziewczyny; kiedy skończyła, popatrzyła z pewną przyjemnością na własne odbicie w lustrze. Jak na czterdziestkę



wcale nie było źle, jeśli tylko zatuszowało się jakoś fioletowe pajęczki pod oczyma, które powstawały od dżinu i cukru. I dziś właśnie pokryła je podkładem kupionym specjalnie na tę okazję.

Poprzyglądawszy się chwilę własnej twarzy, zaczęła się ubierać. Włożyła przezroczyste złote majteczki i stanik, kupione dziś po południu, a potem czerwone spodnie i pasującą kolorem bluzkę. Krzykliwe kolczyki i na koniec srebrne płatki we włosy. Wyglądała teraz jak zupełnie inna osoba i stanąwszy przed lustrem, w pierwszej chwili poczuła onieśmienie. Czy to nie głupota, tak się stroić? Jednakże w tyle głowy, w tym niewymownym, rzadko używanym ośrodku, gdzie tkwiły bezlitośnie ponumerowane wszystkie flaszki dżinu i nieprzyjemne wspomnienia o mężu, dzięki Bogu już nieżyjącym, doskonale wiedziała, po co to robi. Nie wyciągnęła tego na powierzchnię, żeby to przeanalizować. W tej technice była wirtuozem. Po minucie przyzwyczała się do nowego wizerunku sexy matrony. Wzięła stojącą na komodzie szklanę z dżinami i wygładzając drugą ręką obcisłe czerwone spodnie, weszła do pokoju, gdzie siedział Tommy.

Rozmawiał przez telefon, na małym ekraniku widać było twarz tego prawnika, Farnswortha. Z reguły rozmawiali trzy-cztery razy dziennie, a kiedyś Farnsworth przyjechał do niego z całym sztabem poważnie wyglądających młodych ludzi i przez cały dzień dyskutowali i sprzecjali się u niej w salonie, a ją ignorowali, jakby była meblem. To znaczy wszyscy oprócz Tommy'ego, bo on był miły i uprzejmy i podziękował jej serdecznie, kiedy przyniosła tym ludziom kawę i zaproponowała dżin.

Rozmawiał z Farnsworthem, a ona siadła sobie na kanapie, wzięła stary magazyn komiksowy i leniwie przeglądała co seksowniejsze strony, dopijając dżin. Nudziło ją to jednak, a Tommy cały czas gadał o tym jakimś projekcie naukowym,

który organizowali na południu stanu, i o tym, żeby sprzedać udziały w tym czy w tamtym. Odłożyła komiks, dokończyła dzin, wzięła jedną z leżących na stoliku książek. Kazał przysłać do jej domu setki tych książek, walały się już prawie wszędzie. Okazało się, że to jakieś wiersze – odłożyła ją pośpiesznie i wzięła drugą. Ta miała tytuł *Silniki termojądrowe* i była pełna liczb i tabel. Znowu poczuła się głupio w tym ubraniu. Wstała i zdecydowanymi gestami naląła dwie kolejne szklanki dzinu, zostawiając jedną na telewizorze, a drugą biorąc ze sobą na kanapę. Choć czuła się odrobinę głupio, złapała się na tym, że odruchowo przybiera uwodzicielską, filmową pozę na kanapie, leniwie wyciągając ciężkie nogi. Obserwowała go ponad szklanką, widziała blask rzucany przez lampę na jego białe włosy i delikatną, brązową, niemal przejrzystą skórę oraz na szczupłą dłoń spoczywającą na blacie biurka. I odtąd zaczęła świadomie się zastanawiać, do czego zmierza, w tym łagodnym świetle, z dzinem grzejącym w żołądek – poczuła wręcz grzeszną ekscytację płynącą z samego igrania z myślą, że to dziwne delikatne ciało mogłoby dotknąć jej ciała. Patrzyła na niego i pozwoliła poszaleć wyobraźni – wiedziała, że ten dreszczyk wynika właśnie z jego osobliwości, jego dziwnej, niemęskiej, aseksualnej natury. Może zaliczała się do tych kobiet, które lubią seks z dziwadłami i kalekami. A on był i jednym, i drugim – i w ogóle się tym teraz nie przejmowała, nie wstydziła się tego, mając na sobie obcisłe spodnie, a w środku masę dzinu. Jeśli uda jej się go pobudzić – jeśli on w ogóle da się pobudzić – będzie z siebie dumna. A jeśli nie – jest przecież kochany i przemiły, na pewno się nie obrazi. Poczuła falę czułości, szybką i intensywną; a dopiwszy dzin, po raz pierwszy od wielu lat pomyślała, że przeżywa coś przypominającego miłość, wraz z tym pożądaniem, stanem, w który wprawiała się przez cały dzień od rana – odkąd poszła w wyświechtanej wzorzystej sukience i kupiła sobie bieliznę,

kolczyki, podkład, rajstopy, nie przyznając się przed sobą do niesprecyzowanego planu, który układał się jej w głowie.

Nalała kolejną szklanę, mówiąc sobie, że powinna już zwolnić. Denerwowała się jednak tym czekaniem. Mówił teraz o kimś imieniem Bryce. Farnsworth mówił, że ten Bryce koniecznie chce się z nim zobaczyć, bo chce dla nich pracować, ale najpierw musi zobaczyć się z Tommym, Tommy odpowiadał, że to niemożliwe, a Farnsworth dodawał, że ludzi z takim wykształceniem jak Bryce potrzeba im jak najwięcej. Zaczęła się niecierpliwić. Kogo obchodzi jakiś tam Bryce? Tommy nagle przerwał rozmowę, odłożył słuchawkę, przez minutę nic nie mówił, patrząc na nią i uśmiechając się z namysłem.

– Moje nowe lokum, na południu stanu, już jest gotowe. Może chciałabyś się tam ze mną przenieść? Jako moja gospodyni?

To ją zszokowało. Uniosła brwi.

– Gospodyni?

– Tak. Dom będzie gotowy już w sobotę, ale trzeba będzie go urządzić, poustawiać meble, tego typu sprawy. Ktoś musi mi przy tym pomóc. A – uśmiechnął się, wstając za pomocą laski i kuśtykając ku niej – poza tym wiesz, że nie cierpię spotykać się z nieznanymi. Mogłabyś mnie zastąpić w rozmowach z ludźmi. – Stał nad nią.

– Nalałam ci drinka. Jest na telewizorze.

Trudno było uwierzyć w tę propozycję. O domu wiedziała – w drugim tygodniu przychodzili tu do niego agenci nieruchomości. Ogromna stara rezydencja i czterysta hektarów ziemi, na wschodzie, w górach.

Wziął szklanę, powąchał.

– Dżin?

– Pomyślałam, że powinieneś spróbować – powiedziała. – Całkiem dobry, słodki.

– Nie – odparł. – Ale chętnie napiję się z tobą wina.

– Oczywiście, Tommy. – Wstała, zachwiała się odrobinę i poszła do kuchni po butelkę jego Sauternes i kryształowy kieliszek. – Ja ci w ogóle nie jestem potrzebna – zawołała z kuchni.

Odpowiedział poważnym tonem:

– Oczywiście, że jesteś, Betty Jo.

Wróciła i stanęła blisko niego, żeby podać mu kieliszek. Taki fajny facet. Prawie zawstydziała się, że chciała go uwieść, zupełnie jakby był małym dzieckiem. Mimo woli wpadła w pijackie rozbawienie. On pewnie w ogóle nic nie zauważył. Był zapewne z tych, co w dzieciństwie sikali do srebrnego nocniczka, a potem uciekali, gdy dziewczyna próbowała ich dotknąć. A może był ciotą – w sumie, jak ktoś cały czas siedzi w domu i nic, tylko czyta, a do tego tak wygląda... Ale nie gadał jak ciotka. Lubiła słuchać jego głosu. Teraz wyglądał na zmęczonego. Chociaż właściwie cały czas tak wyglądał.

Usiadł, skrzywiwszy się z bólu, w fotelu i odłożył laskę na podłogę. Ona siadła na kanapie, a potem położyła się na boku, twarzą do niego. Patrzył na nią, ale jakby jej nie widział. Kiedy tak patrzył, aż ciarki ją przechodziły.

– Ubrałam się w nowe rzeczy – powiedziała.

– Zauważyłem.

– Zauważyłeś. – Zaśmiała się z nieśmiałością. – Spodnie kosztowały sześćdziesiąt pięć, bluzka sześćdziesiąt, kupiłam sobie też złotą bieliznę i kolczyki. – Podniosła nogę, żeby zademonstrować jaskrawoczerwone spodnie, potem podrapała się przez materiał w kolano. – Płacisz mi taką masę pieniędzy, że, gdybym chciała, mogłabym się ubierać jak gwiazda filmowa. Mogłabym sobie poprawić twarz, odchudzić się i w ogóle. – Pomacała z namysłem kolczyki, szarpnęła za każdy, potem przesunęła kciukiem po gładkim złocie, rozkoszując się odrobiną bólu w płatkach uszu. – No, ale nie wiem. Strasznie się

zapuściłam. Odkąd z Barneyem zaczęliśmy żyć z zasiłków. Człowiek się zapuszcza, a potem zaczyna mu to pasować.

Przez dłuższą chwilę się nie odzywał. Siedzieli tak w milczeniu, a ona dopijała drinka. Wreszcie zapytał:

– To jak? Pojedziesz ze mną do nowego domu?

Przeciągnęła się, ziewnęła, poczuła się odrobinę zmęczona.

– Pewien jesteś, że będę ci tam potrzebna?

Przez chwilę wpatrywał się w nią, a minę miał jak nigdy dotąd, jakby błagalną.

– Będziesz. Bardzo – odparł. – Ja znam bardzo niewielu ludzi...

– Oczywiście – powiedziała. – Pojadę. – Machnęła ze znużeniem ręką. – Głupia bym była, gdybym odmówiła, bo przecież płacisz mi ze dwa razy więcej niż potrzeba.

– No to świetnie. – Rozluźnił się, opadł na oparcie fotela i wziął do ręki książkę.

Zanim się w niej zatopił, przypomniała sobie o swoich planach, teraz już zupełnie spokojnie, i po chwili wahania podjęła ostatnią próbę. Była jednak już senna i nie włożyła w nią serca.

– Tommy, ty jesteś żonaty? – zapytała. Pytanie powinno być dość oczywiste.

Jeśli nawet rozumiał, do czego zmierza, zupełnie tego nie okazał.

– Jestem żonaty – odpowiedział, kulturalnie odkładając książkę na kolana i patrząc na nią.

Zażenowana dodała:

– Tak po prostu, chciałam wiedzieć. – A potem: – A jak ona wygląda? Twoja żona, znaczy?

– No... jest chyba dość podobna do mnie. Wysoka i chuda.

Zawstydzenie zaczynało przeradzać się w rozdrażnienie. Dopija drinka i powiedziała prawie wyzywająco:

– Też kiedyś byłam chuda.

A potem, zmęczona tym wszystkim, wstała i poczłapała do drzwi swojej sypialni. Głupie to wszystko było. Może i faktycznie jest pedałem, to, że ma żonę, to żaden argument. W każdym razie dziwadło z niego straszne. Fajny facet, bogaty, miły, ale dziwadło. Wciąż rozdrażniona powiedziała „Dobranoc”, poszła do pokoju i zaczęła ściągać z siebie drogie ubrania. Później trochę posiedziała na skraju łóżka, w koszuli nocnej, i pomyślała. Zdjąwszy obcisłe rzeczy, poczuła się o wiele lepiej i gdy się w końcu położyła, z pustką w głowie, bez trudności zapadła w głęboki sen przyjemnie wypełniony niegroźnymi snami.

## rozdział 9

Lecieli ponad górami, ale mała awionetka była tak stabilna, a pilot tak wprawny, że prawie się nie przechylali, niemal nie czuło się ruchu. Przelecieli ponad Harlan, bezbarwnym miastem rozciągniętym byle jak na wzgórzach, potem nad rozległymi jałowymi polami, i wlecieli do doliny. Bryce, ze szklanką whiskey w dłoni, dostrzegł odblask dalekiego jeziora, gładką powierzchnię lśniącą jak nowa i cenna moneta; wtedy jeszcze bardziej zniżyli lot, tak że stracił jezioro z oczu. Wylądowali na szerokim nowym betonowym pasie, na samym dnie doliny, pośród suchych mietlic i kanciastych brył czerwonej gliny, jakby pośrodku euklidesowego diagramu wyrysowanego szarą kredą przez jakiegoś boga o geometrycznym umyśle.

Bryce wysiadł z samolotu prosto w ogłuszający łoskot machin do robót ziemnych, krzątanie ludzi w koszulach khaki, o twarzach czerwonych od upału, pokrzykujących ochryple na siebie podczas wznoszenia budowli o nieodgadnionym przeznaczeniu. Stały tu szopy ze sprzętem, jakaś gigantyczna betonowa platforma, rzędy baraków mieszkalnych. Przez chwilę, wysiadłszy z ciszy i chłodu klimatyzowanego samolotu – prywatnego samolotu Thomasa Jerome’a Newtona, wysłanego do Louisville specjalnie po niego – poczuł oszołomienie, zakręciło mu się w głowie od skwaru i hałasu, od tej gorączkowej i niewytłumaczalnej bieganiny.

Podszedł do niego młody człowiek, ogorzały, jak prosto z reklamy papierosów. Miał na głowie korkowy hełm;

podwinięte rękawy ukazywały potężne, młode, opalone mięśnie. Wyglądał dokładnie jak bohater tych na wespół zapomnianych powieści dla chłopców, które niewyraźnie pamiętał z ambitnych młodzieńczych czasów – to one sprawiły, że Bryce postanowił zostać inżynierem, inżynierem chemikiem, człowiekiem czynu i nauki. Nie uśmiechnął się do młodego człowieka, myśląc o swoim tłustym brzuchu, siwiejących włosach, posmaku whiskey w ustach; kiwnął jednak głową na powitanie.

Tamten wyciągnął rękę.

– Pan profesor Bryce?

Ujął jego dłoń, spodziewając się pozersko mocnego uścisku, i z zadowoleniem poczuł delikatny.

– Już nie profesor – odparł – ale jestem Bryce.

– Świetnie. Świetnie. Hopkins. Brygadzysta. – Był przyjacielski niemal po psiemu, jakby błagał o aprobatę. – I co pan powie na to wszystko? – Objął gestem rzędy powstających budynków. Tuż za nimi stała wysoka wieża wyraźnie przypominająca jakąś antenę nadawczą.

Bryce odchrząknął.

– Nie wiem. – Miał już zamiar zapytać, co oni tu budują, ale stwierdził, że wykazanie się taką niewiedzą będzie żenujące. Czemu ten spasiony błazen Farnsworth nie powiedział mu, do czego go zatrudniają? – Pan Newton się mnie spodziewa? – zapytał głośno, unikając wzroku tamtego.

– Jasne. Jasne.

Z niespodziewaną szybkością poprowadził go na drugą stronę samolotu, gdzie stał mały wagonik jednoszynówki, wcześniej niewidoczny, a jego połyskujący tor wspinał się krętą trasą na zbocze doliny niczym cienka linia narysowana srebrną kredką. Hopkins odsunął drzwi, ukazując błyszczącą skórzaną tapicerkę i przyjemnie ciemne wnętrze.

– W pięć minut dojedzie pan do domu.



– Do domu? To daleko?

– Jakieś cztery mile. Zadzwonię tam i Brinnarde po pana wyjdzie. Brinnarde to sekretarz pana Newtona, najpewniej to on przeprowadzi z panem rozmowę.

Bryce z wahaniem wszedł do wagonika.

– To nie spotkam się z panem Newtonem?

Ta myśl rozzłościła go; żeby przez dwa lata nie poznać człowieka, który wynalazł Worldcolor, zarządzał największymi rafineriami ropy naftowej w Teksasie, wymyślił trójwymiarową telewizję, wielokrotnego użytku negatywy filmowe, nowy proces druku barwnego – człowieka, który był albo najoryginalniejszym geniuszem wynalazczości na Ziemi, albo przybyszem z kosmosu.

Młodzieniec zmarszczył brwi.

– Wątpię. Sześć miesięcy tu jestem i jeszcze go nie widziałem, chyba że przez okno wagonika tej kolejki. Przyjeżdża nią mniej więcej raz na tydzień, pewnie chce przyjrzeć się pracom. Ale nigdy nie wysiada, a w środku jest tak ciemno, że nie widać jego twarzy, tylko cień, kiedy patrzy.

Bryce wgramolił się do wagonika.

– Nigdy nie wysiada? – Wskazał brodą samolot, przy którym pojawiła się nie wiadomo skąd grupa mechaników i zaczęła przegląd silników. – Żeby gdzieś... polecieć?

Hopkins wyszczerzył się. Bryce'owi wydało się, że głupkowato.

– Tylko w nocy i za dobrze go wtedy nie widać. Wiadomo, że jest wysoki i bardzo chudy. Pilot mi powiedział tyle i niewiele więcej. Nie jest za rozmowny ten jego pilot.

– Aha. – Dotknął przycisku przy drzwiach. Zasunęły się bezszelestnie.

Hopkins w ostatniej chwili krzyknął jeszcze:

– Powodzenia!

– Dziękuję! – odkrzyknął pośpiesznie, choć nie był pewien, czy drzwi nie ucięły tej odpowiedzi.

Wagonik, tak jak samolot, był dźwiękoszczelny, a w środku chłodny. I podobnie jak samolot ruszył z niemal niedostrzegalnym przyśpieszeniem, nabierając szybkości tak płynnie, że praktycznie nie czuło się ruchu. Rozjaśnił okna, kręcąc małą srebrną gałeczką – oczywiście było, że właśnie do tego służy – i przyglądał się kruchym z wyglądu aluminiowym barakom oraz grupom pracujących ludzi. Widok był niespotykany i wydał mu się miły dla oka w tych czasach automatycznych fabryk i sześciogodzinnego dnia pracy. Wyglądali na pełnych zapału, gorliwych, spoconych pod południowym słońcem. Przyszło mu do głowy, że muszą bardzo dobrze zarabiać, skoro zgodzili się przyjechać na to pustkowie, z dala od pól golfowych, miejskich salonów gier i innych pociech klasy pracującej. Zobaczył jednego młodego faceta – wszyscy tu wyglądali na młodych – siedzącego na ogromnym spychaczu, rozradowanego faktem, że zgarnia wielkie masy błota; na moment pozazdrościł mu tej pracy, młodości i młodzieńczej, nieskażonej wątpliwościami pewności siebie, nonszalancji pod palącym słońcem.

Chwilę później plac budowy został z tyłu, wagonik sunął przez gęsto zalesione wzgórza tak szybko, że prześwietlone słońcem drzewa zlewały się w jedną migotliwą masę światła i cienia. Rozparł się na niesamowicie wygodnym fotelu, spróbował delektować się jazdą. Był jednak zbyt podekscytowany, by się rozluźnić, zbyt nakrecony przez to, jak szybko wszystko się działo, przez nowość tego osobliwego miejsca – tak rozkosznie odległego od Iowy, od studentów, brodatych intelektualistów i typów w rodzaju Canuttiego. Patrzył przez okna na coraz szybciej migocące światła, cienie, światła, bladą zielenią, ciemne cienie. Nagle, gdy wagonik przeskoczył na drugą stronę wzgórza, w oddali mignęło mu

jezioro, rozłożone w dolinie niczym arkusz pięknej szaroniebieskiej blachy, gigantyczny i spokojny krąg. Tuż za nim, w cieniu góry, wznosił się ogromny stary dom z gankiem otoczonym białymi kolumnami, o dużych oknach z okiennicami. Stał spokojnie na skraju rozległego jeziora, u podnóża góry. Potem i dom, i jezioro zniknęły za kolejnym wzgórzem, gdy tor kolejki zanurkował w dół. Dotarło do niego, że wagonik zwalnia. Chwilę później ponownie zobaczył dom i jezioro – kolejka zakręciła łagodnym łukiem nad brzeg wody, pochylając się lekko na zakręcie. Pod domem ktoś stał. Czekał na niego. Wagonik płynnie zahamował, a Bryce nabrał powietrza, dotknął klamki, popatrzył na łagodnie odsuwające się wyłożone drewnem drzwiczki i wysiadł – w cień góry, w zapach sosen i cichutki, niemal niesłyszalny odgłos wody chlupiącej o brzeg. Mężczyzna, który wyszedł mu naprzeciw, był nieduży, śniady, z małymi jasnymi oczyma i wąsikiem. Podszedł do niego, uśmiechając się oficjalnie.

– Pan doktor Bryce?

Mówił z francuskim akcentem.

Niespodziewanie rozbawiony odpowiedział:

– Monsieur Brinnarde? – Wyciągnął dłoń. – *Enchanté.*

Tamten podał mu rękę, nieznacznie unosząc brwi.

– *Soyez le bienvenu, Monsieur le Docteur. Monsieur Newton vous attend. Alors...*

Bryce aż stracił dech.

– Newton się ze mną spotka?

– Tak. Zaprowadzę pana.

W domu przywitały ich trzy koty gapiące się na nich z podłogi, gdzie się bawiły. Wyglądały na zwykłe dachowce, ale dobrze odżywione i niechętnie patrzące na gości. Nie przepadał za kotami. Francuz w milczeniu poprowadził go przez hol do schodów wyłożonych grubym dywanem. Na ścianach wisiały obrazy, głównie sceny rodzajowe – dziwne, wyglądające na

kosztowne dzieła malarzy, których nie rozpoznawał. Schody były bardzo szerokie i zakręcały. Zauważył przy nich jeden z tych elektrycznych foteli jeżdżących w górę i w dół wzdłuż balustrady. Czyżby Newton był inwalidą? Wyglądało na to, że w domu poza nimi dwoma i kotami nikogo nie ma. Obejrzał się na nie, cały czas patrzyły za nim, wytrzeszczając oczy, zaciekawione i bezczelne.

Na szczycie schodów był korytarz, na końcu korytarza drzwi, oczywiście prowadzące do gabinetu Newtona. Otworzyły się, wyszła z nich tęga kobieta o jakby smutnym spojrzeniu, w fartuchu. Podeszła do nich, wytrzeszczyła na niego oczy i powiedziała:

– Pan profesor Bryce, tak?

Jej głos, przyjemny i głęboki, miał silny wiejski akcent.

Skinął głową, poprowadziła go do drzwi. Wszedł do środka sam, z niesmakiem zauważając, że jest zdyszany i trzęsą mu się nogi.

Gabinet był ogromny i bardzo zimny, oświetlony łagodnym światłem padającym z wielkiego, mocno przyciemnionego okna w wykuszu wychodzącym na jezioro. Wszędzie stały meble, w bezładnej pstrokaciznie kolorów – ciężkie sofy, stół, krzesła. W miarę jak wzrok przyzwyczajał mu się do żółtawego półmroku, nabierały barw – błękitu, szarości, wypłowiałego pomarańczowego. Na ścianie naprzeciwko niego wisiały dwa obrazy – grafika przedstawiająca olbrzymiego ptaka, czaplę czy żurawia krzykliwego, oraz nerwowa abstrakcja w stylu jakby Paula Klee. Może i faktycznie to był Klee. Jedno do drugiego nie pasowało. W rogu stała olbrzymia klatka dla ptaków, z fioletowo-czerwoną papugą. Chyba spała. Potem ruszył ku niemu, powoli, o lasce, wysoki, chudy facet o delikatnych rysach twarzy.

– Pan profesor Bryce?

Głos był wyraźny, z delikatnym akcentem, przyjemny.

– Tak. Pan... pan Newton?

– Dokładnie. Może sobie siądziemy i porozmawiamy?

Usiadł. Rozmawiali parę minut. Newton był miły, naturalny, może trochę zbyt sztywny w manierach, ale nie sprawiał wrażenia snoba ani bufona. Miał w sobie wiele naturalnej godności. Z zainteresowaniem i inteligencją mówił o obrazie, o który Bryce go zagadnął – okazało się, że to faktycznie Klee. Wstał nawet na moment, aby pokazać jakiś szczegół, i Bryce mógł pierwszy raz przyjrzeć się jego twarzy. Miła dla oka, o ładnych, niemal kobiecych rysach i trochę osobliwym wyrazie. Natychmiast powróciła ta absurdalna, uporczywa myśl, z którą igrał od ponad roku. Przez chwilę, gdy tak patrzył na dziwnego wysokiego człowieka, w półmroku wskazującego delikatnym palcem nerwowe linie na obrazie, nie wydawała się absurdalna. Potem jednak, gdy Newton odwrócił się z powrotem do niego, uśmiechnął się i powiedział: „Myślę, panie profesorze, że powinniśmy się czegoś napić”, wrażenie rozwiało się całkowicie, przywracając Bryce’owi zdrowy rozsądek. Co tam, po świecie chodzą dziwniejsi od niego ludzie, a i genialni wynalazcy też już się w historii zdarzali.

– Bardzo chętnie – odpowiedział. – Ale wiem, że jest pan zajęty.

– Ależ skąd. – Newton, ruszając do drzwi, uśmiechnął się beztrąsko. – W każdym razie nie dzisiaj. Na co ma pan ochotę?

– Na whisky. – Już miał zamiar dodać: „Jeśli pan ma...”, ale powstrzymał się. Newton będzie ją przecież miał. – Szkocką z wodą.

Newton, zamiast nacisnąć przycisk albo zadzwonić dzwonkiem – w takim domu wcale nie wydałoby się to nie na miejscu – po prostu otworzył drzwi i zawołał:

– Betty Jo?

Kiedy odpowiedziała, polecił:

– Przynieś panu profesorowi szkocką, z wodą i lodem. Ja poproszę dzin z angosturą.

Zamknął drzwi i wrócił na fotel.

– Dopiero ostatnio posmakował mi dzin – powiedział.

Bryce wzdrygnął się w duchu na samą myśl o dzinie z angosturą.

– A więc, panie profesorze, co pan sądzi o naszej budowie? Podejrzewam, że po wylądowaniu przyjrzał się pan tym naszym... poczynaniom?

Bryce rozsiadł się w fotelu, już spokojniejszy. Newton wydawał się bardzo życzliwy, autentycznie zainteresowany wysłuchaniem, co on ma do powiedzenia.

– Tak, bardzo to wszystko ciekawie wyglądało. Ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co budujecie.

Newton wytrzeszczał przez chwilę oczy, potem parsknął śmiechem.

– To Oliver nic panu nie powiedział?

Bryce pokręcił głową.

– Oliver potrafi być bardzo dyskretny. Ale zdecydowanie nie chciałem, żeby aż tak. – Uśmiechnął się i Bryce po raz pierwszy się tym uśmiechem zaniepokoił, choć nie do końca wiedział dlaczego. – Zapewne dlatego chciał pan się ze mną widzieć?

Widać nie uznał tego za poważną kwestię.

– Być może – powiedział Bryce. – Ale miałem też inne powody.

– A...

Newton zaczął coś mówić, przerwał jednak, gdy otworzyły się drzwi i weszła Betty Jo z butelkami i karafkami na tacy. Bryce przyjrzał się jej uważniej. Kobieta w średnim wieku, nawet trochę ładna, z tych, które spotyka się na popołudniowych seansach lub na kółku brydżowym. Mimo to jej twarz wcale nie była bezmyślna ani głupia, w oczach i pełnych ustach kryły się ciepło i jakby ślad dobrego humoru

czy rozbawienia. Nie pasowała jednak na jedyną widoczną służącą milionera. Nie odezwała się, postawiła tacę na stole, ale kiedy go mijala, zdumiał się, czując od niej ewidentny zapach alkoholu i perfum.

Szkocka była świeżo otwarta. Ze zdziwieniem i rozbawieniem przygotował sobie drinka. Więc tak to wygląda u naukowców-milionerów? Prosisz o drinka, przychodzi wstawiona służąca i przynosi flaszkę? A może tak to właśnie powinno wyglądać? W milczeniu nalali sobie po szklance, a Newton po pierwszym łyku odezwał się niespodziewanie:

– To jest statek kosmiczny.

Bryce zamrugął, nie rozumiejąc, o czym on mówi:

– Że co?

– My tam budujemy statek kosmiczny.

– Ooo? – Zaskoczenie, choć nieprzesadne. Takie czy inne bezzałogowe sondy kosmiczne nie były w końcu aż taką rzadkością... Nawet blok kubański parę miesięcy temu sobie coś takiego zmajstrował.

– Więc chce pan, żebym pracował nad metalami do konstrukcji kadłuba?

– Nie. – Newton popijał drinka powoli, patrząc przez okno, jakby myślał o czymś zupełnie innym. – Szkielet już jest w zasadzie rozpracowany. Chcę, żeby pracował pan nad układem paliwowym, trzeba wymyślić materiały, które wytrzymają różne substancje chemiczne, paliwa, materiały odpadowe i tak dalej. – Odwrócił się znów z uśmiechem do Bryce'a, do którego dotarło, że ten uśmiech jest lekko niepokojący, bo przebłyskuje przezeń jakieś nieodgadnione znużenie. – Ja niestety bardzo słabo znam się na materiałoznawstwie, na wytrzymałości cieplnej, chemicznej i mechanicznej. Oliver powiedział, że jest pan jednym z najlepszych ludzi w tej specjalności.

– Farnsworth raczej mnie przecenia, ale rzeczywiście w miarę się w tym wyznaję.

Wyglądało, że to koniec tematu. Przez chwilę milczeli. Odkąd Newton wspomniał o pojeździe kosmicznym, oczywiście znów wróciło dawne podejrzenie. Choć nadal można było je w oczywisty sposób rozwiązać – skoro Newton jest jakimś niepojętym irracjonalnym zrzędzeniem losu kimś z innej planety, to po co mu budować statek kosmiczny? Akurat statek kosmiczny to oni muszą już mieć. Uśmiechnął się sam do siebie, widząc żenujący poziom swojej debaty wewnętrznej, jak z tandetnej fantastyki. Gdyby był Marsjaninem czy Wenusjaninem, to raczej sprowadzałby od siebie emitery promieni śmierci, żeby sfajczyć Nowy Rok, rozwalić Chicago... albo porywałyby młode dziewczyny, żeby w podziemnych kryjówkach złożyć je w ofierze. Ale Betty Jo? Czując, jak pracuje podkręcona whisky i zmęczeniem wyobraźnia, prawie roześmiał się na samą myśl: Betty Jo na plakacie filmowym, z Newtonem w plastikowym hełmie grożącym jej miotaczem, wielkim srebrnym pistoletem ze spojlerami i wylatującymi z lufy jaskrawymi zygzakami. Newton nadal patrzył w roztargnieniu przez okno. Wypił już pierwszą szklankę dżinu i nalał sobie kolejną. Marsjanin-pijak? Istota pozaziemska, która pije dżin z angosturą?

Newton już wcześniej odzywał się niespodziewanie – choć nie robiło to wrażenia obcesowości – i teraz także odwrócił się nagle i zapytał:

– Czemu chciał się pan ze mną spotkać? – Ton nie był natarczywy, raczej zaciekawiony.

Pytanie zbiło go z tropu; zawahał się, dolewając sobie whisky, żeby zyskać na czasie. Potem odpowiedział:

– Pana osiągnięcia zrobiły na mnie wrażenie. Kolorowy film fotograficzny, aparaty rentgenowskie, innowacje



w elektronice... wydało mi się, że to najbardziej oryginalne pomysły, jakie widziałem od lat.

– Dziękuję. – Teraz Newton wydał się bardziej zainteresowany. – Miałem wrażenie, że mało kto wie, że to ja jestem za nie... odpowiedzialny.

W jego zmęczonym beznamiętnym tonie było coś, co sprawiło, że Bryce się nieco zawstydził swoją ciekawością, która kazała mu wysledzić, że za W. E. Corporation stoi Farnsworth, a potem wymusić na Farnsworthcie zorganizowanie tej rozmowy. Poczul się jak dziecko, które chciało zwrócić na siebie uwagę dobrotliwego ojca, a okazało się, że tylko mu przeszkadza i go męczy. Przez chwilę myślał, że się czerwieni – całe szczęście, że w pokoju panował półmrok.

– Zawsze... imponowały mi pierwszorzędne umysły.

Sam zażenował się własnymi słowami. Zaklął w myśli. Zabrzmiął jak uczeń. Lecz kiedy Newton odpowiedział jakimś skromnym i kulturalnym stwierdzeniem, Bryce wyzbył się zażenowania, uświadomiwszy sobie, że tamten jest najpewniej mocno pijany. Dostrzegł tę beznamiętną, apatyczną, trochę bełkotliwą mowę, nieskupiony wzrok i zdał sobie sprawę, że Newton, choć trudno to zauważyć, jest albo kompletnie pijany – na spokojnie i łagodnie – albo bardzo chory. I poczuł falę nagłego współczucia do tego chudego, samotnego człowieka. Może sam się też upił? Czy Newton też był, jak on, mistrzem cichego porannego popijania, wypatrującym... czegokolwiek, co mogłoby zdrowemu człowiekowi wśród obłąkanego świata dać choć jeden powód, by nie pić od rana? Czy może była to tylko jedna ze słynnych aberracji geniuszu, ten abstrakcyjny przeskok niezwykłej i szalonej myśli, ten zapach ozonu po elektrycznej iskrze inteligencji?

– Czy Oliver omówił z panem kwestię wynagrodzenia? Jest pan z niego zadowolony?

– Tak, on już wszystkiego dopilnował. – Wstał, domyślając się, że to pytanie stanowi zamknięcie rozmowy. – Jestem zadowolony w stu procentach. – I zanim skierował się do drzwi, dodał: – Mogę na koniec zadać panu jeszcze jedno pytanie?

Newton jakby go nie usłyszał; wciąż patrzył przez okno, trzymając w delikatnych palcach pustą szklankę, twarz miał gładką, bez cienia zmarszczek, choć mimo to bardzo starą.

– Oczywiście, panie profesorze – odpowiedział bardzo cicho, prawie szeptem.

Znów poczuł się niezręcznie, nieswojo. Ten facet jest po prostu niesamowicie łagodny i delikatny. Odchrząknął i zauważył, że papuga na drugim końcu pokoju obudziła się i patrzy teraz na niego ciekawie, jak wcześniej tamte koty. Zakręciło mu się w głowie – miał wrażenie, że się rumieni. Wyjąkał:

– W sumie... to chyba nic ważnego. Może innym razem.

Newton spojrział na niego, jakby go nie usłyszał, jakby wciąż czekał na pytanie. W końcu odparł:

– Oczywiście. Innym razem.

Bryce pożegnał się więc, opuścił gabinet i wyszedł, mrużąc oczy, w jaskrawe światło. Kiedy zszedł na dół, kotów już nie było.

## rozdział 10

Przez następne parę miesięcy Bryce był zajęty bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Od momentu, gdy Brinnarde wyprowadził go z wielkiego domu i pokazał laboratoria po drugiej stronie jeziora, zanurkował z zupełnie obcym sobie zapalem i entuzjazmem w otchłań zadań, które czekały na niego u Newtona. Trzeba było dobrać i opracować stopy metali, przeprowadzić niezliczone badania, znaleźć tworzywa sztuczne, metale, żywice i ceramikę spełniającą nieziemskie wymagania odporności na temperaturę i kwasy. Jego wykształcenie idealnie pasowało do takiej pracy i przystosował się do niej bardzo szybko. Dostał czternastu pracowników, ogromną aluminiową halę na laboratorium, praktycznie nieograniczony budżet, mały czteropokojowy dom dla siebie oraz *carte blanche* (z której nigdy nie skorzystał) na loty samolotem do Louisville, Chicago czy Nowego Jorku. Bywały oczywiście kwestie denerwujące i problemy, na przykład załatwianie, by odpowiedni sprzęt i materiały dotarły w porę, od czasu do czasu zdarzały się potyczki między asystentami, lecz nie było to nic poważniejszego – nic, co by wpływało na więcej niż jeden aspekt tej pracy. Był zbyt zajęty, by być niezadowolonym. Był pochłonięty i zaabsorbowany tą pracą, co nigdy mu się nie zdarzyło na uczelni. Doskonale wiedział, że od tej pracy zależy całe jego dalsze życie. Wiedział, że całkowicie zrywa z nauczaniem, tak jak wiele lat temu zerwał z pracą dla instytucji rządowych – nie miał więc wyjścia: musiał pokładać wiarę w swojej obecnej pracy. Był zbyt stary, żeby móc sobie

znowu pozwolić na porażkę i osunięcie się w rozpacz; tym razem już by się nie pozbierał. Ciąg zdarzeń, który zaczął się od rolki kapiszonów i opierał na absurdalnej fantastycznonaukowej spekulacji, przyniósł mu całkowitym fuksem pracę, o której marzyłoby wielu ludzi. Często łapał się na tym, że pochłonięty pracą siedzi w niej do późnej nocy; przestał również popijać od rana. Miał terminy – różne projekty musiały być gotowe do produkcji w określonym czasie i nie niepokoiło go to. Pracował, wyprzedzając plan. Od czasu do czasu czuł obawę, przypominając sobie, że to nie są badania podstawowe; był jednak trochę za stary i zbyt rozczarowany, by jeszcze przejmować się honorem i etyką. Chyba zadawał sobie tylko jedno pytanie natury moralnej – czy aby nie pracuje nad nową bronią, nowym sposobem okaleczania ludzi lub niszczenia miast. I odpowiedź była przecząca – budowali pojazd, który miał zanieść instrumenty badawcze w głąb Układu Słonecznego, a więc cel istniał. I jeśli nawet nie był pożyteczny, to przynajmniej nikomu nie szkodził.

Znaczna część jego rutynowych zadań obejmowała śledzenie postępu prac w odniesieniu do zestawu specyfikacji materiałowych, które dostał od Brinnarde'a. Te dokumenty, które nazywał „katalogiem materiałowym hydraulika” zawierały specyfikacje dla setek elementów układów chłodzących, paliwowych, nawigacyjnych, określające wymagania na przewodność cieplną, rezystancję, stabilność chemiczną, masę, temperaturę zapłonu i tak dalej. Zadaniem Bryce'a było znaleźć najlepszy spełniający te wymagania materiał, a gdyby taki nie istniał, inny, odrobinę gorszy. W wielu przypadkach było to dość łatwe, tak że mimo woli zachodził w głowę, czemu Newton tak się słabo w tym materiałoznawstwie orientuje; ale zdarzały się i takie, gdzie specyfikacji nie był w stanie spełnić żaden ze znanych materiałów. Wtedy musiał przegadać problem z inżynierami

i obmyślić najbardziej pomysłowy i możliwy kompromis. Ten kompromis trafiał potem do Brinnarde'a, później zapoznawał się z nim Newton. Inżynierowie powiedzieli mu, że projekt trwa od sześciu miesięcy i ciągle napotykają tego typu problemy. Newton był geniuszem projektowania, ogólna konstrukcja była tak wyrafinowana i zaawansowana, że czegoś takiego nie widzieli na oczy, do tego zawierała tysiące oszałamiających innowacji, lecz po drodze wprowadzono do niej już setki kompromisów i budowa samego statku nie miała szans zacząć się wcześniej niż w przyszłym roku. Cały projekt miał zgodnie z planem zakończyć się za sześć lat, w roku 1990 – i wszyscy mieli wątpliwości, czy nie jest to mało prawdopodobne. Bryce natomiast niespecjalnie przejmował się takimi spekulacjami. Mimo że ich jedyne spotkanie było dość ogólnikowe, był mocno przekonany o talentach naukowych tego dziwnego człowieka.

Aż nagle, pewnego chłodnego wieczoru, trzy miesiące po pierwszym przyjeździe do Kentucky, Bryce dokonał odkrycia. Była prawie północ, a on siedział w swoim gabinecie w budynku laboratorium, ze znużeniem przeglądając pakiet arkuszy z danymi technicznymi, nie chcąc jeszcze iść do domu, bo wieczór był ładny, a w laboratorium panowała przyjemna cisza. Bezmyślnie spoglądał na jeden z rysunków Newtona – schemat układu chłodzenia, mającego rozpraszać ciepło przy wchodzeniu w atmosferę – śledził związki pomiędzy poszczególnymi elementami, gdy zaczęła go delikatnie uwierać jakaś nieodgadniona osobliwość w tych pomiarach i wyliczeniach. Przez parę minut gryzł koniec ołówka, gapiąc się najpierw na elegancko wyrysowane schematy, potem na jezioro za oknem. W obliczeniach nie było żadnego błędu, ale coś go w nich bulwersowało. Zauważył to już wcześniej, tkwiło gdzieś w głębi umysłu, nigdy jednak nie udało mu się dokładnie ustalić, o co właściwie chodzi. Na dworze, nad czarnym jeziorem wisiał jasny półksiężyc, gdzieś daleko cykały

niewidoczne owady. Dziwnie to wyglądało. Jak krajobraz księżycowy. Wrócił wzrokiem do dokumentu na biurku. Pośrodku była tabelka z szeregiem wartości dla temperatury, w nieregularnym ciągu – Newton w przybliżeniu opisał w ten sposób charakterystykę dla jakichś przewodów. Coś w tym szeregu mu nie pasowało, niby był logarytmiczny, a jednak jakiś dziwny. Dlaczego Newton wybrał takie akurat wartości, a nie inne? To musiało być arbitralne. Zresztą tych wartości nie brało się dokładnie. To były i tak tylko sugestie – dopiero Bryce miał znaleźć dokładne parametry materiału, który będzie najbardziej spełniał ich wymagania. Gapił się na liczby na kartce w czymś w rodzaju płytkiej hipnozy, aż wszystkie się zlały w jedną i straciły znaczenie, pozostała tylko ta nieuchwytna prawidłowość. Zamrugał i z wysiłkiem odwrócił wzrok, po raz setny wyglądając przez okno w noc. Księżyc zmienił położenie, zasłaniały go teraz wzgórza za jeziorem. Po drugiej stronie czarnej wody, na piętrze wielkiego domu paliło się słabe światło, pewnie w gabinecie Newtona, a nad nim czarne niebo pokrywały miliony jasnych punkcików, niczym rozsypany świetlisty proszek. Nagle tuż pod oknem zaczęła bulgotać żaba-wół. Przestraszył się. Żaba ciągnęła, nie doczekawszy się odpowiedzi ani naśladowcy, przez parę minut, wołając basowo i donośnie, przyczajona gdzieś pośród wilgoci; był w stanie wyobrazić sobie jej płazie ciało, przykucnięte, z nogami pod brodą, w chłodnej, mokrej od rosy trawie. Jej głos przez dłuższą chwilę wibrował ponad jeziorem, wprawiając wszystko w rytm, a potem urwał się nagle, rozczarowując uszy Bryce'a, czekające przez dłuższą chwilę na ostatni dźwięk, który nigdy nie nadszedł. Za to powróciły owady, chórem, a on z powrotem skupił się na dokumencie przed sobą i właśnie wtedy, w przeblysku intuicji, dostrzegł, choć oczy tylko skakały po znajomych wzorach, co właściwie mu tu nie pasowało. Szereg był logarytmiczny, bo musiał być. Ale logarytm był jakiś

dziwny – nie dziesiętny, nie dwójkowy, nie naturalny... jakiś kompletnie niepasujący. Wziął z biurka suwak i nie czując już zmęczenia, zaczął dzielić, metodą prób i błędów...

Po godzinie wstał, rozprostował ręce i wyszedł z gabinetu. Poszedł po mokrej trawie nad jezioro. Znow była pełnia – przez chwilę patrzył na odbicie Księżyca w wodzie, potem wpatrzył się w okno Newtona i głośno wypowiedział pytanie, które klarowało mu się w głowie od dwudziestu minut:

– Co za człowiek liczy na logarytmach o podstawie dwanaście?

Światelko w oknie Newtona, o wiele słabsze od Księżyca, spoglądało nań beznamiętnie, a woda u jego stóp chlupała delikatnie o brzeg w nudnym, monotonnym, spokojnym rytmie, starym jak świat.

**1988:**

Rumpelsztyk



# rozdział 1

Jesienią góry wokół jeziora poczerwieniały, pożółkły i zbrązowiały. Woda pod chłodniejszym niebem zrobiła się bardziej błękitna, odbijając miejscami barwy gór. Gdy wiał wiatr, kreśląc na niej falki, błyskała czerwono i żółto, a z drzew spadały liście.

Bryce często stawał w drzwiach laboratorium, zatopiony w myślach, i gapił się przez wodę na góry, na dom, w którym mieszkał T.J. Newton. Dom stał o ponad milę od półksiężycy budynków z aluminium i sklejki, do których przylegało laboratorium; po drugiej stronie tego półksiężycy, kiedy świeciło słońce, połyskiwał lśniący kadłub Czegoś – Projektu, Pojazdu, Statku – czymkolwiek to było. Czasami na widok srebrzystego monolitu Bryce czuł coś przypominającego dumę, czasami po prostu wydawał mu się absurdalny, niczym ilustracja z dziecięcej książki o kosmosie – a czasem go przerażał. Z drzwi do laboratorium miał widok na niezamieszkały drugi brzeg, mógł doskonale obserwować ten osobliwy kontrast – który niemal od razu rzucił mu się w oczy: kontrast pomiędzy budowlami na obu końcach tej panoramy: po prawej stara wiktoriańska rezydencja, z oknami w wykuszach, białym deskowaniem, ogromnymi i bezsensownymi kolumnami na każdym z trzech ganków; dom zbudowany sto lat temu z zadęciem i bez gustu przez jakiegoś nieznanego i dawno nieżyjącego magnata tytoniowego, węglowego czy drzewnego; natomiast po lewej – konstrukcja stuprocentowo ascetyczna i futurystyczna; statek kosmiczny.

Statek kosmiczny pośrodku pastwiska w Kentucky, otoczony jesiennymi górami, będący własnością człowieka, który postanowił zamieszkać w tej rezydencji z jedną wiecznie pijaną służącą, asystentem-Francuzem, papugami, obrazami i kotami. A pomiędzy statkiem i domem – woda i góry, Bryce i niebo.

Któregoś listopadowego poranka, gdy młodzieńcza powaga jednego z laborantów kazała mu na nowo poczuć dawną rozpacz wobec pracy naukowej i nastawienia uprawiających ją młodych ludzi, podszedł do drzwi i przez parę minut gapił się na ten znajomy widok. Zniemacka postanowił się przejść – nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy przespacerować się dookoła jeziora. Właściwie, dlaczego nie?

Powietrze było chłodne i zastanawiał się chwilę, czy nie wrócić do laboratorium po kurtkę. Słońce jednak przygrzewało, łagodnie, listopadowo, nie marzył więc zanadto. Poszedł w stronę wielkiego domu, oddalając się od placu budowy i statku. Miał na sobie wypłowiałą wełnianą koszulę w kratę – dostał ją dziesięć lat temu od świętej pamięci żony; przeszedłszy milę, musiał podwinąć rękawy do łokci, bo zgrzał się i zaczęły go gryźć. Przedramiona, chude, białe i włochate, wydawały się w blasku słońca szokująco blade – ręce staruszka. Pod stopami miał żwir i od czasu do czasu suchą trawę. Zobaczył parę wiewiórek i królika. Raz nad wodę wyskoczyła ryba. Minął parę budynków, jakiś barak, gdzie obrabiano metale; paru robotników pomachało do niego. Jeden zawołał go po imieniu, Bryce jednak nie rozpoznał go. Uśmiechnął się w odpowiedzi i też pomachał. Ruszył powolnym spacerowym krokiem, pozwalając myślom dryfować bez celu. Raz zatrzymał się i rzucił w wodę kilka płaskich kamieni, próbując puszczać kaczki. Tylko jeden zechciał raz podskoczyć. Pozostałe trafiały w wodę pod złym kątem i od razu tonęły. Pokręcił głową, głupio się czując. Wysoko nad jego głową po niebie przeleciało bezgłośnie kilkanaście ptaków. Ruszył dalej.

Tuż przed południem minął rezydencję, wyglądającą na zamkniętą i cichą, stojącą kilkadziesiąt metrów od brzegu. Przez chwilę zaglądał w wykuszowe okna na piętrze, nie zobaczył jednak niczego poza odbitym w szybie niebem. Kiedy słońce znalazło się najwyżej jak na tę porę roku, szedł już pustym brzegiem po drugiej stronie jeziora. Chwasty i sucha trawa zrobiły się gęstsze; pojawiły się krzaki, nawłóć, parę zbutwiałych pni. Przez głowę przemknęła mu myśl o węzłach, których nie lubił, ale odegnał ją od siebie. Zobaczył jaszczurkę, nieruchomą na kamieniu, z oczyma jak szklane paciorki. Zgłódniał i zaczął się leniwie zastanawiać, co z tym zrobić. Zmęczył się, siadł na pniu nad wodą, rozpiął guziki koszuli, otarł chusteczką kark i patrzył na wodę. Przez chwilę poczuł się jak Henry Thoreau i uśmiechnął się sam do siebie. „Większość ludzi wie życie w cichej rozpacz”. Obejrzał się w stronę domu, częściowo przesłoniętego teraz drzewami. Ktoś szedł ku niemu. Był jeszcze dość daleko. Zamrugał w ostrym świetle, przyglądał się przez chwilę, po czym uświadomił sobie, że to T.J. Newton. Oparł łokcie na kolanach i czekał. Zaczynał się trochę denerwować.

Newton niósł na ramieniu mały koszyk. Miał na sobie koszulę z krótkim rękawem i jasnoszare luźne spodnie. Szedł powoli, wyprostowany, z lekkością i gracją w ruchach. Jego sposób poruszania się miał w sobie coś niejasno dziwnego, coś, co skojarzyło się Bryce'owi z pierwszym widzianym w życiu homoseksualistą – gdy był jeszcze za młody, by wiedzieć, co znaczy „homoseksualista”. Newton nie poruszał się tak jak on, ale jak nikt inny na świecie, jednocześnie lekko i ociężale.

Gdy zbliżył się na tyle, by Bryce go słyszał, powiedział:

– Wziąłem trochę sera i wino. – Na nosie miał ciemne okulary.

– Świetnie. – Bryce wstał. – A co, zobaczył mnie pan pod domem?

– Tak.

Pień był dość długi i półokrągły. Newton siadł na drugim końcu, postawiwszy koszyk pod nogami. Wyciągnął zeń butelkę wina i korkociąg, podał je Bryce'owi.

– Otworzy pan?

– Spróbuję.

Wziął butelkę, zauważając przy okazji, że ręce Newtona są równie chude i blade jak jego własne, a do tego bezwłose. Palce miał bardzo długie i smukłe, o najdrobniejszych stawach, jakie w życiu widział. Drżały delikatnie, gdy podawał mu butelkę.

Bryce ścisnął kolanami zimną i wilgotną butelkę beaujolais i zaczął kręcić korkociągiem. W tej akurat czynności był dość zręczny, nie to co w puszczeniu kaczek. Wyciągnął korek z eleganckim i satysfakcjonującym pyknięciem, za pierwszym razem. Newton podszedł do niego ze szkłem – nie kieliszkami, lecz szklankami o grubym dnie – i nadstawił je do nalania.

– Proszę nie żałować – rzucił, uśmiechając się do niego z góry.

Bryce nalał niemal do pełna. Newton miał przyjemny głos, a jego delikatny akcent wydawał się bardzo naturalny.

Wino było znakomite, aromatyczne i przyjemnie chłodne dla jego zaschniętego gardła. Żołądek natychmiast się rozgrzał od podwójnego ciepła alkoholu – fizycznego i psychicznego – ciepła, które napędzało wielu sławnych ludzi. Które przez wiele lat napędzało i jego. Ser – ostry cheddar, stary i łuszczący się. Przez parę minut w milczeniu jedli i popijali. Siedzieli w cieniu, więc Bryce musiał odwinąć rękawy z powrotem. Odkąd przestał spacerować, zrobiło mu się chłodno. Zastanawiał się, czemu Newton, tak lekko ubrany, nie marznie. Wyglądał raczej na człowieka, który mógłby siedzieć przy ognisku, opatulony w szal – coś w stylu postaci granych przez George'a Arlissa w starych filmach, ludzi chudych, bladych, zimnokrwistych. Ale kto może wiedzieć, jaki on jest naprawdę? Równie dobrze mógłby być hrabią z angielskiej komedii, o nieokreślonej

zagranicznej proweniencji, albo podstarzałym Hamletem, albo szalonym naukowcem, który potajemnie knuje, jak wysadzić świat w powietrze, albo dyskretnym Cortezem, wykorzystującym tubylców do budowy swej twierdzy. Cortez przypomniał mu o dawnej myśli, której nigdy do końca nie zapomniał – że Newton jest przybyszem z kosmosu. W tej chwili prawie wszystko wydawało się możliwe; wizja, że on, Nathan Bryce, pije wino, przegryzając serem, z człowiekiem z Marsa. Bo dlaczego nie? Cortez siłą czterystu ludzi podbił Meksyk. Czy jeden człowiek z Marsa nie byłby w stanie dokonać tego w pojedynkę? Wszystko było możliwe, gdy tak siedział, z winem w żołądku i słońcem na twarzy. Newton, obok, delikatnie przeżuwał ser, potem popijał wino, siedząc prosto jak struna. Z profilu miał w sobie coś z Ichaboda Crane'a[2]. Cemuż on, Bryce, zakłada, że jeśli Newton jest z Marsa, to przybył tu sam? Cemu wcześniej nie przyszło mu to do głowy? Cemu nie czterystu Marsjan, albo cztery tysiące? Spojrzał na niego znów. Newton zauważył to i uśmiechnął się lekko. Z Marsa? Równie dobrze z Litwy, a może z Massachusetts.

Czując się odrobinę pijany – ileż to czasu minęło, odkąd zdarzyło mu się pić w południe? – zerknął ciekawie na Newtona i zapytał:

– Pan jest z Litwy?

– Nie. – Newton patrzył na jezioro i nie odwrócił się, słysząc pytanie. Potem dodał, ni stąd, ni zowąd: – Całe to jezioro należy do mnie. Kupiłem je.

– Świetnie.

Dopił wino. W butelce już nic nie zostało.

– Masa wody – powiedział Newton. Odwrócił się do niego. – Jak pan myśli, ile mniej więcej?

– Ile wody?

– Tak. – Newton machinalnie odłamał kawałek sera i wgrzyzł się w niego.

– Rany. Nie mam pojęcia. Dwadzieścia milionów litrów? Czterdzieści? – Parsknął śmiechem. – Ja ledwo jestem w stanie oszacować, ile kwasu siarkowego mam w zlewce. – Spojrzał na jezioro. – Sto milionów litrów? A, cholera, ja nie muszę tego wiedzieć. Jestem specjalistą. – Po czym przypomniał sobie, jaką renomę ma Newton. – Ale pan nie jest. Pan się zna na wszystkich istniejących gałęziach nauki. I może jeszcze paru, które nie istnieją.

– Ale skąd. Ja jestem tylko... wynalazcą. Oby. – Dokończył ser. – Myślę nawet, że jestem jeszcze większym specjalistą od pana.

– Specjalistą? Od czego?

Newton przez chwilę nie odpowiadał. Potem rzekł:

– Trudno powiedzieć. – Uśmiechnął się znów, enigmatycznie.

– Lubi pan dżin, bez niczego?

– Nie za bardzo. Ale może...

– Mam tu butelkę. – Newton sięgnął do koszyka pod nogami i wyciągnął butelkę.

Bryce roześmiał się. Nie mógł się powstrzymać. Ichabod Crane z ćwiartką dżinu w koszyku piknikowym. Newton nalał mu solidną szklanekę, potem sobie. Niespodziewanie, wciąż z butelką w dłoni, stwierdził:

– Za dużo piję.

– Wszyscy za dużo piją.

Bryce spróbował dżinu. Nie smakował mu, zawsze miał wrażenie, że pije perfumy. Wypił jednak. Jak często bywa okazja napić się z własnym szefem? I jak często trafia się szef będący Ichabodem Crane'em, Hamletem i Cortezem naraz, który przed chwilą wysiadł ze statku z Marsa, a na jesieni podbija świat swoim nowym statkiem? Rozbolały go plecy. Osunął się na trawę i oparł o kłodę zwrócony stopami w stronę jeziora. Sto dwadzieścia milionów litrów? Znów łyknął dżinu, wydłubał z kieszeni zgniecioną paczkę papierosów i podsunął

ją Newtonowi. Ten wciąż siedział na kłodzie i z dołu Bryce'owi wydawał się jeszcze wyższy i jeszcze bardziej nieobecny.

– Raz kiedyś zapaliłem, chyba z rok temu – powiedział Newton. – Strasznie źle się potem czułem.

– Ooo. – Wyjął papierosa z paczki. – To wolałby pan, żebym nie palił?

– Tak. – Newton spojrzał na niego z góry. – Myśli pan, że będzie wojna?

Przyjrzał się z namysłem papierosowi, potem pstryknął nim do jeziora. Popłynął po wodzie.

– Przecież są, chyba ze trzy naraz? Albo i cztery?

– Trzy. Ale chodzi mi o wojnę na ciężką broń. Bomby wodorowe ma dziewięć państw, biologiczne co najmniej dwanaście. Myśli pan, że ich użyją?

Bryce wypił większy łyk dżinu.

– Pewnie tak. Na pewno. W sumie to nie wiem, czemu to się jeszcze nie wydarzyło. Ani czemu nie zapiliśmy się wszyscy na śmierć. Albo nie zakochaliśmy się na śmierć.

Statek znajdował się teraz naprzeciwko nich, po drugiej stronie jeziora, ale zasłaniały go drzewa. Bryce machnął szklanką w jego kierunku i zapytał:

– A to? To też będzie broń? Dla kogo?

– To nie będzie broń. W zasadzie. – Newton chyba się upił. – Ale nie powiem panu, co to będzie. – I dodał: – A za ile czasu?

– Co za ile czasu? – Sam też poczuł się oszołomiony. Świetnie. Piękne popołudnie, w sam raz, by się napić. Dawno się tak nie czuł.

– Za ile zacznie się wielka wojna? Ta, która wszystko zniszczy.

– A w sumie to może i dobrze? – Dopił resztę dżinu, sięgnął do koszyka po butelkę. – Wszystko być może wymaga zniszczenia. – Biorąc butelkę, zerknął na Newtona, lecz nie dojrzał jego twarzy, bo oślepiało go słońce. – Pan jest z Marsa?

– Nie. Jak pan myśli: dziesięć lat? Mnie uczyli, że co najmniej za dziesięć lat.

– A gdzie to uczą takich rzeczy? – Nalał sobie. – Ja mówię, że za pięć.

– To za szybko.

– Za szybko na co?

– Za szybko. – Newton spojrział na niego ze smutkiem. – Ale raczej nie ma pan racji.

– No dobra, to za trzy lata. To z Wenus pan jest? Z Jowisza? Z Filadelfii?

– Nie. – Wzruszył ramionami. – Ja się nazywam Rumpelszyk.

– Rumpelszyk, dobra, a nazwisko?

Newton sięgnął w dół, zabrał mu butelkę, nalał sobie kolejną szklanekę dżinu.

– A co, myśli pan, że to się jednak nie zdarzy?

– Może i nie. A czemu miałyby się nie zdarzyć, panie Rumpelszyk? Bo istnieją szlachetniejsze ludzkie instynkty? Elfy mieszkają w jaskiniach, pan mieszka w jaskini, gdy nie jest pan u nas z wizytą?

– W jaskiniach to mieszkają trolle. Elfy gdzie indziej. Elfy potrafią się przystosowywać do bardzo trudnych środowisk, na przykład takich jak to. – Obwiódł trzęsącą się ręką jezioro, wylewając sobie dżin na koszulę. – Ja jestem elfem, panie Bryce, i wszędzie żyję sam. Wszędzie całkiem sam. – Wpatrzył się w wodę.

Na wodzie, może z kilometr od nich, osiadło spore stado kaczek, pewnie zmęczonych migracją na południe. Unosiły się na wodzie jak małe baloniki, dryfując, gdyby nie potrafiły same się poruszać.

– No tak, rzeczywiście, gdyby pan był z Marsa, rzeczywiście byłby pan samotny – powiedział Bryce, patrząc na kaczki. Byłby właśnie taką samotną kaczką na jeziorze, zmęczonym migrantem.



- To nie jest konieczne.
- Co nie jest konieczne?
- Niekoniecznie trzeba być z Marsa. Myślę, że i pan całkiem często czuje się samotny. Osamotniony. A jest pan z Marsa?
- Nie sądzę.
- Z Filadelfii?

Bryce parsknął śmiechem.

- No, nie. Z Portsmouth w Ohio. Tam jest dalej niż na Marsa.

Kaczki bez ostrzeżenia zaczęły zawzięcie kwakać. I nagle zerwały się do lotu, z początku w nieładzie, z czasem jednak ustawiając się w coś w rodzaju luźnego szyku. Bryce patrzył, jak znikają za górami, cały czas nabierając wysokości. Przyszły mu do głowy jakieś mętne myśli o wędrówkach ptaków, owadów i małych włochatych stworzonek, poruszających się po odwiecznych starych ścieżkach ku dawnym ojczyznom i nowym sposobom na śmierć. Potem stado kaczek skojarzyło mu się nieprzyjemnie ze stadem pocisków rakietowych, które wiele lat temu zobaczył na okładce tygodnika, a to z kolei przywiodło mu na myśl tę konstrukcję, którą pomaga zbudować dziwnemu człowiekowi – ten opływowo jak pocisk statek, co podobno będzie badał, eksplorował, robił zdjęcia, czy coś tam, i któremu teraz, kompletnie oszołomiony i pijany, wśród popołudniowego słońca, nie ufał. Nie ufał nic a nic.

Newton wstał, zatoczył się i powiedział:

- Chodźmy do domu. Poproszę Brinnarde’a, żeby pana odwiózł, jeśli pan sobie życzy.

– Życzę sobie. – Wstał, otrzepał się z liści i dopił dzin. – Jestem zbyt pijany i za stary, żeby wracać na piechotę.

Szli nieco chwiejnie i w milczeniu, lecz pod samym domem Newton odezwał się:

- Mam nadzieję, że to faktycznie będzie dziesięć lat.
- Czemu akurat dziesięć? – zdziwił się Bryce. – Za dziesięć lat to i broń będzie o wiele lepsza. Wysadzą wszystko. Razem

z budą. Może nawet zrobią to Litwini. Albo Filadelfijczycy.

Newton spojrział na niego dziwnie. Bryce przez moment czuł się nieswojo.

– Jeśli mamy dziesięć lat – powiedział Newton – to to się może w ogóle nie wydarzyć. Może się okazać niemożliwe.

– A co nas powstrzyma? Ludzka natura? Powtórne przyjście Chrystusa? – Z niewyjaśnionego powodu nie był w stanie spojrzeć Newtonowi w oczy.

Newton po raz pierwszy się roześmiał, cicho i przyjemnie.

– Może to rzeczywiście będzie powtórne przyjście. Jezus Chrystus we własnej osobie. Za dziesięć lat.

– Jak przyjdzie – odezwał się Bryce – to niech lepiej uważa na siebie.

– Myślę, że chyba pamięta, co się z nim stało poprzednim razem.

Brinnarde wyszedł z rezydencji im naprzeciw; Bryce poczuł ulgę, zaczynało mu się kręcić w głowie od tego słońca.

Kazał mu się podwieźć prosto do domu, nie zatrzymując się przy laboratorium. Po drodze Brinnarde zadał mu ogromną liczbę pytań, a on na wszystkie odpowiedział ogólnikami. Gdy dotarł do domu, była piąta. Wszedł do kuchni, w której panował, jak zawsze, kompletny bałagan. Na ścianie wisiał przywieziony z Iowy *Upadek Ikara*, w zlewie walały się naczynia ze śniadania. Wyjął sobie z lodówki udko kurczaka na zimno i przeżuwając je, poczłapał ze znużeniem do łóżka, gdzie błyskawicznie zasnął, zostawiwszy niedojedzoną kość na stoliku nocnym. Śniły mu się najprzeróżniejsze rzeczy, kompletnie chaotyczne, przez które często przewijał się lot ptaków w nierównym szyku na chłodnym błękitnym niebie...

Obudził się o czwartej rano, nagle, w ciemności, z parszywym posmakiem w ustach, obolałą głową i szyją spoconą od wełnianego kołnierzyka. Stopy miał opuchnięte od chodzenia i potwornie chciało mu się pić. Przez parę minut siedział na

brzegu łóżka i gapił się na świecący cyferblat budzika, a potem ostrożnie włączył lampkę, przed pstryknięciem zamykając oczy. Wstał i mrugając, poczłapał do łazienki. Napełnił umywalkę zimną wodą, nalewając jej sobie jednocześnie do mycia zębów. Zakręcił kran, zapalił światło, zaczął rozpinać gryzącą kraciastą koszulę. W lustrze dostrzegł w dekolcie podkoszulka łuk swojej bladej piersi i odwrócił wzrok. Zanurzył dłonie w umywalce i trzymał je tak, pozwalając zimnej wodzie przywrócić krążenie w nadgarstkach. Potem złożył dłonie razem i polał wodą szyję i twarz. Osuszył się szorstkim ręcznikiem i umył zęby, usuwając z ust paskudny posmak. Rozczesał włosy, poszedł do sypialni po świeżą koszulę – tym razem niebieską, elegancką, ale bez tych falbanek z przodu, które wszyscy ostatnio nosili.

Przez cały czas, kiedy to robił, w głowie kołatało mu się stare powiedzenie: „Albo rybka, albo pipka”. Zrobił sobie śniadanie w kuchni: rozpuścił w gorącej wodzie pastylkę kawy i usmażył omlet pokryty solidną ilością krojonych pieczarek z puszki. Zręcznie złożył go łopatką na pół, zdjął z patelni, tak by w środku był jeszcze wilgotny, zaniósł razem z kawą na plastikowy stolik i powoli jadł, pozwalając rozdrażnionemu dżinem żołądkowi powoli i delikatnie wchłaniać kolejne kęsy. Omlet się przyjął – przez chwilę był zadowolony z siebie, że nie zwymiotował po tym, jak od wczorajszego śniadania nie spożył nic poza winem, serem i dżinem bez niczego. Wzdrygnął się. Trzeba było połknąć chociaż parę tych tabletek z białkiem z glonów, które ludzie jedzą, kiedy nie mają czasu na porządny obiad. Białko z glonów – paskudna sprawa, jeść szumowiny ze stawu zamiast wątróbki z cebulką. Ale może trzeba by już się na nie przestawić, zważywszy, ilu jest ludzi, przypomniawszy sobie azjatyckie półpustynie, przez które w Chinach znowu rządzą faszyci – i które dzięki nim znalazły się z powrotem w „wolnym świecie” dyktatorów, demagogów i hedonistów. Za dwadzieścia lat wszyscy będziemy jeść syf ze stawu, olej z ryb

i węglowodany z kolb Erlenmeyera, pomyślał, kończąc omlet. Kiedy nie będzie już miejsca na kury, ostatnie jajka trafią do muzeów. Może w Smithsonian przetrwa ostatni omlet zatopiony w plastiku. Napił się kawy, po części syntetycznej, i przypomniał sobie stare powiedzenie biologów, że kura to sposób jajka na rozmnażanie się. I zaraz naszły go ponure myśli o jakimś genialnym młodym biologu, ostrzyżonym na jeża, w spodniach z falbankami, który wynajduje dla jajka o wiele efektywniejszy sposób rozmnażania, kompletnie eliminując z tego kurę. Właściwie to pewnie nie byłby młody geniusz, ale właśnie ktoś w rodzaju T.J. Newtona. To taki typ wynalazłby jajko z pępkiem, coś jak pomarańcza z pępkiem, czyli owocem wtórnym, a wszystko zapakowane w kolorową folię i sprzedawane przez World Enterprises Corporation. Jajko, które się samo rozmnaża; wkładasz do stojącej wody i rośnie jak plastikowe korale, codziennie wypączkowując nowe jajko. Ale potem nie gdcze z satysfakcją, nie wykluje się z niego wspaniały i dumny kogut, choćby do walk, ani durna kura, którą mogą sobie dzieciaki ganiać. I smażonego kurczaka na obiad też z tego nie będzie.

Potem, dopiwszy kawę, uniósł wzrok, spojrzał na *Upadek Ikar* i wiedząc już, co ten obraz będzie odtąd dla niego znaczył, odstawił filiżankę i powiedział na głos:

– Dosyć, panie Bryce, tych intelektualnych gier. Albo rybka, albo pipka: Mars czy Massachusetts?

Po czym, cały czas patrząc na rękę i nogę upadłego z nieba chłopca w oceanie, pośród sielskiego krajobrazu, pomyślał: ale wróg czy przyjaciel? Nie spuszczał z oczu obrazu. Obrońca czy najeźdźca? W głowie miał słowa Newtona: „Może to rzeczywiście będzie powtórne przyjście”. Jednakże Ikar przegrał, spalił się i utonął, a Dedal, który nie wzleciał tak wysoko, uciekł z tej samotnej wyspy. Tyle że nie po to, by uratować świat. Przeciwnie, być może po to, by go zniszczyć, bo

to on wynalazł latanie, a zniszczenie w dzisiejszych czasach przychodzi z powietrza. Światłość przychodzi z powietrza, pomyślał. Podupadam na zdrowiu, muszę umrzeć. Panie zmiłuj się nad nami. Pokręcił głową, próbując nie dopuścić, by myśli się rozbiegły. Teraz jest tylko jeden problem: Mars czy Massachusetts. Wszystko inne jest drugorzędne. Ale co już wie? Jest ten akcent Newtona, jego wygląd, jego sposób poruszania się. Produkty jego umysłu sugerujące technologię bardziej obcą niż ptolemejska kosmologia. Te logarytmy, kompletnie od czapy, fakt, że za oboma razami, kiedy Bryce go widział, był lekko pijany, co mogłoby sugerować nieziemską samotność, którą czuje tu przybysz, albo niezdolność do zrozumienia kultury, w której osiadł. Ale, cholera, picie alkoholu to coś tak ludzkiego, że wręcz unieważnia inne argumenty. Przecież mało prawdopodobne, żeby alkohol działał na istotę pozaziemską tak samo, jak na ludzi, prawda? Newton musi być człowiekiem. Albo kimś bardzo do człowieka podobnym. Musi mieć podobny do ludzkiego metabolizm i skład krwi, tylko pod tym warunkiem może się upijać. Zatem nadal jest bardzo prawdopodobne, że pochodzi z Massachusetts. Albo Litwy. Choć, w sumie, czemu nie Marsjanin-pijak? Jezus też pił wino, a zstąpił z nieba – żarłok i pijak, mówili faryzeusze. Pijak z kosmosu. Czemu ciągle odbiega myślami od tematu? Cortez zapewne też dostał tequilę i był powtórnie przybyłym mesjaszem, niebieskookim bogiem Quetzalcoatlem, który przybył, żeby uratować peonów przed Aztekami. Za dziesięć lat? Logarytmy o podstawie dwanaście. I co jeszcze? I co jeszcze?

---

2 Ichabod Crane – postać nauczyciela z *Legendy o Sennej Kotlinie* Washingtona Irvinga (przyp. tłum.).

## rozdział 2

Czasami miał wrażenie, że powoli wariuje, tak samo jak ludzie, choć u Anteańczyków było to teoretycznie niemożliwe. Nie rozumiał, co się z nim dzieje i co się z nim już stało. Został przygotowany na niezwykłą trudność swojego zadania – wybrano go ze względu na siłę fizyczną i łatwość adaptacji. Od początku wiedział, że może ponieść klęskę na bardzo wiele sposobów, że całe przedsięwzięcie wiąże się z ogromnym ryzykiem, że jest to desperacki plan ludzi niemających innego wyjścia; i był na tę porażkę przygotowany. Nie był jednak gotowy na to, co się w istocie stało. Sam plan szedł bardzo dobrze – ogromne sumy pieniędzy zarobione, budowa statku rozpoczęta prawie bezproblemowo, nikt też go nie zdemaskował (choć, jak sądził, wielu podejrzewało) – prawdopodobieństwo sukcesu stawało się coraz większe. A tymczasem on, Anteańczyk, wyższa istota z bardziej zaawansowanej rasy, tracił nad sobą kontrolę, stawał się degeneratem, pijakiem, zagubionym i ogłupiałym renegatem, a możliwe, że i zdrajcą własnego gatunku.

Czasami za swą słabość w obliczu tego świata obwiniał Betty Jo. Jakże ludzki się stał w tej racjonalizacji swoich działań! To przez nią stał się jak tubylec, obsesyjnie rozmyślający o nieokreślonych przewinach i jeszcze bardziej mętnych wątpliwościach. Nauczyła go pić dżin; pokazała mu inną, silną, zadowoloną z siebie, hedonistyczną i bezmyślną stronę ludzkości, o której nie miał pojęcia mimo piętnastu lat studiowania programów telewizyjnych. Pokazała mu ospałą,

pijaną witalność, o której Anteańczycy w swej okropnej mądrości i wiekowości nie mogli wiedzieć ani marzyć. Czuł się jak człowiek otoczony przez całkiem przyjacielskie, zabawne i dość inteligentne zwierzęta, który z czasem odkrywa, że ich myśli i relacje są bardziej złożone, o wiele bardziej, niż go wcześniej uczono. Taki człowiek może z czasem odkryć, że w jednym bądź wielu aspektach osądów i podejmowania decyzji, którymi dysponuje istota wysoce inteligentna, zwierzęta wokół niego, kalające własne gniazdo i zjadające własne nieczystości, są szczęśliwsze i mądrzejsze od niego.

A może po prostu człowiek, który wystarczająco dużo czasu spędzi otoczony przez zwierzęta, staje się zwierzęciem w większym stopniu, niż powinien? To porównanie było niesprawiedliwe i nieprawdziwe. Miał z ziemskimi ludźmi wspólny rodowód, był z nimi spokrewniony bliżej niż inne ssaki i ziemskie zwierzęta. I Anteańczycy, i Ziemianie byli elokwentnymi, dość racjonalnymi istotami, zdolnymi do wnikliwych przemyśleń, przewidywania, odczuwania emocji określanych w przybliżeniu jako miłość, litość, szacunek. I, jak odkrył, równie skłonny do pijaństwa.

Anteańczycy mieli pewne pojęcie o alkoholu, choć cukry i tłuszcze odgrywały w ekologii ich świata bardzo niewielką rolę. Rosła u nich pewna słodka jagoda, z której czasami wyrabiano coś przypominającego lekkie wino; potrafili też oczywiście bardzo łatwo syntetyzować czysty alkohol etylowy, więc Anteańczyk miałby się czym upić, ale zdarzało się to bardzo rzadko. A regularne picie nie występowało w ogóle, nie spotykało się Anteańczyków-alkoholików. W życiu nie słyszał, żeby ktokolwiek na Antei pił tak jak on – codziennie i regularnie.

Nie upijał się tak jak ludzie, a przynajmniej wydawało mu się, że nie. Nie pił, żeby stracić świadomość, nie pił dla szalonej radości ani dla poczucia nieśmiertelności; pragnął tylko ulgi

i sam nie był pewien od czego. Kaca nie miewał, obojętne, ile wypił. Przez większość czasu był sam. Trudno byłoby mu wytrzymać bez picia.

Kiedy zostawił Bryce'a z Brinnarde'em, który miał odwiedzić go do domu, wszedł do nigdy nieużywanego własnego salonu i stał w milczeniu przez minutę, rozkoszując się chłodem i spokojnym półmrokiem. Jeden z kotów wstał leniwie z kanapy, przeciągnął się, podszedł do niego i mrużąc, zaczął ocierać mu się o nogi. Spojrzał nań czule; z czasem bardzo polubił koty. Miały w sobie coś, co przypominało mu Antę, mimo że wcale nie było tam podobnych zwierząt. Ale do tego świata raczej też nie należały.

Betty Jo, w fartuchu, wyjrzała z kuchni. Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa, łagodnym wzrokiem, a potem zapytała:

– Tommy?

– Tak?

– Tommy, dzwonił do ciebie pan Farnsworth z Nowego Jorku. Dwa razy.

Wzruszył ramionami.

– Dzwoni prawie codziennie, nie?

– Tak, Tommy. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Ale powiedział, że to ważne i powinieneś jak najszybciej do niego oddzwonić.

Bardzo dobrze wiedział, że Farnsworth ma problemy, ale na razie będą musiały poczekać. Nie czuł się na siłach teraz się z nimi mierzyć. Zerknął na zegarek. Dochodziła piąta.

– Powiedz Brinnarde'owi, żeby mnie połączył o ósmej. A jeśli Oliver do tego czasu zadzwoni, powiedz mu, że jestem zajęty i porozmawiamy o ósmej.

– Dobrze. – Zawahała się i dodała: – Chcesz, żebym z tobą posiedziała? Może porozmawiała?

Zobaczył wyraz jej twarzy, pełen nadziei – mówiący, że w kwestii towarzystwa do rozmowy jest równie zależna od niego, jak on od niej. Jakże dziwna stała się ta ich relacja! Mimo



to, choć wiedział, że czuje się równie samotna jak on i równie jak on wyalienowana, nie był w stanie przyznać jej teraz prawa, by choćby posiedziała z nim w milczeniu. Uśmiechnął się najmilej, jak umiał.

– Przepraszam, Betty Jo. Ale muszę przez chwilę pobyc sam. – Jak trudny robił się dla niego ten wyćwiczony uśmiech!

– Jasne, Tommy – odpowiedziała. Odwróciła się zbyt pośpiesznie. – Muszę iść do kuchni. – W drzwiach obejrzała się jeszcze. – Dasz znać, gdy będziesz chciał zjeść kolację, dobrze? Przyniosę ci.

– Świetnie.

Podszedł do schodów i zdecydował, że pojedzie na górę nieużywanym od tygodni podnośnikiem. Zaczynał czuć ogromne zmęczenie. Gdy usiadł na krzeselku, jeden z kotów wskoczył mu na kolana, on zaś wzdrygnął się zaskoczony i rzucił go. Kot spadł bezgłośnie na posadzkę, otrząsnął się i odszedł, nie zaszczyciwszy go choćby spojrzeniem. Patrząc na kota, pomyślał: gdybyście to wy byli jedynym inteligentnym gatunkiem na tej planecie. A potem, uśmiechnąwszy się zgryźliwie do siebie: właściwie może i tak jest.

Pewnego razu, ponad rok temu, zdarzyło mu się wspomnieć Farnsworthowi, że zaczyna go interesować muzyka. Było to tylko częściowo prawdą, bo melodie i tonalność ludzkiej muzyki zawsze wydawały mu się odrobinę przykre dla ucha. Zainteresował się za to historycznym aspektem muzyki, patrzył bowiem okiem historyka na niemal wszystkie przejawy ludzkiego folkloru i sztuki – zainteresowanie to rozwinęło mu się przez lata studiowania przekazów telewizyjnych, a na Ziemi kultywował je, czytając całymi nocami. Farnsworth zaraz po tym napomknięciu sprezentował mu oktofoniczny system muzyczny o wspaniale wiernej reprodukcji dźwięku, którego głośniki, wzmacniacze i odtwarzacze w znacznej mierze opierały się zresztą na patentach W. E. Corporation. Do

instalacji tego wszystkiego w jego gabinecie potrzeba było trzech elektroników z dyplomami magistrów. Męczące to było, lecz nie chciał jakoś urazić Farnswortha. Wszystkie elementy sterujące znalazły się na mosiężnym pulpicie – sam wolałby coś mniej laboratoryjnego niż płaska mosiężna płyta, może misternie malowaną porcelaną – na bocznej ścianie regału z książkami. Farnsworth podarował mu także automatyczną zmieniarkę z pięciuset nagraniami, a wszystko zapisane na stalowych kuleczkach, także opatentowanych przez W. E. Corporation. Przyniosły dotąd firmie co najmniej dwadzieścia milionów dolarów. Przyciskało się guzik, kuleczka wielkości ziarenka grochu wpadała do czytnika. Mały, powoli przesuwający się skaner analizował jej strukturę cząsteczkową i zamieniał zapis na postać dźwiękową – orkiestry, zespoły, gitarzystów, głosy. Newton prawie nigdy nie puszczał sobie żadnej muzyki. Za uporczywą namową Farnswortha spróbował paru symfonii i kwartetów, jednak prawie nic w nich nie odnalazł. Dziwne, że ich sens był dla niego aż tak niedostępny. Inne dziedziny sztuki, choć głupio interpretowane i traktowane protekcjonalnie w niedzielnych programach telewizyjnych (najnudniejszych i najbardziej pretensjonalnych ze wszystkich) były w stanie go poruszyć, i to bardzo, zwłaszcza rzeźby i malarstwo. Być może zmysł wzroku miał bardziej podobny do ludzkiego, a słuchu – nie bardzo.

Kiedy wrócił do gabinetu, rozmyślając o kotach i ludziach, postanowił tknięty impulsem coś jednak puścić. Włączył symfonię Haydna, której powinien według Farnswortha wysłuchać. Po chwili zabrzmiały dźwięki, agresywne, mechanicznie dokładne, nieskładające mu się w żadną logiczną ani estetyczną całość. Jakby Amerykanin słuchał chińskiej muzyki. Nalał sobie dzinu ze stojącej na regale butelki i wypił go bez niczego, próbując ogarnąć umysłem tę muzykę. Już miał usiąść na sofie, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi. Przestraszony

upuścił szklankę. Rozbiła mu się pod nogami. Po raz pierwszy w życiu zawołał:

– Czego, do cholery?!

To aż tak stawał się człowiekiem?

Zza drzwi dobiegł lekko przestraszony głos Betty Jo:

– Tommy, znowu dzwoni pan Farnsworth. Jest uparty, domagał się, żebym ci...

Odparł łagodniejszym głosem, choć wciąż słycać w nim było złość:

– Powiedz mu, że nie. Do jutra z nimi nie rozmawiam. Z nikim.

Przez minutę – cisza. Spojrzał na potłuczone szkło pod nogami, kopnął co większe odłamki pod kanapę. I znów głos Betty Jo:

– Dobrze, Tommy. Powiem mu... – Przerwała. – Teraz odpocznij, Tommy. Dobrze? Słyszysz?

– Dobrze. Odpocznę.

Usłyszał oddalające się kroki. Podeszedł do regału. Nie było drugiej szklanki. Już miał zawołać Betty Jo, ale tylko wziął prawie pełną butelkę, zdjął nakrętkę i napił się wprost z niej. Wyłączył Haydna – myślałby kto, że będzie rozumiał taką muzykę? – i puścił kolekcję starej ludowej czarnej muzyki, muzyki Gullah – czarnych niewolników z Georgii i Karoliny. W niej chociaż, w słowach, coś do niego docierało.

W głośnikach odezwał się potężny, choć zmęczony głos:

*Koło domu panny Lulu,  
Zawsze użre mnie tyn pies.  
Koło domu panny Sally,  
Zawsze buldog użre mnie...*

Uśmiechnął się w zamyśleniu. Słowa piosenki jakby trącały w nim jakąś czułą strunę. Usadowił się z dżinem na kanapie.

Zaczął myśleć o Nathanie Brysie i ich popołudniowej rozmowie.

Od pierwszego spotkania wyobrażał sobie, że Bryce go podejrzewa; chemik zdradził się już, nalegając na bezpośrednią rozmowę z nim. Przeprowadził dość kosztowny wywiad, by się upewnić, że Bryce działa wyłącznie sam, że nie pracuje dla FBI, jak co najmniej dwóch spośród robotników budowlanych, ani dla żadnej innej państwowej agencji. Ale skoro Bryce nabrał podejrzeń co do niego i jego motywów – podobnie jak Farnsworth i zapewne parę innych osób – dlaczego jemu, Newtonowi, tak zależało na ciągnięciu tej popołudniowej, dość osobistej rozmowy? I czemu ciągle rzucał aluzje, gadał o wojnie, o powtórny przyjsciu Chrystusa, nazywał się Rumpelsztykiem, złowrogim karłem, który przybył znikąd, umiał prząść złoto ze słomy i uratować królowej życie dzięki swojej niezemskiej wiedzy, tylko po to, by ukraść jej dziecko? Jedynym sposobem na pokonanie Rumpelsztyka było zdemaskowanie go, odkrycie jego prawdziwego imienia.

*Jak dziecko bez matki, tak czasem mi jest,  
Jak dziecko bez matki, tak czasem mi jest,  
Gloria, Gloria, Alleluja!*

Ale dlaczego, przyszło mu nagle do głowy, Rumpelsztyk dał królowej okazję do ucieczki? Czemu dał jej trzy dni na odgadnięcie swojego imienia? Czy to był nadmiar pewności siebie – bo kto na świecie by się domyślił takiego imienia? Czy po prostu chciał, żeby go zdemaskowali, złapali, pozbawili zdolności do oszustwa i czarów? A on, Thomas Jerome Newton, władający czarami i podstępami o wiele większymi niż którykolwiek czarodziej czy elf z baśni – a czytał wszystkie, co do jednej – czy on też chce teraz, żeby go wykryto i złapano?

*Przylazł pod drzwi moje, no i sobie stoi,  
Mówi, że nie podobam mu się,  
No i sobie stoi, puka we drzwi moje,  
Mówi, że nie podobam mu się.*

Dlaczego, zachodził w głowę Newton, ściskając w dłoni butelkę, miałbym chcieć, żeby mnie wykryli? Wpatrzył się w nalepkę na butelce, czując bardzo dziwne oszołomienie. Nagranie urwało się raptownie. Nastąpiła przerwa w oczekiwaniu na pobranie kolejnej kulki z magazynka. Pociągnął potężny, nieprzyzwoity haust dżinu. Wtem w głośnikach zagrzmiała orkiestra, raniąc mu uszy.

Wstał, nieco półprzytomny, zamrugał. Czuł się bardzo słaby – chyba nigdy nie był tak słaby od czasu, kiedy wiele lat temu, w listopadzie, przerażony i samotny wymiotował na pustkowiu. Podszedł do pulpitu, wyłączył muzykę. Potem odwrócił się do przełączników telewizora i włączył go. Może się trafi western...

Duże zdjęcie czapli na przeciwległej ścianie zbladło. Zastąpiła je gadająca głowa przystojnego mężczyzny o fałszywie poważnym spojrzeniu kultywowanym przez polityków, telewizyjnych uzdrowiaczy i ewangelistów. Usta poruszały się bezgłośnie, oczy wpatrywały się w niego.

Podkreślił głośność. Głowa zyskała głos: „...Stanów Zjednoczonych, wolnego i niepodległego kraju, musimy przepasać swe biodra i ruszyć z naszego wolnego świata, by zmierzyć się z nadziejami i lękami całego świata. Pamiętajmy, że Stany Zjednoczone nie są drugorzędym mocarstwem, a ci, co twierdzą inaczej, są ignorantami. Pamiętajmy, że wolność zwycięży, a my musimy...”.

Nagle dotarło do niego, że to przemawia prezydent Stanów Zjednoczonych, z zadęciem godnym lepszej sprawy. Pstryknął. Na ekranie pokazała się scena z sypialni. Mężczyzna i kobieta, oboje w piżamach, przierzucali się wymęczonymi pieprzonymi

żartami. Pstryknął po raz kolejny, licząc na western. Lubił westerny. Na ekranie pojawił się jednak filmik propagandowy, zrealizowany na zlecenie rządu, opiewający amerykańskie zalety i cnoty. Obrazy białych kościołów z Nowej Anglii, ludzi pracujących w polu – a w każdej grupie jeden uśmiechnięty czarnoskóry – i klonów. Miał wrażenie, że tego typu filmy pojawiają się ostatnio coraz częściej, i tak jak popularne tygodniki, robią się coraz bardziej szowinistyczne, coraz bardziej zaprzędane temu niesamowitemu kłamstwu, że Stany to kraj bogobojnych małych miasteczek, efektywnych miast, zdrowych rolników, uprzejmych lekarzy, nieśmiałych gospodyń domowych i milionerów-filantropów.

– Mój Boże! – powiedział. – Mój Boże, co za przerażeni, użalający się nad sobą hedoniści! Kłamcy! Szowiniści! Durnie!

Znów pstryknął przełącznikiem i zobaczył na ekranie scenę z klubu nocnego, z cichą muzyką w tle. Zostawił ją na chwilę, przyglądając się ruchom ludzi na parkiecie, wystrojonych jak pawie, obejmujących się nawzajem przy muzyce.

A kimże ja jestem, pomyślał, jak nie przerażonym, użalającym się nad sobą hedonistą? Dokończył butelkę dżinu i spojrzał na swoje dłonie na szkle, wpatrzył się w sztuczne paznokcie połyskujące jak półprzejryste monety w migotliwym blasku telewizora. Patrzył na nie przez parę minut, jakby pierwszy raz widział je na oczy.

Potem wstał i chwiejnie podszedł do szafy. Wziął z półki pudełko, wielkości mniej więcej pudełka na buty. Po wewnętrznej stronie drzwi szafy wisiało pełnowymiarowe lustro. Zerknął na swoją sylwetkę, wysoką, chudą. Wrócił na kanapę i postawił pudełko na marmurowym blacie stolika przed sobą. Wyjął z niego małą plastikową fiolkę. Na stole stała pusta, nieużywana popielniczka w kształcie miseczki z chińskiej porcelany, prezent od Farnswortha. Wlał do niej płyn z fiolki, odstawił ją i zanurzył w popielniczce czubki

palców obu rąk, jakby to była miseczka do płukania rąk. Trzymał je tam przez minutę, potem wyciągnął i energicznie klasnął w dłonie. Paznokcie z cichym stukotem spadły na marmurowy blat. Końce palców miał teraz gładkie, miękkie, choć z wierzchu trochę podrażnione.

Z telewizora dobiegła jazzowa melodia o głośnym, natarczywym rytmie.

Podniósł się, podszedł do drzwi pokoju, zamknął je na klucz. Wrócił do pudełka na stoliku, wyjął kłębek czegoś podobnego do waty, zamoczył go w płynie. Zauważył, że drżą mu ręce. Wiedział, że jest pijany jak nigdy dotąd. Ale i to było jeszcze za mało.

Podszedł do lustra i przytknął wilgotny tampon do sztucznych małżowin usznych, aby je odkleić. Rozpiął koszulę, w ten sam sposób pozbył się sztucznych sutków i owłosienia na piersi. Były przyklejone do cieniutkiej, porowatej błony i odeszły razem z nią. Położył ją na stoliku do kawy. Wracając do lustra, zaczął mówić w swoim ojczystym języku, najpierw cicho, potem coraz głośniej, chcąc zagłuszyć dźwięk z telewizora. Deklamował wiersz, który sam napisał w młodości. Nie wychodziło mu to zbyt dobrze. Był zbyt pijany albo zatracił umiejętność wymawiania anteańskich spółgłosek syczących. Potem, ciężko wzdychając, wyjął z pudełeczka małe, przypominające pincetę narzędzie i ostrożnie zdjął z gałek ocznych cienkie kolorowe plastikowe powłoki. Wciąż borykając się z deklamowanym wierszem, zamrugał sam do siebie oczyma o pionowych, kocich źrenicach.

Długo patrzył na siebie. W końcu się rozplakał. Nie szlochał, po prostu z oczu płynęły mu łzy – dokładnie takie jak ludzkie – i spływały po chudych policzkach. Płakał z rozpacz.

Później odezwał się do siebie, na głos, po angielsku:

– Kim jesteś? Gdzie jest twój dom?

Własne ciało gapiło się na niego z lustra, ale nie rozpoznawało go. Było obce i przerażające.

Wziął kolejną butelkę. Muzyka się skończyła. Spiker mówił teraz: „...sala balowa hotelu Seelbach w centrum Louisville, którą oglądacie państwo w pełnej krasie dzięki firmie Worldcolor, producentowi najlepszych filmów i odczynników fotograficznych...”.

Newton nie spojrział na ekran zajęty otwieraniem butelki. Teraz usłyszał damski głos: „Zachowajmy pamiątki z wakacji, dzieciństwo naszych dzieci, wspomnienia z rodzinnych spotkań w Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie. Nie ma nic lepszego niż barwne i pełne życia zdjęcia firmy Worldcolor”.

A na kanapie leżał sobie Thomas Jerome Newton, pijany, z otwartą butelką dżinu w rozdygotanych, pozbawionych paznokci palcach, kocie oczy szkliste, pełne udręki i wpatrzone w sufit...



## rozdział 3

W niedzielę rano, pięć dni po pijackiej rozmowie z Newtonem, Bryce był w domu i usiłował czytać kryminał. Siedział przy elektrycznym grzejniku w małym saloniku z prefabrykatów, ubrany tylko w zieloną frotową piżamę, i pił trzecią filiżankę czarnej kawy. Tego ranka poczuł się nieco lepiej niż ostatnio, a niepokoje co do tożsamości Newtona dręczyły go trochę mniej. Pytanie, owszem, wciąż miał za bardzo ważne, podjął jednak decyzję, jak sobie będzie z nim radzić, o ile uważne obserwowanie można uznać za taką decyzję – i dzięki temu problem może nie zniknął z myśli, ale przestał się domagać ciągłej uwagi. Kryminał był przyjemnie głupawy, a na zewnątrz było nieprzyjemnie chłodno. Siedział zadowolony przy niby-kominku, było mu przyjemnie, nigdzie i do niczego mu się nie śpieszyło. Na ścianie po jego lewej stronie wisiał *Upadek Ikara*. Dwa dni wcześniej przeniósł go tutaj z kuchni.

Był mniej więcej w połowie książki, gdy od drzwi dobiegło go ciche pukanie. Wstał trochę zirytowany, zastanawiając się, kto, do cholery, mógłby go niepokoić w niedzielę rano. Wśród ekipy toczyło się bujne życie towarzyskie, on jednak go starannie unikał i nie miał wielu kolegów. A już na pewno nie tak bliskich przyjaciół, żeby przychodzili w niedzielę przed obiadem. Wziął z łazienki szlafrok i otworzył drzwi.

Na zewnątrz, w porannej szarości, dygocąc w lekkiej nylonowej kurtce, stała gospodyni Newtona.

Uśmiechnęła się do niego i zapytała:

– Pan doktor Bryce?

– Tak? – Nie pamiętał jej imienia, choć Newton raz wymienił je w jego obecności. Ale o Newtonie i tej kobiecie krążyła cała masa plotek. – Proszę wejść, zagrzać się trochę – dodał.

– Dziękuję. – Weszła szybko, ale jakby zakłopotana, zamknęła drzwi za sobą. – Pan Newton mnie wysyła.

– O? – Podprowadził ją do grzejnika. – Musi pani się cieplej ubierać.

Jakby się zarumieniała – a może po prostu policzki poczerwieniały jej z zimna.

– Ja... nie wychodzę zbyt często.

Pomógł jej ściągnąć kurtkę. Pochyliła się nad piecykiem i ogrzewała dłonie. Bryce usiadł i popatrywał na nią z namysłem, czekając, aż wyjawi powód wizyty. Nie była nieatrakcyjną kobietą – miała pełne usta, czarne włosy, tęgie ciało pod prostą niebieską sukienką. Musiała być mniej więcej w jego wieku i tak jak on ubierała się po staroświecku. Nie miała makijażu, ale zarumieniona od zimna w ogóle go nie potrzebowała. Biust miała obfity, jak owe chłopki w sowieckich filmach propagandowych. Stanowiłaby idealną, monumentalną „matkę Ziemię”, gdyby nie nieśmiałe, skromne spojrzenie oraz prostackie ruchy i głos. Poniżej sięgających do łokcia rękawów sukienki widać było porastający skórę delikatny czarny puszek, miękki i przyjemny. Podobało mu się to, podobnie jak jej niewyskubane brwi.

Gwałtownie się wyprostowała, uśmiechnęła do niego, teraz nieco pewniej, i odezwała się:

– No, palić to się toto nie pali.

Przez chwilę nie rozumiał. Potem dotarło – wskazał brodą rozgrzany do czerwoności palnik i powiedział:

– No, zupełnie nie. – I po chwili: – To może pani usiądzie?

Siadła na krześle naprzeciwko niego i oparła stopy o kanapę.

– I nie pachnie jak drewno. – Na moment się zamyśliła. – Mieszkałam na farmie i jeszcze pamiętam, jak się paliło drewno

z rana, kiedy skakałam po podłodze, żeby się ubrać. Kładłam rzeczy na piecu, żeby się nagrzały, a sama stawałam tyłem i grzałam sobie plecy. Pamiętam, jak pachniał ten ogień. Ale nie czułam tego zapachu od... Bóg jeden wie... chyba od dwudziestu lat.

– Ja też – powiedział.

– Teraz nic nie pachnie tak jak kiedyś – dodała. – Nawet kawa nie pachnie, tak ją jakoś robią. Większość rzeczy w ogóle nie pachnie.

– A chce pani może kawy?

– Pewnie – odparła. – Mam zrobić?

– Ja zrobię. – Wstał, dopijając filiżankę. – I tak już miałem iść po następną.

Poszedł do kuchni i zrobił dwie filiżanki, używając kapsulek – praktycznie nic innego nie można było teraz dostać, odkąd Stany zerwały stosunki z Brazylią. Przyniósł je na tacy. Biorąc kawę, uśmiechnęła się miło do niego. Wyglądała, jakby dobrze się tu czuła, jak stary, łagodny pies, któremu komfortu nie psuje ani duma, ani filozofia.

Usiadł, popijając kawę.

– Dobrze pani mówi. Nic już nie pachnie jak kiedyś. A może jesteśmy za starzy, żeby to dokładnie pamiętać.

Wciąż się uśmiechała.

– On chciałby wiedzieć, czy pojedzie pan z nim do Chicago. W przyszłym miesiącu.

– Pan Newton.

– Aha. Jest jakieś spotkanie. Mówił, że pan pewnie będzie wiedzieć, o co chodzi.

– Spotkanie? – Przez moment popijał kawę z namysłem. – A, no tak. Instytut Inżynierii Chemicznej. A po co on tam jedzie?

– Nie wiem – powiedziała. – Mówił, że gdyby chciał pan z nim pojechać, to wpadłby wieczorem, żeby to obgadać. Pan będzie w domu? Nie w pracy?

– Nie – odparł. – Nie. W niedziele nie pracuję. – Nonszalanckiego tonu głosu nie zmienił, w głowie jednak zaczęła się gonitwa myśli. Okazja sama wpadała mu w ręce; dwa dni temu już prawie zarysował mu się pewien plan, więc jeśli Newton faktycznie zamierza przyjść do jego domu... – Mogę z nim o tym porozmawiać, bardzo chętnie. – I dodał: – A mówił, o której by przyszedł?

– Nie, nie mówił. – Skończyła kawę, odstawiła filiżankę na podłogę obok krzesła.

Naprawdę czuje się jak u siebie, pomyślał, ale u niej zupełnie mu to nie przeszkadzało. To była autentyczna swoboda, nieudawana, niewystudiowana, jak u typów w rodzaju profesora Canuttiego i jego ostrzyżonych na jeża kumpli z Iowy.

– Ostatnio w ogóle mało mówi. – W jej głosie czuło się odrobinę napięcia. – Właściwie to prawie go nie widuję.

Zabrzmiało to smutno i Bryce zaczął się zastanawiać, co właściwie jest między nimi dwojgiem. I wtedy przyszło mu do głowy, że i tu otwiera się pewne pole do wykorzystania... którego może już nigdy nie zobaczyć.

– Chorował ostatnio? – Jeśli uda się ją trochę pociągnąć za język...

– Ja nic nie zauważyłam. Ale on jest dziwny. Ma takie humory... – Nie patrzyła na niego, wpatrzyła się w rozżarzoną spiralę piecyka przed sobą. – Czasami rozmawia tylko z tym Francuzem. Tym Brinnarde'em. A czasami tylko ze mną. Albo tylko siedzi w pokoju. Całymi dniami. Albo pije, ale trudno coś po nim poznać.

– A co robi ten Brinnarde? Za co odpowiada?

– A bo ja wiem? – Zerknęła na niego i wróciła wzrokiem do piecyka. – Chyba jest ochroniarzem. – Odwróciła się do niego z zaniepokojoną, nerwową miną. – Bo, wie pan, on nosi broń. Cały czas. I niech pan zwróci uwagę, jak on się rusza. Szybki

jest. – Pokręciła głową, zupełnie jak matka. – Ja tam mu nie ufam i według mnie pan Newton też nie powinien.

– Bardzo wielu bogatych ludzi ma ochronę. Poza tym pan Brinnarde robi też za kogoś w rodzaju sekretarza?

Zaśmiała się, krótko, drwiąco.

– Pan Newton nie pisze listów.

– No, chyba nie.

Potem, wciąż patrząc na piecyk, poprosiła nieśmiało:

– Nalałby mi pan jakiegoś drinka? Proszę...

– Oczywiście. – Wstał aż za szybko. – Dżinu?

Spojrzała nań uważnie.

– Tak, poproszę.

W całym jej zachowaniu było coś błagalnego i Bryce nagle zdał sobie sprawę, że ona musi być bardzo samotna, że praktycznie nie ma do kogo się odezwać. Zrobiło mu się jej szkoda, biednej, anachronicznej prostytutki – jednocześnie dotarło do niego, że ona bez problemu da z siebie wyciągnąć wszystkie informacje. Trochę się ją naoliwi dżinem, niech się trochę pogapi w ogień i sama zacznie gadać. Uśmiechnął się sam do siebie, czując się iście makiawelicznie.

Kiedy był w kuchni i zdejmował butelkę dżinu z półki nad zlewem, odezwała się z salonu:

– A doda mi pan trochę cukru?

– Cukru? – To było co najmniej zaskakujące.

– Tak. Trzy łyżeczki.

– No dobrze – odpowiedział, kręcąc głową. I dodał: – Przepraszam. Zapomniałem, jak się pani nazywa.

Głos wciąż miała napięty, jakby cały czas powstrzymywała go od drżenia, lub siebie od płaczu.

– Betty Jo. Betty Jo Mosher.

Odpowiedź była pełna dyskretnej godności, tak że aż się zawstydził, że nie zapamiętał jej imienia. Wsypał cukier do

szklanki, zaczął napełniać ją dżinem – i zrobiło mu się wstyd za to, co zamierza zrobić. Że chce ją wykorzystać.

– Pani pochodzi z Kentucky? – zapytał najuprzejmiej, jak umiał. Napełnił szklankę prawie do pełna i zamieszał.

– Tak. Z Irvine. Mniej więcej siedem mil od Irvine. To na północ stąd.

Przyniósł jej dżin, wzięła go z wdzięcznością, ale i udawaną rezerwą, jednocześnie wzruszającą i śmieszoną. Zaczynał ją lubić.

– A pani rodzice jeszcze żyją?

Przypomniawszy sobie, że miał ją skłonić do gadania o Newtonie, nie o sobie. Czemu ten jego umysł zawsze gdzieś zbacza z drogi do celu, do prawdziwego celu?

– Matka nie żyje. – Łyknęła dżinu, obróciła go z namysłem w ustach, przełknęła, zamrugnęła. – O, dżin to ja lubię – powiedziała. – Tato sprzedał farmę państwu, na tę hydro... ten...

– Farmę hydroponiczną?

– O, no, dokładnie. Taką, co hoduje w zbiornikach to paskudne jedzenie. W każdym razie tato siedzi teraz na zasiłku, na takim nowym osiedlu w Chicago, zupełnie jak ja siedziałam w Louisville, zanim poznałam Tommy'ego.

– Tommy'ego?

Uśmiechnęła się krzywo.

– No, pana Newtona. Czasem mówię do niego „Tommy”. Kiedyś myślałam, że to lubi.

Nabrał powietrza, odwracając się od niej, i zapytał:

– To jak go pani poznała?

Upiła kolejny łyk dżinu, delektując się nim. Potem parsknęła cichym śmiechem.

– W windzie. Jechałam windą w takim biurowcu w Louisville, żeby odebrać zasiłek, i Tommy też jechał tą windą. Jezu, jak on cudacznie wyglądał! Do tej pory to widzę. A potem złamał sobie nogę w tej windzie.

– Złamał nogę?

– No, dokładnie. Śmiesznie to brzmi, ale naprawdę tak było. Winda musiała za mocno szarpnąć czy coś. Gdyby pan wiedział, jaki on jest lekki!

– Lekki?

– Jezus, lekki jak nie wiem. Dałoby się go podnieść jedną ręką. Kości musi mieć jak ptaszek. Mówię panu, strasznie dziwny człowiek. Bardzo miły, bardzo dobry, taki inteligentny, taki bogaty i taki cierpliwy. Ale, panie profesorze...

– Tak?

– Ja myślę, panie profesorze, że on jest bardzo, bardzo chory. Chory na ciele... Jezus, gdyby pan widział, ile on różnych tabletek bierze! I myślę, że... i na umyśle coś jest z nim nie tak. Chciałabym mu pomóc, ale nie wiem, jak to zrobić. On nie dopuści do siebie żadnego lekarza.

Skończyła dżin i nachyliła się ku niemu, jakby po plotkarsku, lecz na jej twarzy malował się ból, zbyt autentyczny, żeby można go było odegrać jako usprawiedliwienie dla plotki.

– Panie Bryce, on chyba nigdy nie śpi. Jestem u niego prawie od roku i nigdy nie widziałam, żeby spał. Zupełnie jak nie człowiek.

Umysł Bryce'a zaczął się otwierać jak migawka. Poczł idący od karku dreszczyk, na łopatkach, potem na kręgosłupie.

– Jeszcze dżinu? – zapytał. A słysząc coś pośredniego między śmiechem a szlochem, dodał: – Ja też się napiję...

Zanim poszła, wypła jeszcze dwie szklanki. Wiele więcej mu o Newtonie nie powiedziała, pewnie dlatego, że nie miał ochoty już jej wypytywać, nie czuł takiej potrzeby. Kiedy wychodziła – w ogóle się nie zataczając, głowę musiała mieć mocną jak marynarz – powiedziała, wkładając kurtkę:

– Panie profesorze, ja jestem głupia i prosta kobieta, ale naprawdę dobrze mi się z panem rozmawiało.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział. – Może pani przychodzić, kiedy tylko pani zechce.

Uniosła brwi.

– Naprawdę?

On nie miał na myśli nic dosłownego, powiedział jednak, tym razem na poważnie:

– Tak, niech pani jeszcze przyjdzie. – I dodał: – Ja też za bardzo nie mam z kim pogadać.

– Dziękuję – powiedziała, wychodząc. Było zimowe południe.  
– Czyli jest nas troje, prawda?

Nie wiedział, ile ma czasu do przyjścia Newtona, był za to pewien, że musi działać szybko, jeśli chce być gotowy na czas. Poczul się bardzo podekscytowany, nerwowy, a ubierając się, mamrotał do siebie:

– Na pewno nie Massachusetts, to na pewno Mars. To musi być Mars... Czy ja bym wolał, żeby to był Mars?

Ubrał się, narzucił płaszcz i wyszedł z domu do laboratorium. Pięć minut drogi na piechotę. Padał teraz śnieg, a chłód na moment odwrócił jego uwagę od kłębiących się w głowie pomysłów, od zagadki, którą już niedługo rozwiąże raz na zawsze, jeśli tylko uda mu się odpowiednio ustawić te urządzenia i zdążyć na czas.

W laboratorium siedziało trzech jego asystentów – zbył ich szorstkim słowem, nie chcąc odpowiadać na uwagi o pogodzie. Czuł ich ciekawość, gdy zaczął demontować mały przyrząd w laboratorium metali – defektoskop RTG służący także do analizy naprężeń. Udawał jednak, że nie zauważa uniesionych brwi. Długo to nie trwało, wystarczyło odkręcić śruby mocujące kamerę i lekką lampę rentgenowską do ramy. Był w stanie sam je ponieść. Sprawdził jeszcze, czy kamera jest załadowana – załadowana wysokoczułym filmem rentgenowskim firmy W. E. Corporation – i wyszedł, niosąc ją w jednej ręce, lampę



w drugiej. Zamykając drzwi, obejrzał się na tamtych i powiedział:

– Słuchajcie, a może byście zrobili sobie dzisiaj wolne? Co wy na to?

Popatrzyli nań nieco oszołomieni, jeden odezwał się jednak:

– Jasne, bardzo chętnie, panie doktorze. – I spojrzeli po sobie.

– No to świetnie. – Zamknął drzwi i wyszedł.

Obok imitacji kominka w saloniku Bryce'a był wylot klimatyzatora, teraz, zimą, nieużywany. Po dwudziestu minutach pracy i paru przekleństwach udało mu się zamocować kamerę za jego kratką, z szeroko otwartą migawką. Na szczęście film firmy W. E., jak prawie każdy patent Newtona, był o wiele lepszy od swojego poprzednika. W ogóle nie reagował na widzialne światło. Naświetlało go tylko promieniowanie rentgenowskie.

Lampa rentgenowska także była produkcji W. E. Corporation, działała jak stroboskop, natychmiast dając jedną skupioną i mocną wiązkę promieni, co świetnie się sprawdzało przy badaniach nad drganiami o bardzo wysokiej częstotliwości. Do tego, co teraz kombinował, nadawała się jeszcze lepiej. Zainstalował ją w kuchni w szufladzie na chleb, wycelowując, przez ścianę, prosto ku obiektywowi kamery. Kabel zasilający wyciągnął z szuflady i wetknął do gniazdka nad zlewem. Zostawił szufladę nieco uchyloną, żeby móc włożyć do niej rękę i pstryknąć wyłącznikiem małego zasilacza.

Wrócił do salonu i starannie ustawił swój najwygodniejszy fotel w linii pomiędzy kamerą i lampą. Potem usiadł w innym fotelu i czekał na Thomasa Jerome'a Newtona.

## rozdział 4

Czekać musiał bardzo długo. Zrobił się głodny, spróbował zjeść kanapkę, ale nie dał rady jej skończyć. Pospacerował tam i z powrotem, potem wziął do ręki powieść kryminalną, jednak nie był w stanie skupić się na lekturze. Co parę minut szedł do kuchni i sprawdzał położenie lampy rentgenowskiej w szufladzie na pieczywo. Raz odruchowo zachciało mu się sprawdzić, czy aparat działa poprawnie – pstryknął wyłącznikiem, potem nacisnął guzik powodujący niewidzialny błysk – błysk, który przechodził przez ścianę, przez fotel, przez obiektyw kamery i naświetlał film znajdujący się w ramce po jej drugiej stronie. I od razu po naciśnięciu tego guzika zaklął w myślach zły sam na siebie: majstrując tak bez sensu, naświetlił sobie film.

Ponowne zdemontowanie kratki wentylacyjnej i wyciągnięcie kamery zajęło mu dwadzieścia minut. Potem musiał wyjąć kliszę – była teraz brązowawa, co oznaczało, że została poprawnie naświetlona – i zastąpić ją kolejną z magazynka kamery. Cały spocony ze strachu, że Newton w każdej chwili może zapukać, włożył kamerę z powrotem do kanału, sprawdził obiektyw, powoli i starannie wycelował go w fotel i założył kratkę z powrotem. Dopilnował, żeby soczewka obiektywu była wycelowana w szczelinę kratki, by jej metalowe elementy niczego nie przesłoniły.

Właśnie mył ręce, podwinąwszy rękawy, gdy od frontowych drzwi dobiegło pukanie. Zmusił się, by podejść do nich powoli, nadal z rącznikiem w dłoniach. Otworzył.

W śniegu stał T.J. Newton, w ciemnych okularach i lekkiej kurtce. Uśmiechał się nieznacznie, jakby nieco ironicznie, ale w odróżnieniu od Betty Jo wydawało się, że w ogóle nie marznie. Mars, pomyślał Bryce, wpuszczając go do środka. Mars to zimna planeta.

– Dzień dobry – powiedział Newton. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Bryce starał się zachować spokojny ton i ze zdumieniem skonstatował, że przychodzi mu to łatwo.

– Ależ skąd. Nie byłem zajęty. Siądzie pan? – Wskazał gestem fotel pod kratką wentylacyjną. Gest skojarzył mu się z Damoklesem i tronem pod mieczem.

– Nie. Na razie nie – powiedział Newton. – Cały dzień siedziałem. – Zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu fotela. Jak zawsze miał na sobie koszulę z krótkim rękawem. Rękawy odstawały od boków, przez co jego ramiona wyglądały jak tyczki.

– Należę panu drinka. – Będzie miał drinka, to może usiądzie.

– Nie, dziękuję. Robię sobie przerwę. – Newton podszedł do ściany i przyjrzał się obrazowi.

Stał przez moment w milczeniu, gdy Bryce sadowił się w fotelu. Nagle powiedział:

– Piękny obraz, panie doktorze. To Bruegel, prawda?

– Tak.

Oczywiście, że Bruegel. Wszyscy wiedzą, że to Bruegel. Czemuż on nie usiądzie? Bryce zaczął strzelać kostkami palców, potem opamiętał się i przestał. Newton machinalnie strząsnął z włosów kropelki po roztopionym śniegu. Gdyby był odrobinę wyższy, obtarłby sobie wierzch dłoni o sufit.

– Jaki ma tytuł? – zapytał Newton. – Ten obraz.

Powinien to wiedzieć, to jest bardzo znany obraz.

– *Upadek Ikaru*. O tam, w wodzie, jest Ikar.

Newton cały czas wpatrywał się w obraz.

– Bardzo piękny – powiedział. – A krajobraz zupełnie jak tutaj u nas. Góry, śnieg i woda. – Odwrócił się i spojrzał na Bryce’a. – Ale na obrazie ktoś orze pole, a słońce stoi niżej. Musi być późniejsza pora...

Zirytowany Bryce mimo woli burknął:

– A czemu nie wcześniejsza?

Newton uśmiechnął się bardzo dziwnie. Wzrok miał skupiony gdzieś bardzo daleko.

– Bo to nie mogłoby być z rana, prawda?

Bryce nie odpowiedział. Newton oczywiście miał rację. Gdy Ikar zaczynał spadać, musiało być południe. Na pewno spadał bardzo długo. Słońce na obrazie było na wpół za horyzontem, a Ikar – wystające łydka i kolano z wody, w której miał zaraz utonąć, przez nikogo niezauważony, za karę za swoją brawurę – był pokazany chwilę po upadku. Musiał tak spadać od południa.

Newton przerwał te spekulacje.

– Betty Jo powiedziała, że mógłby pan pojechać ze mną do Chicago.

– Tak. Ale proszę powiedzieć, po co pan jedzie do tego Chicago?

Newton nagle zrobił dość dziwny gest jak na niego – wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Pewnie podłapał to od Brinnarde’a. Powiedział:

– Potrzeba mi jeszcze bardzo wielu chemików. Pomyślałem, że tam ich zrekrutuję.

– A ja? Po co?

– Bo pan jest chemikiem. Czy raczej inżynierem chemicznym.

Bryce zawahał się z odpowiedzią. Trochę to będzie obcesowe, ale trudno, Newton chyba nawet lubi szczerłość.

– Panie Newton, pan ma masę ludzi od rekrutacji – powiedział. I zaśmiał się wymuszenie: – Sam musiałem przebić się przez całą armię, żeby się z panem spotkać.

– No... tak. – Newton odwrócił się i znów zerknął na obraz. – Właściwie... tak naprawdę, to chciałbym sobie zrobić takie... wakacje. Pojechać w jakieś nowe miejsce.

– Nigdy pan nie był w Chicago?

– Nie. W ogóle mało tego świata widziałem.

Bryce omal się nie zarumienił, słysząc tę odpowiedź. Odwrócił się do sztucznego ognia i powiedział:

– Chicago na Boże Narodzenie to chyba nie jest najlepsze miejsce na wakacje.

– Mnie mróz wcale nie przeszkadza – odparł Newton. – A panu?

Bryce zaśmiał się nerwowo.

– Taki odporny jak pan to pewnie nie jestem. Ale dam radę.

– To dobrze. – Podeszedł do fotela, wziął kurtkę i zaczął ją wkładać. – Bardzo się cieszę, że pojedziemy razem.

Zobaczywszy, jak tamten – człowiek? Czy to był człowiek? – wychodzi, Bryce spanikował. Kolejna okazja może się nie trafić.

– Minutkę jeszcze – powiedział niezręcznie. – Ja tylko... naleję sobie drinka.

Newton nic nie odpowiedział. Bryce wyszedł z pokoju do kuchni. Przechodząc przez drzwi, odwrócił się, by sprawdzić, czy tamten wciąż stoi za fotelem. I załamał się – Newton znów podeszedł do obrazu i przypatrywał mu się uważnie, zgięty wpół, bo górował nad nim o co najmniej trzydzieści centymetrów.

Bryce nalał sobie podwójną szkocką i dopełnił wodą z kranu. Nie lubił drinków z lodem. Upił łyk jeszcze nad zlewem, przeklinając w myślach pecha, który kazał Newtonowi stać.

Wtem, gdy wrócił do salonu, zobaczył, że Newton siedzi.

Miał odwróconą głowę, patrzył wprost na niego.

– Może faktycznie jeszcze na chwilę zostanę – powiedział. – Powinniśmy obgadać ten wyjazd.

– Oczywiście – odpowiedział Bryce. – Pewnie, że tak. – Na moment zamarł i pośpiesznie dodał: – Oj. Zapomniałem lodu. Przepraszam na chwileczkę.

Wrócił do kuchni.

Trzęsącą się ręką sięgnął do szuflady i pstryknął wyłącznikiem. Gdy lampa się nagrzewała, podszedł do lodówki i wyjął z kostkarki parę kostek. Choć raz, pomyślał, ten postęp techniczny na coś się przydaje – nie trzeba się szarpać, żeby wyciągnąć kostki z foremek. Wrzucił dwie do szklanki, ochlapując sobie koszulę. Potem wrócił do szuflady na pieczywo, wziął głęboki oddech i wcisnął guzik.

Przez chwilę coś ledwie słyszalnie zabuczało i ucichło.

Wyłączył zasilacz i wrócił do salonu. Newton nadal siedział w fotelu, patrząc teraz na sztuczny ogień. Bryce przez chwilę nie był w stanie oderwać wzroku od kratki klimatyzatora, za którą tkwiła kamera z już naświetlonym filmem.

Pokręcił głową, próbując się uspokoić. Idiotycznie było teraz się czymś zdradzić, po tym, jak wszystko się udało. Czuł się jednak jak zdrajca – jak człowiek, który właśnie zdradził przyjaciela.

Newton powiedział:

– Raczej polecimy samolotem.

Nie mógł się powstrzymać:

– Jak Ikar? – rzucił kpiąco.

Newton parsknął śmiechem.

– Mam nadzieję, że raczej jak Dedal. Nurkowania nie mam w planach.

Teraz z kolei wstał Bryce. Nie był w stanie siedzieć twarzą w twarz z Newtonem.

– Pana samolotem? – zapytał.

– Tak. Pomyślałem, żeby polecieć w pierwszy dzień świąt z rana. O ile oczywiście Brinnarde’owi uda się załatwić miejsce na lotnisku. Może być duży ruch.

Bryce dopijał drinka – o wiele szybciej niż zwykle.

– W święta? Niekoniecznie. Przed świętami i po to tak. – Po czym zapytał, zupełnie nie wiedząc dlaczego: – A Betty Jo też jedzie?

Newton zawahał się.

– Nie – powiedział. – Tylko my dwaj.

Poczuł się odrobinę irracjonalnie – tak jak wtedy, gdy siedzieli nad jeziorem, pijąc dżin i rozmawiając.

– A nie będzie jej pana brakować? – zapytał. Oczywiście to nie jego sprawa.

– Pewnie będzie. – Newton nie poczuł się urażony pytaniem. – Mnie jej tak samo, panie doktorze. Ale ona nie poleci. – Dłuższą chwilę wpatrywał się w milczeniu w kominek. – Będzie pan gotowy w Boże Narodzenie, na ósmą rano? Poproszę, żeby Brinnarde podjechał po pana do domu, jeśli to panu odpowiada.

– Świetnie. – Odchylił głowę w tył i wypił resztę whisky. – Na jak długo jedziemy?

– Co najmniej dwa, trzy dni. – Newton wstał i znów zaczął wkładać kurtkę.

Bryce poczuł falę ulgi; bał się, że się nie opanuje. To zdjęcie...

– Musi pan pewnie wziąć parę czystych koszul – mówił Newton. – Wszystkie wydatki ja pokryję.

– No, właściwie? – Bryce zaśmiał się, odrobinę zbyt nerwowo. – W końcu jest pan milionerem.

– Właśnie – powiedział Newton, zapinając zamek.

Bryce wciąż siedział. Uniósłszy wzrok, zobaczył, że Newton, chudy i opalony, góruje nad nim jak pomnik.

– Właśnie. Jestem milionerem.

I wyszedł, pochylając się w drzwiach, lekkim krokiem, w śnieg...

Bryce zaś, trzęsącymi się z podniecenia palcami, sam tym podnieceniem zażenowany, wyjął kratkę wentylacyjną,

wyciągnął kamerę, postawił ją na kanapie i wydobyl ze środka kliszę. Potem włożył płaszcz, kliszę ostrożnie umieścił w kieszeni i ruszył przez śnieg pokrywający ziemię już całkiem grubą warstwą. Do laboratorium. Ledwie się powstrzymywał od biegu.

Laboratorium było puste, dzięki Bogu – jak dobrze, że odesłał laborantów do domu! Poszedł prosto do sali, gdzie były koreksy do wywoływania i rzutnik. Nie zatrzymał się, żeby włączyć ogrzewanie, choć w laboratorium zrobiło się bardzo zimno. Został w płaszczu.

Kiedy wyjmował kliszę z koreksu z gazowym wywoływaczem, ręce trzęsły mu się tak bardzo, że pomyślał, że nigdy nie uda mu się jej włożyć do ramki. Ale się udało.

A potem, gdy pstryknął wyłącznikiem rzutnika i spojrział na ekran na przeciwległej ścianie, ręce przestały mu się trząść, a oddech uwiązał w gardle. Wpatrywał się przez całą minutę. Potem gwałtownie odwrócił się i wyszedł z sali do laboratorium, wielkiego, pustego i bardzo zimnego. Zaczął coś pogwizdywać – po chwili uświadomił sobie, że ta melodia to *Gdybyś znał Suzie, jak ja znam Susie...*

Potem zaśmiał się cicho.

– No tak – powiedział, a te słowa odbiły się echem od dalekiej ściany, lecąc ponad stojakami z probówkami i palnikami Bunsena, ponad szkłem laboratoryjnym, tyglami, piecami i aparatami do prób. – Tak – powtórzył. – Tak, tak, panie Rumpelsztyk.

Zanim wyciągnął kliszę z projektora, jeszcze raz przyjrzał się obrazowi na ścianie. Delikatnie obramowana konturem fotela zupełnie niehumanitarna konstrukcja kosztna w niehumanitarnym ciele – brak mostka, brak kości ogonowej, brak wolnych żeber, kręgi szyjne jakby chrzęstne, drugie żebro zrosnięte z trzecim. Mój Boże, pomyślał. Mój Boże! Wenus, Uran, Jowisz, Neptun czy Mars. Mój Boże!



I nagle w rogu kliszy zobaczył maleńki, niemal niedostrzegalny napis „W. E. Corp.”. Nagle dotarły doń przerażające implikacje tej nazwy, choć znał ją od ponad roku, odkąd po raz pierwszy zaciekał się tą firmą i jej kolorowymi filmami. World Enterprises Corporation. Korporacja Światowych Firm.

## rozdział 5

W samolocie bardzo niewiele rozmawiali. Bryce usiłował czytać jakieś materiały o badaniach z dziedziny metalurgii, ale nie mógł się skupić, ciągle gdzieś odbiegał myślami. Od czasu do czasu zerkał na drugą stronę wąskiej kabiny i na Newtona, który siedział w błogim spokoju, ze szklanką wody w jednej ręce i książką w drugiej. Miała tytuł *Wallace Stevens. Wiersze zebrane*. Ściany salonki ozdabiała duże kolorowe zdjęcia wodnych ptaków – żurawi, flamingów, czapli, kaczek. Poprzednim razem, lecąc tym samolotem, Bryce podziwiał gust osoby, która je tu umieściła; teraz nabrały dlań prawie złowrogię wyrazu, aż robiło mu się od nich nieswojo. Newton popijał wodę, przewracał kartki, raz i drugi uśmiechnął się do Bryce'a, ale nic nie mówił. Przez małe okienko za jego plecami widział prostokąt brudnoszarego nieba.

Przelot do Chicago zajął niecałą godzinę, kolejne dziesięć minut potrwało lądowanie. Wysiedli w ciżbę szarych, podobnych do siebie ciężarówek, tłumy ludzi o zaciętych twarzach i szklisty śnieg, brudny, przemrożony, układający się w zaspę. Wiatr sypnął im w twarz drobnymi igiełkami. Schował podbródek w szalik, postawił kołnierz płaszcza, naciągnął mocniej czapkę. Robiąc to, obejrzał się na Newtona. Nawet na niego zadziałał ten mroźny wiatr: wbił ręce w kieszenie i skrzywił się. Bryce miał na sobie gruby płaszcz; Newton – wełnianą tweedową marynarkę i wełniane spodnie. Dziwnie wyglądał w tym stroju. Ciekawe, jak wyglądałby w kapeluszu,

pomyślał Bryce. Człowiek z Marsa – może powinien nosić melonik.

Płaskonosą ciężarówką odholowała samolot z płyty. Zgrabny, mały odrzutowiec jechał za nim z ponurą miną, jakby hańbą było dla niego przebywanie na ziemi. Ktoś zawołał do kogoś „Wesołych Świąt” i Bryce uświadomił sobie ze zdziwieniem, że istotnie jest Boże Narodzenie. Newton wyprzedził go w zamyśleniu, machinalnie poszedł za nim, powoli i ostrożnie lawirując po lodowych równinach i kraterach, jakby szedł po księżycowym krajobrazie.

W budynku terminalu było gorąco, duszno, tłoczno i głośno. Pośrodku poczekalni stała olbrzymia obracająca się sztuczna choinka, pokryta plastikowym śniegiem, plastikowymi sopłami i groźnie mrugającymi światełkami. Przesłodzony, niewidzialny chór śpiewał *White Christmas* przy akompaniamencie dzwonków i elektronicznych organów, przebijając się od czasu do czasu ponad zgłęb tłumy. „I’m dream... ming of a white Chriss... mass...”. Melodia obowiązkowa na święta. Z niewidocznych wywietrzników zawiewał zapach świerku albo olejku świerkowego, jak ten, którym się perfumuje publiczne toalety. Kobiety, piskliwe, okutane w futra, stały w grupkach; mężczyźni szli z determinacją przez halę, niosąc teczki, paczki, aparaty fotograficzne. W fotelu ze skaju przysypiał jakiś pijak o czerwonej twarzy. Stojący obok Bryce’a dzieciak powiedział z wielkim uczuciem do drugiego: „I ty też!” – Bryce nie dosłyszał odpowiedzi. „May your day be merry and bright and may all you Chriss... mass... essss... be white!”.

– Samochód powinien już czekać – powiedział Newton. Jego głos pobrzmiwał jakby bólem.

Bryce kiwnął głową. Przeszli w milczeniu przez tłum i wyszli z budynku. Zimne powietrze przyniosło ulgę.

Czekało na nich auto z szoferem w liberii. Wsiedli, rozsiedli się wygodnie, Bryce zapytał:

– I jak się panu podoba Chicago?

Newton patrzył nań przez chwilę.

– Zapomniałem, że jest tylu ludzi. – I z wąskim uśmiechem zacytował Dantego: – „Iżby śmierć mogła, nigdy bym nie sądził, zebrać zarazem tylu nieboszczyków”[3].

Bryce zaś pomyślał: skoro ty jesteś Dantem wśród potępionych, to ja muszę być Wirgiliuszem.

Obiad zjedli w hotelowym pokoju, a potem zjechali windą do foyer, gdzie kłębili się już uczestnicy konferencji, starając się jednocześnie wyglądać na zadowolonych, ważnych i swobodnych. Foyer wypełniały aluminiowe i mahoniowe meble w nowoczesnym japońskim stylu aktualnie zastępującym elegancję. Parę godzin rozmawiali z ludźmi, których Bryce trochę znał – i w większości nie cierpiał – znajdując trzech zainteresowanych pracą dla Newtona. Poumawiali się z nimi. Newton niewiele się odzywał. Kiwał głową, uśmiechał się, czasami rzucał jakiś komentarz. Ludzie oglądali się za nim – szybko rozeszło się, kim jest – on jednak jakby tego nie zauważał. Bryce miał wrażenie, że jest bardzo mocno zestresowany, choć twarz miał spokojną jak zawsze.

Zaproszono ich na cocktail party do jednego z apartamentów, imprezę biznesową organizowaną przez pewną firmę inżynierską. Newton przyjął zaproszenie w imieniu ich dwóch. Cwaniakowaty typ, który ich zapraszał, był zachwycony, że przyjdą. Patrząc na Newtona, o głowę wyższego od niego, rozpływał się:

– Będzie to dla nas zaszczyt, panie Newton. Prawdziwy zaszczyt, że będziemy mieć możliwość z panem porozmawiać.

– Dziękuję – powiedział Newton, uśmiechając się jak zawsze. A gdy tamten poszedł, dodał: – Chciałbym się trochę przejść. Teraz. Przejdzie się pan ze mną?

Bryce z ulgą kiwnął głową.

– Pójdę tylko po płaszcz.

Po drodze do windy minął grupkę trzech ludzi w eleganckich oficjalnych garniturach, rozmawiających głośno i z zadęciem. Jeden z nich mówił:

– ...i to nie tylko w Waszyngtonie. No przecież mi nie powiecie, że broń chemiczna nie ma przyszłości. W branży potrzeba nowych ludzi.

Mimo świąt sklepy były pootwierane. Na ulicach roiło się od ludzi. Większość patrzyła wprost przed siebie, a twarze miała zacięte. Newton wyglądał teraz na zdenerwowanego. Wydawało się, że reaguje na obecność ludzi, jakby to była jakaś fala czy pole energetyczne z tysiąca elektromagnesów mające go zaraz pochłonać. Sprawiał wrażenie, że się zmusza, by iść dalej.

Weszli do paru dużych sklepów, napastowani przez jaskrawe światła i lepką duchotę.

– Trzeba by kupić jakiś prezent dla Betty Jo – powiedział Newton.

I potem kupił jej u jubilera mały filigranowy zegar stojący z białego marmuru i złota. Bryce wziął od niego kolorowo opakowaną paczkę, żeby zanieść ją do hotelu.

– Myśli pan, że się jej spodoba? – zapytał Newton.

Bryce wzruszył ramionami.

– Oczywiście.

Zaczynał padać śnieg...

\* \* \*

Na południe i wieczór była przewidziana masa spotkań, Newton jednak w ogóle o nich nie wspomniał, Bryce poczuł więc ulgę, że na żadne nie musi iść. Nigdy nie przepadał za tego typu głupotami – dyskusjami o „wyzwaniach” i „możliwych do

wdrożenia pomysłów”. Przez resztę popołudnia rozmawiali z trzema mężczyznami zainteresowanymi pracą w World Enterprises. Dwóch zgodziło się zacząć na wiosnę – nic dziwnego, zważywszy, jakie wynagrodzenie zaproponował Newton. Jeden miał się zająć chłodzaniem silników statku, drugi, bardzo bystry i sympatyczny młody człowiek, miał pracować u Bryce’a. Specjalizował się w korozji. Newton wydawał się dość zadowolony, że ich pozyskał, choć widać było także, że niespecjalnie mu zależy. Przez cały czas był zamyślony, nieobecny, odpowiadał półsłówkami, tak że na ogół rozmowy musiał prowadzić Bryce. Kiedy się skończyły, wyraźnie mu ulżyło. Choć właściwie trudno było poznać, co on naprawdę czuje. Ciekawie byłoby się dowiedzieć, co się dzieje w tym obcym, dziwnym mózgu i co skrywa ten automatyczny uśmiech – ten lekki, mądry, tęskny uśmiech.

Cocktail party odbywało się w wielkim penthousie. Z krótkiego przedpokoju weszli do przestronnego salonu wyłożonego niebieskim dywanem i wypełnionego rozmawiającymi półgłosem ludźmi, głównie mężczyznami. Przez jedną ze ścian, w całości przeszkloną, widać było światła miasta układające się w jakiś skomplikowany chemiczny wzór strukturalny. Meble były wyłącznie w stylu Ludwika XV. Podobały się Bryce’owi. Obrazy na ścianach także. Z ukrytego gdzieś głośnika płynęła barokowa fuga, cicha, choć wyraźna. Nie znał tego utworu, ale spodobał mu się. Bach? Vivaldi? Ładna sala – poczuł większą ochotę na udział w przyjęciu, tylko po to, żeby w niej trochę poprzebywać. Mimo wszystko ta przeszklona ściana, za którą migotało Chicago, kompletnie tu nie pasowała.

Jakiś facet oddzielił się od grupki i przyszedł ich przywitać, uśmiechając się ujmująco. Bryce ze zdumieniem rozpoznał w nim gościa od broni chemicznej z lobby. Miał na sobie

świetnie skrojony czarny garnitur i wyglądał na dobrze rozweselonego.

– Witamy naszego uchodźcę z prowincji – powiedział, wyciągając dłoń. – Jestem Fred Benedict. A bar jest tam. – Wskazał brodą drzwi.

Bryce ujął jego dłoń, trochę zde gustowany wykalkulowanym, mocnym uchwytem, po czym przedstawił siebie i Newtona.

Benedict wyraźnie był pod wrażeniem.

– Thomas Newton! – powiedział. – Rany! Nie liczyliśmy, że pan nas odwiedzi. Bo uchodzi pan raczej za... – zawahał się, jakby zakłopotany – ...pustelnika. – Zaśmiał się.

Newton rzucił mu ten sam co zawsze spokojny uśmiech. Benedict mówił dalej, wyzbywszy się już zażenowania.

– Thomas J. Newton... wie pan, że trudno uwierzyć, że pan naprawdę istnieje? Moja firma licencjonuje od was siedem procesów – znaczy, od World Ce, i ja do tej pory wyobrażałem sobie, że pan jest jakimś komputerem.

– Może i jestem – powiedział Newton. – A z jakiej firmy pan jest?

Benedict przez chwilę miał minę, jakby podejrzewał, że się z niego drwi. Pewnie i tak było, pomyślał Bryce.

– Futures Unlimited. Głównie broń chemiczna, chociaż robimy też trochę tworzyw sztucznych, pojemniki i inne takie. – Skłonił się lekko od talii w górę, jakby dla śmiechu. – Gospodarze tej imprezy.

– Dziękuję panu – powiedział Newton. Zrobił krok w stronę drzwi do baru. – Piękne miejsce.

– Też tak sędzę. I wszystko w koszty. – Gdy Newton zaczął się oddalać, dodał: – Panie Newton, pan pozwoli, że ja przyniosę drinki. Chciałbym, żeby pan poznał niektórych naszych gości. – Miał taką minę, jakby nie do końca wiedział, co począć z tym wysokim i dziwnym facetem, ale obawiał się pozwolić mu odejść.

– Niech pan się nie fatyguje – powiedział Newton. – Zaraz do pana dołączymy.

Benedict nie miał zadowolonej miny, ale nic nie powiedział.

Weszli do baru. Bryce powiedział:

– Nie wiedziałem, że jest pan aż tak znany. Rok temu, gdy próbowałem pana znaleźć, nikt w ogóle o panu nie słyszał.

– Niczego nie da się w nieskończoność trzymać w tajemnicy – odparł Newton, teraz bez uśmiechu.

To pomieszczenie było mniejsze od poprzedniego, ale równie eleganckie. Nad błyszczącym barem wisiało *Śniadanie na trawie* Maneta. Barman był starszy, siwy i wyglądał jeszcze bardziej dystygowanie niż naukowcy i biznesmeni w sąsiedniej sali. Siedząc przy barze, Bryce uświadomił sobie boleśnie, jak byle jaki jest jego garnitur kupiony cztery lata temu w domu towarowym. Wiedział też, że koszulę ma wytartą przy kołnierzu i z przydługimi rękawami.

Zamówił martini, a Newton poprosił o zwykłą wodę bez lodu. Kiedy barman to przygotowywał, Bryce rozejrzał się po sali i powiedział:

– Wie pan co, czasami myślę, że po doktoracie trzeba mi było zatrudnić się w takiej właśnie firmie. – Zaśmiał się sucho. – Zarabiałbym z osiemdziesiąt tysięcy rocznie i żyłbym właśnie tak. – Objął gestem pokój, na dłuższą chwilę zawieszając wzrok na kobiecie w średnim wieku, w przepięknej sukni, ze świetnie zachowaną figurą i twarzą sugerującą pieniądze i przyjemności. Zielony cień na powiekach i usta stworzone do seksu. – Może wynalazłbym nowe tworzywo na te wielkookie laleczki-dzidziusie, albo nowy smar do silników doczepnych...

– Albo gaz bojowy? – Newton dostał wodę, otworzył małe srebrne puzderko i wyciągnął tabletkę.

– A czemu nie? – Bryce wziął martini, uważając, żeby go nie rozlać. – Ktoś musi ten gaz robić. – Wypił łyk. Martini było tak wytrawne, że paliło w gardło i język. Głos podniósł mu się



o całą oktawę. – Mówi się przecież, że żeby nie dopuścić do wojny, potrzebne są takie rzeczy jak gaz bojowy? To udowodnione.

– Udowodnione? – zdziwił się Newton. – A pan... pan nie pracował trochę przy bombie wodorowej, zanim został pan wykładowcą?

– No... tak. A skąd pan wie?

Newton uśmiechnął się – nie tym swoim automatycznym uśmiechem, lecz autentycznie rozbawiony.

– Zrobiłem wywiad.

Bryce wypił solidny łyk drinka.

– Po co? Żeby sprawdzić moją lojalność?

– Nie... z ciekawości. – Przerwał na moment, a potem zapytał:

– Dlaczego pracował pan przy tej bombie?

Bryce zastanawiał się przez moment. Potem roześmiał się z całej sytuacji: Marsjanin, w barze, robi za jego spowiednika. A może to nawet pasuje?

– Z początku nie wiedziałem, że to będzie bomba – powiedział. – A w tamtych czasach wierzyłem w czystą naukę. Sięganie do gwiazd. Tajemnice atomów. Nasza jedyna nadzieja w chaotycznym świecie. – Dopił martini.

– A teraz już pan w to nie wierzy?

– Nie.

Muzyka w drugiej sali przeszła w madrygał, który jakby rozpoznawał. Melodia sunęła powoli, zawile, podstępnie sugerując naiwność, którą stereotypowo dostrzegał w starej polifonicznej muzyce. A co, to nieprawda? Nie ma na świecie sztuki naiwnej i wyrafinowanej? A także zdemoralizowanej? I czy tego samego nie da się powiedzieć o nauce? Czy chemia nie jest bardziej zdemoralizowana niż botanika? No nie, nie. Wcale. To nie tak. O tym decydują zastosowania...

– Ja raczej też nie – odpowiedział Newton.

– Wezmę chyba jeszcze jedno martini – stwierdził Bryce.

Przyjemne, bezsprzecznie zdemoralizowane martini. Gdzieś z głębi mózgu wydostały się słowa: „Człowieku małej wiary”. Zaśmiał się w duchu i zerknął na Newtona. Ten siedział wyprostowany jak struna i popijał wodę.

Drugie martini już tak nie paliło w gardło. Zarządził trzecie. W końcu stawia facet od broni chemicznej. Albo i podatnicy. Zależy, jak na to spojrzeć. Wzruszył ramionami. I tak wszyscy za to zapłacimy, pan zapłaci, ja zapłacę, Massachusetts zapłaci i Mars.

– Wróćmy do tamtej sali – powiedział, biorąc nowe martini do ręki i ostrożnie upijając odrobinę, żeby się nie rozlało. Zauważył, że mankiet koszuli wystaje mu całkowicie z rękawa marynarki, niczym szeroka i niechlujna bransoletka.

Gdy przechodzili przez drzwi do większej sali, drogę tarasował im niski przysadzisty facet rozprawiający o czymś z alkoholowym ożywieniem. Bryce odwrócił się pośpiesznie, licząc, że tamten go nie pozna. Był to Walter Canutti z Pendley University w Pendley, stan Iowa.

– Bryce! – zawołał Canutti. – Niech mnie szlag! Nathan Bryce!

– Dobry wieczór, panie profesorze. – Niezdarnie przełożył kieliszek z martini do lewej ręki i podał mu prawą.

Canutti miał czerwoną twarz, ewidentnie był już nieźle pijany. Miała na sobie zieloną jedwabną marynarkę i beżową koszulę z dyskretnymi marszczeniami przy kołnierzyku. Strój kompletnie nie pasował do jego wieku. Wyglądał, jeśli pominąć różową pucołowatą twarz, jak manekin z okładki katalogu z męską modą. Bryce postarał się nie okazać w głosie obrzydzenia.

– Miło mi znów pana widzieć!

Canutti patrzył pytająco na Newtona. Nie było wyjścia, trzeba było ich sobie przedstawić. Bryce wyjąkał nazwiska, wściekły sam na siebie za niezręczność.

Na Canuttim nazwisko Newtona zrobiło o wiele większe wrażenie niż wcześniej na Benedykcie. Ścisnął mu dłoń oburącz, mówiąc:

– Tak, tak, oczywiście, World Enterprises. Najwybitniejsza firma od czasu General Dynamics.

Ociekał wazeliną, jakby liczył na tłusty kontrakt badawczy dla swojego Pendley. Bryce zawsze z niesmakiem patrzył, jak profesorowie łąszą się do biznesmenów – tych samych, z których bezlitośnie nabijali się w prywatnych rozmowach – zawsze, gdy węższą potencjalny grant.

Newton mruknął coś, uśmiechnął się, Canutti w końcu puścił jego rękę, wysilił się na chłopięcy uśmiech i powiedział:

– Noo! – A potem, obejmując Bryce’a ramieniem: – Kopę lat, kupa czasu, nie, Nate?

Nagle jakby go olśniło, a Bryce skrzywił się wewnętrznie, wiedząc, o co chodzi. Canutti popatrzył po nich obu i powiedział:

– O, to ty, Nate, pracujesz w World Enterprises?

Nie odpowiedział, wiedząc, co będzie dalej.

Newton jednak odparł:

– Pan doktor Bryce jest z nami od ponad roku.

– A niech mnie... – Twarz Canuttiego ponad marszczonym kołnierzykiem poczerwieniała. – Niech mnie szlag. Pracujesz w World Enterprises!

Po jego pulchnej twarzy rozlała się niekontrolowana radość, a Bryce, wypijając jednym haustem całe martini, poczuł, że chętnie by wbił obcas w tę wredną gębę. Szeroki uśmiech przeszedł w bełkotliwy rechot, potem Canutti odwrócił się do Newtona i dodał:

– No, niesamowite. Muszę panu jedną rzecz powiedzieć. – Znów zachichotał. – Nate na pewno nie będzie miał nic przeciwko. Dawno było. Ale wie pan, panie Newton, że kiedy on odchodził od nas z Pendley, to cały czas łamał sobie głowę nad

tymi waszymi produktami, które pewnie sam teraz pomaga wam robić?

– Poważnie? – zapytał Newton, żeby wypełnić pauzę.

– Jeszcze nie powiedziałem najlepszego. – Canutti wyciągnął niezdarnie rękę i położył ją Bryce’owi na ramieniu.

Bryce miał ochotę mu ją odgryźć, a mimo to słuchał zafascynowany, choć wiedział, co to będzie.

– Najlepsze jest to, że kochany Nate myślał, że pan to wszystko produkuje za sprawą jakichś czarów. Voodoo. Nie, Nate?

– Dokładnie – powiedział Bryce. – Voodoo.

Canutti roześmiał się.

– Nate, jak pan zapewne wie, to jeden z najlepszych specjalistów w branży. Ale wtedy coś chyba porobiło mu się z głową. Myślał, że te wasze filmy zostały wynalezione na Marsie.

– Co takiego? – zapytał Newton.

– No właśnie. Na Marsie czy gdzieś. „Pozaziemskie”, mówił, czy jakoś tak. – Canutti ścisnął Bryce’a za ramię, jakby chcąc pokazać, że nie ma nic złego na myśli. – Pewnie jak szedł na spotkanie z panem, spodziewał się stwora o trzech głowach. Albo z mackami.

Newton uśmiechnął się życzliwie.

– Bardzo zabawne. – Potem spojrzął na Bryce’a. – Przykro mi, że pana rozczarowałem.

Bryce odwrócił wzrok.

– Wcale – odparł. Trzęsły mu się ręce. Odstawił szklanę na stolik i wbił dłonie w kieszenie marynarki.

Canutti znów coś gadał, o jakimś artykule z tygodnika, coś o World Enterprises, o tym, że generuje ileś tam procent PKB.

Bryce przerwał mu nagle.

– Przepraszam – powiedział. – Idę po coś do picia. – Odwrócił się i szybkim krokiem przeszedł do sali z barem, nie oglądając

się na tamtych dwóch.

A kiedy dostał kolejnego drinka, stwierdził, że wcale nie ma na niego ochoty. Bar zaczął go przytłaczać; barman już nie robił wrażenia dystyngowanego starszego pana, wydawał się teraz pretensjonalnym fagasem. Dobiegająca z drugiej sali muzyka – teraz był to motet – brzmiała nerwowo i drażniąco. W barze było za dużo ludzi, wszyscy za głośno gadali. Rozejrzał się wokół, jakby zdesperowany; wszyscy faceci przylizani i gładcy, wszystkie kobiety jak harpie. Szlag by to trafił, pomyślał, szlag by to wszystko trafił. Odsunął się od baru, zostawiając nietkniętego drinka, i zdecydowanym krokiem wrócił do sali.

Czekał na niego Newton. Sam.

Bryce spojrział mu prosto w oczy, usiłując zachować spokój.

– A gdzie Canutti?

– Powiedziałem mu, że wychodzimy. – Wzruszył ramionami w tym cudacznym francuskim gościu, który już wcześniej u niego widział. – Paskudny typ, prawda?

Bryce przez dłuższą chwilę patrzył w te nieodgadnione oczy. Po czym powiedział:

– Idziemy stąd.

Wyszli bez słowa i szli obok siebie, nic nie mówiąc, długim, wyłożonym grubym dywanem korytarzem, do pokoju. Bryce otworzył drzwi kluczem, a kiedy zamknął je za sobą, zapytał cicho spokojnym głosem:

– To jak, jest pan spoza Ziemi?

Newton usiadł na skraju łóżka, uśmiechnął się do niego ze znużeniem i powiedział:

– Oczywiście, że tak.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Złapał się na tym, że mamrocze:

– Jezus Maria. Jezus Maria. – Usadowił się w fotelu i wpatrzył we własne stopy. – Jezus Maria.

Siedział tam, wydawało mu się, że przez wieki, cały czas gapiąc się na swoje buty. Wiedział to wszystko, ale usłyszeć potwierdzenie od niego to zupełnie inna rzecz. Szok.

Wtem Newton odezwał się:

– Napije się pan czegoś?

Uniósł wzrok i niespodziewanie parsknął śmiechem.

– O Jezu, pewnie, że tak.

Newton sięgnął na stolik nocny po telefon i zadzwonił do obsługi pokojowej. Zamówił dwie butelki dżinu, wermut i lód. Potem, odkładając słuchawkę, dodał:

– Panie doktorze Bryce, dziś się napijemy, i to porządnie. Jest okazja.

Nie rozmawiali, póki nie przyszedł boy, pchając wózek z trunkami, lodem i dzbankiem do martini. Na tacy leżał półmisek z koktajlowymi cebulkami, skórka cytrynową i oliwkami. Na kolejnym leżały orzeszki. Kiedy wyszedł, Newton zapytał:

– Zrobi pan sobie sam? Ja wolę czysty dżin.

Cały czas siedział na brzegu łóżka.

– Jasne. – Bryce wstał i poczuł, że kręci mu się trochę w głowie. – Czyli z Marsa?

Głos Newtona dziwnie zabrzmiał. A może to on, Bryce, już dość wypił?

– A co to za różnica?

– Dla mnie jest. Czyli pan jest z tego... układu słonecznego?

– Tak. O ile mi wiadomo, nie ma żadnych innych.

– Żadnych innych układów słonecznych?

Newton wziął podsunietą mu szklankę dżinu i popatrzył na nią z namysłem.

– Same gwiazdy – odparł. – Żadnych planet. A przynajmniej mnie nic o nich nie wiadomo.

Bryce mieszał sobie martini. Przeszedł przez jakiś kryzysowy punkt i dłonie miał już spokojne. Wydawało mu się, że już nic

nie jest w stanie go zszokować.

– Od dawna pan tu jest? – zapytał, mieszając drinka i słuchając, jak kostki lodu pobrzękują o ścianki dzbanka.

– Nie za długo pan to miesza? – zdziwił się Newton. – Niech pan już się napije. – Sam wziął spory łyk. – Na Ziemi jestem od pięciu lat.

Bryce przestał mieszać drinka, wlał go do kieliszka. Po tym, myśląc sobie „a co”, wrzucił do niego trzy oliwki. Parę kropel martini chlapnęło na białą serwetę na wózku barowym, tworząc mokre plamy.

– Zostanie pan tu na dłużej? – zapytał. Zabrzmiało to, jakby siedział w paryskiej kawiarni i zadawał pytanie innemu turyście. Newton powinien jeszcze mieć zawieszony na szyi aparat.

– Tak. Na dłużej.

Bryce wreszcie usiadł i złapał się na tym, że wodzi wzrokiem po pokoju. Całkiem ładny, bladozielone ściany, a na nich bezpłciowe obrazki.

Skupił wzrok z powrotem na Newtonie. Thomas Jerome Newton, z Marsa. Z Marsa czy skądś tam.

– Pan jest człowiekiem? – zapytał.

Szklanka Newtona była w połowie pusta.

– To kwestia definicji – odparł. – Ale jestem, w wystarczającym stopniu.

Już miał zapytać: „W wystarczającym do czego?”, ale nie zrobił tego. Równie dobrze może od razu zadać drugie wielkie pytanie, skoro pierwsze już poszło.

– A po co pan tu przyleciał? Co pan zamierza?

Newton wstał, dolał sobie džinu, podszedł do fotela, usiadł. Spojrzał na Bryce'a znad szklanki trzymanej w smukłej dłoni.

– Sam nie jestem pewien, że wiem, co zamierzam.

– Nie jest pan pewien, że pan wie? – zdziwił się Bryce.

Newton odstawił szklankę na nocny stolik i zaczął zdejmować buty.

– Na początku myślałem, że wiem, po co się tu znalazłem. Ale potem, przez dwa kolejne lata, byłem strasznie zajęty. Strasznie. A przez ostatni rok znalazłem trochę więcej czasu, żeby pomyśleć. Może aż za dużo. – Ustawił buty równiutko obok siebie pod łóżkiem. Potem wyciągnął długie nogi i położył głowę na poduszce.

W tej pozycji zdecydowanie w wystarczającym stopniu wyglądał na człowieka.

– A do czego będzie służył ten statek? To jest statek, prawda, nie jakaś sonda badawcza?

– Statek. A dokładniej prom.

Od jakiegoś czasu, mniej więcej od rozmowy z Canuttim, Bryce czuł się oszołomiony; wszystko wydawało mu się nierzeczywiste. Teraz jednak zaczynał odzyskiwać kontakt z rzeczywistością – do głosu dochodziła dusza naukowca. Odstawił kieliszek, postanawiając na razie więcej nie pić. Trzeba zachować trzeźwą głowę. Kiedy go odstawiał, trzęsła mu się ręka.

– Czyli pan planuje ściągnąć tu więcej swoich... rodaków? Tym promem?

– Tak.

– Jest was tu więcej?

– Nie, tylko ja.

– Ale czemu pan tu musi budować ten statek? Na ojczystej planecie na pewno macie ich pod dostatkiem. Jakoś pan tu w końcu przyleciał?

– No tak, przyleciałem. Ale statek był jednoosobowy. Bo widzi pan, to paliwo jest problemem. Wystarczyło tylko dla jednego z nas i tylko w jedną stronę.

– Paliwo atomowe? Uran czy coś takiego?



– Tak. Oczywiście. Ale prawie nic nam nie zostało. Ani ropy, ani węgla, ani hydroelektryki. – Uśmiechnął się. – Mamy pewnie z kilkaset statków, a każdy o wiele lepszy od tego, który budujemy w Kentucky, ale żadnego nie dałoby się ruszyć. Od pięciuset lat żaden nie był używany. A ten, którym przyleciałem, to w ogóle nie był statek międzyplanetarny. Zgodnie z planem to była szalupa, kapsuła ratunkowa. Po wylądowaniu zniszczyłem silniki i układ sterowania, a kadłub zostawiłem na polu. Czytałem w gazetach, że jakiś rolnik kasuje po pięćdziesiąt centów za oglądanie. Przykrył go namiotem, sprzedaje napoje. Niech ma.

– Nie było to ryzykowne?

– Że co, że FBI się dowie, czy ktoś inny? Nie wydaje mi się. Najgorsze, co się mogło zdarzyć, to że jakiś weekendowy dodatek powypisuje jakieś bzdury o najeźdźcach z kosmosu. Ale trafiły się akurat bardziej niespodziewane ciekawostki niż jakaś skorupa statku kosmicznego na polu w Kentucky. Chyba nikt ważny nie wziął tego na serio.

Bryce spojrział na niego uważnie.

– „Najeźdźcy z kosmosu” to naprawdę bzdura? Nic więcej?

Newton rozpiął kołnierzyk koszuli.

– Tak myślę.

– Więc po co wasi mają tu przyjechać? Jako turyści? Pozwiedzać?

Newton parsknął śmiechem.

– Nie do końca. Może będziemy w stanie wam pomóc.

– Jak? – Niezbyt spodobał mu się ton, jakim Newton to powiedział. – Pomóc nam? Jak?

– Jeśli zadziałamy wystarczająco szybko, może uda się zapobiec waszej samozagładzie. – A gdy Bryce już miał coś odpowiedzieć, dodał: – Proszę mi pozwolić powiedzieć coś jeszcze. Pan nie zdaje sobie chyba sprawy, jaka to dla mnie przyjemność, opowiadać o tym. I to wyczerpująco. – Sadowiąc

się na łóżku, nie wziął ze sobą szklanki. – Widzi pan, sami mieliśmy sporo tych wojen. O wiele więcej niż wy. Tyle, że ledwo przetrwaliśmy. Większość naszych materiałów rozszczepialnych poszła właśnie na bomby. Byliśmy bardzo potężnym ludem, bardzo potężnym, ale to było dawno. Teraz ledwo jesteśmy w stanie przeżyć. – Spojrzał na swoje dłonie, jakby z namysłem. – To dziwne, że większość waszej literatury fantastycznej zakłada, że na innych planetach zawsze istnieje tylko jedna inteligentna rasa, jeden typ społeczeństwa, jeden język, jeden rząd. Nasza Antea – bo nazywa się Antea, choć oczywiście w waszych podręcznikach do astronomii ma inną nazwę – miała swego czasu trzy inteligentne gatunki i siedem liczących się organizacji państwowych. Teraz liczy się tylko jeden gatunek. Mój. To my przeżyliśmy, po pięciu wojnach stoczonych bronią promieniotwórczą. I nie jest nas zbyt wiele. Ale o prowadzeniu wojny wiemy wszystko. I techniczną wiedzę też mamy ogromną.

Wzrok miał wciąż wbity w dłonie, a głos monotony, jakby deklamował przygotowaną przemowę.

– Jestem tu od pięciu lat i zgromadziłem majątek wart ponad trzysta milionów dolarów. Za pięć lat będzie dwa razy tyle. A to dopiero początek. Jeśli mój plan zostanie zrealizowany, w każdym większym kraju powstanie odpowiednik World Enterprises. Potem wejdziemy w politykę. I wojsko. Wiemy wszystko o broni, o środkach obronnych. Wasze są jeszcze prymitywne. Potrafimy na przykład unieszkodliwić radar – co było niezbędne, żebym mógł tutaj wylądować, a będzie jeszcze bardziej potrzebne, kiedy będzie wracał prom. Potrafimy także wygenerować układ energetyczny, który nie pozwoli zdetonować żadnej waszej broni jądrowej w promieniu pięciu mil.

– I to wystarczy?

– Nie wiem. Ale moi przełożeni nie są głupi, a raczej uważają, że to jest wykonalne. O ile tylko zachowamy kontrolę nad naszą wiedzą i techniką, tu rozkręcimy gospodarkę jakiegoś małego państwa, tam wykupimy kluczową nadwyżkę żywności, gdzie indziej stworzymy nowy przemysł, jednemu państwu damy broń, a drugiemu środki obrony przeciwko niej...

– Niech was szlag, czy wy macie się za bogów?

– Nie. Ale czy bogowie was kiedykolwiek uratowali?

– Nie wiem. No nie, oczywiście, że nie. – Bryce zapalił papierosa. Udało się dopiero za trzecim razem, bo dłonie wciąż mu się trzęsły. Zaciągnął się głęboko, próbując się uspokoić. Poczul się jak pierwszoroczniak w college’u dyskutujący o kondycji ludzkiej i przeznaczeniu. Tyle że tutaj to nie była przecież abstrakcyjna filozofia. – Czy ludzkość nie ma prawa sama sobie wybrać formy zniszczenia? – zapytał.

Newton odczekał chwilę, zanim się odezwał.

– A pan myśli, że ludzkość faktycznie ma takie prawo?

Bryce zdusił niedopalonego papierosa w popielniczce przed sobą.

– Tak. Nie. Nie wiem. Jest w ogóle coś takiego jak ludzkie przeznaczenie? Prawo, żeby się realizować, panować nad własnym życiem, ponosić konsekwencje własnych decyzji?

Nagle uderzyła go myśl, że Newton jest teraz jedynym ogniwnem łączącym Ziemię z... jak jej było? Anteą. Gdyby go zabić, ten plan nie doszedłby do skutku. Koniec. A Newton był słaby i bardzo delikatny. Ta myśl fascynowała go przez chwilę: on, Bryce, największy bohater na Ziemi, człowiek, który potężnym ciosem pięści może prawdopodobnie ocalić świat. Mogło to wydać mu się bardzo zabawne, ale się nie wydało.

– Ludzkie przeznaczenie; może i jest coś takiego – powiedział Newton – ale według mnie niczym się nie różni od przeznaczenia gołębi pocztowych. Albo tych wielkich zwierząt z małymi mózgami. Dinozaury się chyba nazywały.

To zabrzmiało trochę arogancko.

– Wcale nie musimy wyginąć. Są rozmowy o rozbrojeniu. Nie wszyscy są szaleni.

– Ale większość jest. Wystarczająco dużo. Wystarczy paru szaleńców w odpowiednich miejscach. Pan sobie wyobrazi: gdyby ten wasz Hitler miał bomby termojądrowe i pociski interkontynentalne, to co, nie użyłby ich, niezależnie od konsekwencji? Pod koniec nie miał nic do stracenia.

– A skąd pewność, że wasi Anteańczycy nie okażą się Hitlerami?

Newton odwrócił wzrok.

– To możliwe, ale mało prawdopodobne.

– Tam u was jest ustrój demokratyczny?

– Na Antei nie ma nic, co by przypominało ustrój demokratyczny. Ale nie mamy zamiaru wami rządzić, nawet gdybyśmy mogli.

– Jak zwał tak zwał – odparł Bryce. – Planujecie, żeby garstka Anteańczyków manipulowała ludźmi i rządami na całej Ziemi. To nie to samo?

– Można to nazwać manipulacją, można doradztwem. Przewodnictwem. Zresztą to może się nie udać. Może się wcale nie udać. Może do tego czasu wszystko wysadzicie. Albo nas wykryjecie i zacznie się polowanie na czarownice, a jak pan wie, my jesteśmy dość delikatni. Po drugie, nawet jeśli zdobędziemy spory procent kontroli, też nie zapanujemy nad każdym przypadkiem. Ale prawdopodobieństwo pojawienia się Hitlerów możemy zmniejszyć i ochronić wasze największe miasta przed zniszczeniem. A to już – wzruszył ramionami – jest więcej, niż potraficie wy.

– I to wszystko z czystej chęci pomocy? – Bryce usłyszał sarkazm we własnym głosie i miał nadzieję, że Newton tego nie zauważył.

Jeśli nawet zauważył, nic nie dał po sobie poznać.

– Oczywiście, że nie. Przybędziemy tutaj, żeby się uratować. Ale... – Uśmiechnął się. – Nie chcemy, żeby Indianie podpalili nam rezerwat, kiedy się w nim osiedlimy.

– Uratować się? Przed czym?

– Przed wyginięciem. U nas prawie nie ma wody, nie ma paliw, nie ma surowców. Trochę energii słonecznej, mało, bo jesteśmy bardzo daleko od Słońca. Bardzo duże zapasy żywności. Ale powoli się kurczą. Przeżyło niecałe trzysta tysięcy Anteańczyków.

– Niecałe trzysta tysięcy? Rany boskie, rzeczywiście się prawie pozabijaliście.

– Właśnie tak. I myślę, że wy też niedługo to zrobicie, jeśli nie przylecimy.

– Może i powinniście – powiedział. – Może i powinniście. – Poczul, że ma ściśnięte gardło. – Ale jeśli coś się z panem... stanie, a statek jeszcze nie będzie gotowy? To będzie koniec?

– Tak. To byłby koniec.

– Za mało paliwa dla następnego statku?

– Za mało.

– A więc... – Bryce poczul, że się spina – czemu nie miałbym powstrzymać tej... inwazji czy manipulacji? Czemu nie miałbym pana zabić? Wiem, że ma pan delikatną konstrukcję. Po tym, co mówiła Betty Jo, wiem, że ma pan kości jak ptaszek.

Twarz Newtona była całkowicie nieporuszona.

– Chce pan to powstrzymać? Tu ma pan rację, mógłby mi pan spokojnie skrócić kark jak kurczakowi. Chce pan to zrobić? Teraz, gdy pan wie, że nazywam się Rumpelszyk, chce pan mnie wygonić z pałacu?

– Nie wiem. – Wbił wzrok w podłogę.

Głos Newtona był cichy.

– Rumpelszyk naprawdę potrafił pleść złoto ze słomy.

Bryce uniósł wzrok, nagle wściekły.

– Tak. I chciał ukraść królowej dziecko.

– Dokładnie – powiedział Newton. – Ale gdyby nie uprządkł złota ze słomy, królowa by zginęła. I w ogóle by tego dziecka nie było.

– No dobrze – zdecydował Bryce. – Nie skrucę panu karku, żeby uratować świat.

– A wie pan co? – rzucił Newton. – W sumie to prawie żałuję, że pan tego nie zrobi. Miałbym o wiele mniej problemów. – Zawahał się. – Ale to niemożliwe.

– Dlaczego niemożliwe?

– Ja nie przyleciałem do was nieprzygotowany na zdemaskowanie. Chociaż nie spodziewałem się, że będę komuś o tym mówił, tak jak panu. Ale wielu rzeczy się nie spodziewałem. – Zerknął znów na swoje dłonie, jakby przypatrywał się uważnie paznokciom. – W każdym razie jestem uzbrojony. Zawsze mam tę broń przy sobie.

– Anteańską broń?

– Tak. Bardzo skuteczną. Nawet nie zdążyłby pan dojść tu do łóżka.

Bryce gwałtownie nabrał powietrza.

– A jak ona działa?

Newton uśmiechnął się szeroko.

– Dwie tajemnice sukcesu: pierwsza, nikomu nie mów wszystkiego – odparł. – Może jeszcze będę jej musiał na panu użyć.

Coś w sposobie, w jaki to powiedział – i nie chodziło o ironię czy niby-złowrogi wydźwięk, lecz jakąś drobną osobliwość w tonie – przypomniało Bryce'owi, że jednak rozmawia z kimś, kto nie jest człowiekiem. Ta wyćwiczona warstewka człowieczeństwa, którą powłókł się Newton, może być naprawdę bardzo cienka. Jak werniks. A to, co jest pod spodem – jego naprawdę anteańska natura – może być dla Bryce'a całkowicie niedostępne. Dla Bryce'a czy dla dowolnego

człowieka na Ziemi. To, jak ten Newton czuje, jak myśli, może być poza zasięgiem jego rozumu, nie do ogarnięcia.

– Obojętne co to za broń – odezwał się ostrożniej – mam nadzieję, że nie będzie pan musiał jej użyć. – A potem znów rozejrzał się wokoło: duży pokój hotelowy, prawie nietknięta taca z trunkami, Newton rozłożony na łóżku. – Jezus – powiedział. – Aż trudno uwierzyć. Siedzę w tym pokoju i jestem prawie pewien, że gadam z człowiekiem z innej planety.

– Tak – odpowiedział Newton. – Też mi to przyszło do głowy. Bo ja też gadam z człowiekiem z innej planety.

Bryce wstał i przeciągnął się. Potem podszedł do okna, rozsunął trochę zasłony, spojrział na ulicę. Wszędzie światła samochodów, prawie się nieporuszających. Naprzeciwko hotelu ogromny, podświetlany billboard przedstawiał Świętego Mikołaja pijącego coca-colę. Od światła migocących żarówek błyskały mu oczy, a napój pobłyskiwał iskierkami. Gdzieś daleko, niewyraźnie, słyszał dzwoneczki grające *Adeste Fideles*.

Odwrócił się z powrotem do Newtona, który tymczasem ani drgnął.

– Czemu mi pan to powiedział? Wcale pan nie musiał.

– Chciałem to panu powiedzieć. – Uśmiechnął się. – Przez ostatni rok sam nie byłem pewien własnych motywów. Nie jestem pewien, czemu chciałem to panu powiedzieć. Anteańczycy nie zawsze wszystko wiedzą. Zresztą pan już i tak się domyślił.

– To znaczy z tych gadek Canuttiego? To był tylko taki strzał po omacku. Normalnie nic by to nie znaczyło.

– Nie chodzi mi o słowa profesora Canuttiego. Chociaż pana reakcja wydała mi się bardzo zabawna. Myślałem, że dostanie pan zawału, kiedy powiedział „Mars”. Ale to pana zmusił do działania, nie mnie.

– Dlaczego pana nie?

– Proszę posłuchać, doktorze Bryce: pomiędzy mną i panem jest wiele różnic, o których nie ma pan pojęcia. Jedna z nich: mój wzrok jest o wiele czulszy niż pański i reaguje na o wiele szersze pasmo częstotliwości. To oznacza, że nie widzę koloru, który nazywacie „czerwonym”. Ale za to widzę promieniowanie rentgenowskie.

Bryce otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nic nie przyszło mu do głowy.

– Kiedy zobaczyłem ten błysk, od razu się domyśliłem, co pan kombinuje. – Zerknął na Bryce’a z zainteresowaniem. – I jak wyszło to zdjęcie?

Bryce poczuł się głupio, jak przyłapany na czymś uczniak.

– Zdjęcie wyszło... nadzwyczajnie.

– Wyobrażam sobie. – Newton skinął głową. – Gdyby pan zobaczył moje organy wewnętrzne, też by się pan parę razy zdziwił. Kiedyś, w Nowym Jorku, poszedłem do muzeum przyrodniczego. Bardzo ciekawe miejsce dla... dla turysty. Przyszło mi do głowy, że tylko ja jeden jestem tam naprawdę unikatowym biologicznym eksponatem, jedynym w całym budynku. Wyobraziłem sobie siebie zakiszonego w słoiku z napisem: *Pozaziemska istota człekokształtna*. Dość szybko potem wyszedłem.

Bryce mimo woli się zaśmiał. A Newton teraz, po swoim wyznaniu, nabrał w jego oczach pewnej otwartości – paradoksalnie wydawał się bardziej „ludzki”, choć właśnie jasno dał do zrozumienia, że zupełnie nie jest człowiekiem. Twarz miał bardziej wyrazistą i zachowywał się swobodniej niż kiedykolwiek. Gdzieś w tle majaczył jednak inny Newton, stuprocentowo anteański, nieprzystępny i obcy.

– Pan chce wrócić tym statkiem na swoją planetę? – zapytał.

– Nie. To nie będzie konieczne. Statek będzie kierowany z samej Antei. Ja niestety zostaję tu na dożywotnim wygnaniu.

– Nie tęskni pan za... swoimi?



– Tęsknię.

Bryce podszedł do fotela i z powrotem usiadł.

– Ale niedługo się pan z nimi zobaczy?

Newton zawahał się.

– Niewykluczone.

– Dlaczego „niewykluczone”? Coś się może nie udać?

– Nie o to mi chodziło. – I dodał: – Mówiłem panu wcześniej, że sam nie jestem do końca przekonany do swoich planów.

Bryce spojrział nań zdziwiony.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Widzi pan – Newton uśmiechnął się nieznacznie – od jakiegoś czasu rozważam przerwanie mojego planu. Żeby statek nigdzie nie poleciał. Nawet budowy bym nie kończył. Wystarczyłoby wydać jedno polecenie.

– Mój Boże, dlaczego?

– Plan był owszem inteligentny, chociaż desperacki. Ale jakie mieliśmy wyjście? – Patrzył wprost na niego, choć chyba go nie widział. – Tylko że teraz trochę inaczej go oceniam. Wasza kultura, wasze społeczeństwo ma pewne aspekty, o których w ogóle nie mieliśmy pojęcia na Antei. Czasem myślę – przesunął się na łóżku, pochylając się ku Bryce'owi – że jeszcze parę lat tutaj i kompletnie zwariuję. Nie jestem pewien, czy moi rodacy będą tu w stanie wytrzymać. Zbyt długo siedzieliśmy w wieży z kości słoniowej.

– Ale przecież możecie się odizolować od świata. Ma pan masę pieniędzy, moglibyście zamknąć się we własnym towarzystwie, stworzyć własne społeczeństwo. – Co on robi? Broni anteańskiej... inwazji? Dopiero co przerażał się jej perspektywą. – Zbudować własne miasto, na przykład w Kentucky.

– I czekać, aż spadną bomby? To już lepiej nam jest na Antei. Tam przynajmniej przeżyjemy jeszcze około pięćdziesięciu lat. Jeśli mamy tutaj żyć, to nie jako izolowana kolonia cudaków.

Musimy się rozproszyć po całym świecie, zająć wpływowe stanowiska. Inaczej przylot tutaj jest głupotą.

– Tak czy owak, to jest dla was ogromne ryzyko? Stawiacie na to, że rozwiążecie nasze problemy, choć boicie się bliższego kontaktu z nami. – Uśmiechnął się sucho. – Proszę bardzo.

– Panie Bryce – powiedział Newton. Przestał się uśmiechać. – Jesteśmy od was o wiele mądrzejsi. Proszę mi wierzyć, mądrzejsi o wiele bardziej, niż jest pan w stanie sobie wyobrazić. I jesteśmy ponad wszelką wątpliwość przekonani, że jeśli zostawimy was samym sobie, wasz świat za maksimum trzydzieści lat będzie poatomową kupą gruzu. – Ciągnął ponuro: – Szczerze mówiąc, z przerażeniem patrzymy na to, co robicie z takim pięknym i żyznym światem. My nasz też zniszczyliśmy, dawno temu, ale i wcześniej mieliśmy o wiele mniej niż wy. – Głos mu się ożywił, mówił z większą emfazą: – Zdajecie sobie sprawę, że zniszczycie nie tylko waszą cywilizację, jakakolwiek by była, ale i zatrujecie ryby w rzekach, wiewiórki na drzewach, ptaki, glebę, wodę? Chwilami w naszych oczach wyglądacie jak oszalałe małpy w muzeum, z nożami, rżnicie obrazy, młotkami rozwalacie rzeźby.

Bryce przez chwilę się nie odzywał. Potem zauważył:

– Ale przecież to ludzie namalowali te obrazy i stworzyli rzeźby.

– Nieliczni ludzie – odparł Newton. – Nieliczni. – Nagle wstał i powiedział: – Chyba mam już dość tego Chicago. Nie chciałby pan wracać do domu?

– Teraz? – Bryce zerknął na zegarek. Jezus Maria, wpół do trzeciej nad ranem. Koniec Bożego Narodzenia.

– Przecież po tym wszystkim i tak pan nie zaśnie?

– Pewnie nie. – Potem, przypomniawszy sobie, co mówiła Betty Jo: – A pan w ogóle nie sypia, prawda?

– Czasami – odrzekł Newton – ale rzadko. – Siadł obok telefonu. – Trzeba będzie obudzić pilota. I zamówić auto, żeby

nas podwiozło na lotnisko...

Okazało się, że trudno jest znaleźć jakiegokolwiek auto – na lotnisko dotarli dopiero po czwartej. Bryce był już półprzytomny i dzwoniło mu w uszach. Newton w ogóle nie okazywał zmęczenia. Jego twarz, jak zawsze, nie zdradzała, o czym myśli.

Uzyskanie zezwolenia na start przeciągało się w nieskończoność wskutek opóźnień i nieporozumień, więc kiedy wreszcie wystartowali i lecieli nad jeziorem Michigan, rozpoczynał się już różowy, łagodny świt.

Do Kentucky dotarli w biały dzień – pogodny zimowy poranek. Podchodząc do lądowania, zobaczyli w pierwszej kolejności intensywnie błyszczący kadłub statku – promu kosmicznego Newtona – wyglądający w porannym słońcu jak wypolerowany pomnik. A później, gdy znaleźli się nad pasem, zaskoczyło ich coś innego – na przeciwnym końcu pasa, obok hangaru, stał elegancko zaparkowany opływowy biały samolot, dwa razy większy od tego, którym lecieli. Na skrzydłach miał znaki Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych.

– Oho – powiedział Newton – ciekawe, kto przyleciał z wizytą.

Idąc do jednoszynówki musieli minąć biały samolot. Bryce mimo woli zachwycił się jego urodą, pięknymi proporcjami i zgrabną sylwetką.

– Gdybyśmy wszystko tak pięknie projektowali – powiedział.

Newton też patrzył na samolot.

– Ale nie projektujecie – odparł.

W milczeniu pojechali jednoszynówką. Bryce'a z niewyspania bolały nogi i ręce, ale głowę miał pełną klarownych, wyrazistych, szybkich obrazów, pomysłów, pojęć, na wpół ukształtowanych myśli.

Powinien był pójść do swojego domu, ale zgodził się, kiedy Newton zaprosił go na śniadanie. Prościej niż szukać we własnym domu czegoś do zjedzenia.

Betty Jo już była na nogach, ubrana w pomarańczowe kimono, z jedwabną chustką na głowie. Minę miała zdenerwowaną, a oczy czerwone i opuchnięte. Otwierając drzwi, powiedziała:

– Proszę pana, w domu są pewni ludzie... nie wiem... – Urwała.

Przeszli do salonu. W fotelach siedziało pięciu mężczyzn. Na widok Newtona i Bryce'a pośpiesznie wstali.

Najważniejszy w tej grupie był Brinnarde. Było trzech innych w garniturach i czwarty w granatowym mundurze, ewidentnie wojskowy pilot. Brinnarde przedstawił ich, urzędowo i bezosobowo. Kiedy skończył, Newton, wciąż stojąc, zapytał:

– Długo czekaliście?

– Nie – odrzekł Brinnarde. – Tak naprawdę to kazaliśmy was przytrzymać na lotnisku w Chicago, żeby zdążyć tu dotrzeć. Bardzo dokładnie to wyliczyliśmy. Mam nadzieję, że to opóźnienie w Chicago nie było zbyt uciążliwe?

Newton nie okazał żadnych emocji.

– Jak wam się udało to zrobić?

– Widzi pan – powiedział Brinnarde – jestem z FBI. A ci ludzie to moi współpracownicy.

W głosie Newtona było słyszalne lekkie wahanie.

– Bardzo interesujące. Czyli jest pan... eee... szpiegiem?

– Pewnie tak. W każdym razie, panie Newton, kazano mi pana aresztować i zabrać stąd.

Newton wziął głęboki, powolny, bardzo ludzki wdech.

– Za co jestem aresztowany?

Brinnarde uśmiechnął się uprzejmie.

– Za nielegalne przekroczenie granicy. Sądzymy, panie Newton, że jest pan imigrantem.

Newton stał, nic nie mówiąc, przez dłuższą chwilę. Potem zapytał:

– A mógłbym najpierw zjeść śniadanie?

Brinnarde zawahał się, potem uśmiechnął się, zadziwiająco przyjacielsko.

– W sumie, czemu nie. My też chętnie coś zjemy. Oni musieli wstać o czwartej, żeby przylecieć tutaj z Louisville na zatrzymanie.

Betty Jo zrobiła im kawę i jajecznicę. Kiedy jedli, Newton zapytał z głupia frant, czy może zadzwonić do swojego prawnika.

– Niestety nie – powiedział Brinnarde.

– A to nie jest zagwarantowane konstytucyjnie?

– Jest. – Brinnarde odstawił filiżankę po kawie. – Ale pan nie ma żadnych praw konstytucyjnych. Jak już mówiliśmy, sądzimy, że nie jest pan obywatelem amerykańskim.

---

3 Dante Alighieri, *Boska komedia*, tłum. J. Korsak (przyp. tłum.).

## rozdział 6

Newton odłożył książkę. Za parę minut przyjdzie lekarz, zresztą i tak nie miał ochoty czytać. W ciągu dwóch tygodni w zamknięciu nie robił prawie nic poza czytaniem. To znaczy, kiedy nie był przesłuchiwany i kiedy nie badali go naukowcy – lekarze, antropolodzy, psychiatrzy – albo faceci w urzędowych garniturach, ewidentnie funkcjonariusze państwowi, choć kiedy pytał, kim są, nigdy mu nie odpowiadali. Ponownie przeczytał Spinozę, Hegla, Spenglera, Keatsa, Nowy Testament, a teraz zabrał się do paru nowych książek lingwistycznych. Przynosili mu każdą pozycję, o jaką poprosił, nadzwyczaj szybko i uprzejmie. Miał także gramofon, z którego rzadko korzystał, bibliotekę filmów, telewizor firmy World Enterprises i barek, za to żadnych okien z widokiem na Waszyngton. Powiedzieli mu, że znajduje się gdzieś w okolicach tego miasta, choć konkretnego miejsca nie podali. Telewizję oglądał głównie wieczorami, trochę z nostalgii, trochę z ciekawości. Zdarzało się, że w wiadomościach padało jego nazwisko – kogoś tak bogatego nie dało się aresztować bez robienia afery. Informacje były jednak pełne ogólników, pochodzących z anonimowych źródeł zbliżonych do władz i pełnych zwrotów typu „są pewne podejrzenia”. Mówiło się, że jest „nielegalnym imigrantem”, ale żadne rządowe źródło nie podawało, skąd jest – albo skąd według nich przybył. Jeden słynący z ciętego humoru komentator telewizyjny rzucił kąśliwie: „Waszyngton nie puszcza pary z ust, nic nie wiadomo. Pan Newton, obecnie

zatrzymany, może według nich równie dobrze pochodzić z Wielkiej Brytanii albo Wielkiej Niedźwiedzicy”.

Uświadamiał sobie także, że te audycje są na pewno monitorowane przez jego przełożonych na Antei, nawet bawiło go nieco wyobrażanie sobie ich konsternacji. Muszą bardzo chcieć się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje.

A tego sam też nie wiedział. Wyglądało na to, że władze są wobec niego bardzo podejrzliwe – i nic dziwnego, zważywszy, ile informacji musiał przekazać im Brinnarde przez półtora roku pracy w charakterze jego sekretarza. Poza tym jako jego prawa ręka na pewno poinstalował we wszystkich miejscach firmy masę szpiegów, więc władze musiały mieć ogromną liczbę informacji o jego poczynaniach i samym projekcie. Parę spraw jednak przed Brinnarde’em zataił – i mało prawdopodobne, by się o nich dowiedział. I tak jednak nie dawało się ustalić, co oni właściwie zamierzają. Chwilami zastanawiał się, co by się stało, gdyby powiedział przesłuchującym: „Tak naprawdę ja jestem przybyszem z kosmosu i zamierzam podbić wasz świat”.

Reakcja mogłaby być ciekawa. Ale raczej nie byłaby to wiara w jego słowa.

Czasem zastanawiał się, co się dzieje z World Enterprises – był kompletnie pozbawiony kontaktu z firmą. Czy Farnsworth nią zarządza? Nie dostawał poczty, nikt do niego nie dzwonił. W pokoju miał telefon, który jednak nigdy się nie odzywał, a jemu nie wolno było z niego dzwonić na zewnątrz. Aparat był bladoniebieski, stał na mahoniowym stoliku. Kilka razy podnosił słuchawkę, lecz zawsze słyszał głos, zapewne nagrany, mówiący, że „Korzystanie z tego aparatu jest ograniczone. Przepraszamy”. Głos był przyjemny, sztuczny i kobiecy. Nigdy nie powiedział, do czego ograniczone jest korzystanie z aparatu. Czasami, gdy był samotny albo trochę pijany – choć pił teraz dużo mniej, wyzbywszy się ogromnej presji – podnosił

słuchawkę tylko po to, żeby usłyszeć ten głos. „Korzystanie z tego aparatu jest ograniczone. Przepraszamy”. Głos był wręcz aksamitny; sugerował nieskończoną uprzejmość i jakąś lekko głupkowatą elektronikę.

Lekarz był jak zawsze punktualny. Strażnik otworzył mu drzwi dokładnie o jedenastej. Miał torbę, towarzyszyła mu pielęgniarka o starannie pozbawionej wyrazu twarzy – twarzy, która jakby mówiła: „Wszystko mi jedno, na co umrzesz, zamierzam być skuteczna w mojej roli”. Była blondynką, według ludzkich norm ładną. A doktor nazywał się Martinez i był fizjologiem.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedział do niego. – W czym mogę panu pomóc?

Lekarz uśmiechnął się z wymuszoną nonszalancją.

– W kolejnym badaniu. Kolejnym drobnym badaniu. – Miał nieznaczny hiszpański akcent.

Newton nawet go lubił, był mniej urzędowy niż większość ludzi, którzy się tu nim zajmowali.

– A myślałem, że już wiecie o mnie wszystko co trzeba. Prześwietlaliście mnie, badaliście krew, limfę, rejestrowaliście fale mózgowo, mierzyliście mnie, pobieraliście próbki kości, tkanki z wątroby i nerek. Chyba już nie mam przed wami żadnych tajemnic.

Lekarz pokręcił głową i zaśmiał się zdawkowo.

– Prawda, szczerą prawdą, że okazał się pan... interesujący. Ma pan dość... niezwykle zestaw organów wewnętrznych.

– Bo jestem osobliwością.

Doktor znów parsknął śmiechem, ale ten śmiech był sztuczny.

– Nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby na przykład miał pan atak wyrostka albo coś podobnego. Nawet nie wiedzielibyśmy, gdzie szukać.

Newton uśmiechnął się do niego.



– Nie byłoby problemu. Ja w ogóle nie mam wyrostka. – Odchylił się w krześle. – Ale pewnie i tak byście mnie zoperowali, żeby mi zajrzeć do środka i zobaczyć, co tam jest jeszcze ciekawego.

– No, nie wiem – odparł lekarz. – To była jedna z pierwszych kwestii, której się o panu dowiedzieliśmy, zaraz po policzeniu palców stóp. Brak wyrostka robaczkowego. Prawdę mówiąc, wielu rzeczy pan nie ma. Korzystaliśmy z bardzo nowoczesnego sprzętu, wie pan. – I nagle zwrócił się do pielęgniarki: – Siostró, proszę podać panu nembukainę.

Newton skrzywił się.

– Panie doktorze. Tyle razy panu mówiłem, że wasze środki nie działają na mój układ nerwowy. Tylko głowa mnie po nich boli. Jeśli chcecie mi robić coś bolesnego, nie ma powodu, żeby jeszcze ten ból zwiększać.

Pielęgniarka, nie zwracając na niego uwagi, zaczęła przygotowywać zastrzyk. Martinez rzucił mu protekcyjny uśmiech, wyraźnie zarezerwowany dla pacjentów, którym wydaje się, że rozumieją arkania medycyny.

– Pan chyba nie ma pojęcia, jak bardzo by bolało, gdyby nie to znieczulenie.

Newton zaczynał się denerwować. Przez ostatnie tygodnie miał coraz silniejsze poczucie, że jest inteligentną istotą maltretowaną przez ciekawskie i nadęte małpy. Tylko że to on siedział w klatce, a małpy przychodziły i odchodziły, badały go i robiły mądre miny.

– Panie doktorze, nie widział pan wyników moich testów na inteligencję?

Doktor położył na biurku teczkę i zaczął wyciągać z niej formularze. Każdy z nich nosił wyraźną pieczęć „Ściśle tajne”.

– Testy na inteligencję to nie moje podwórko. Poza tym, jak pan zapewne wie, wszystkie te informacje są ściśle tajne.

– No tak. Ale pan i tak wie.

Doktor odchrząknął. Zaczął wypełniać jakąś kartę. Data, rodzaj badania.

– Jakież plotki słyszałem.

Teraz Newton był wściekły.

– Wyobrażam sobie. Wyobrażam sobie też, że już wiecie, że przewyższam was inteligencją, mniej więcej dwukrotnie. Więc może byście przyznali, że wiem, czy wasz środek znieczulający działa na mnie, czy nie?

– Bardzo dokładnie zbadaliśmy pana układ nerwowy. Nie ma powodu, żeby nembukaina nie miała na pana działać równie dobrze jak na wszystkich innych.

– Może nie znacie się na układach nerwowych tak dobrze, jak się wam wydaje.

– To akurat możliwe. – Skończył wypełniać kartę i położył na niej ołówek, żeby ją przycisnąć. Nie było to potrzebne, pokój nie miał okien i nie było w nim przeciągów. – Możliwe. Ale to nie moje podwórko.

Newton zerknął na pielęgniarkę, która przygotowała już igłę. Musiała się, na oko, wysilać, żeby nie docierała do niej ta rozmowa. Przez chwilę zastanawiał się, jak oni to robią, że ci ludzie nikomu nie mówią o swoim osobliwym więźniu, a więc trzymają się z daleka od dziennikarzy, a właściwie także od partyjek brydża z kolegami. Może władze izolują każdego, kto przy nim pracuje. To byłoby jednak trudne i kłopotliwe. Wszystko wskazywało jednak na to, że zadają sobie wiele trudu. Stwierdził, że to wręcz zabawne, na jakie szalone spekulacje musi silić się garstka ludzi wiedzących o jego wewnętrznych osobliwościach.

– To jakie jest to pana... podwórko? – zapytał.

Doktor wzruszył ramionami.

– Głównie kości i mięśnie.

– Brzmi ładnie.

Lekarz wziął strzykawkę od pielęgniarki, a Newton poddał się i zaczął podwijać rękaw.

– Niech pan lepiej zdejmie koszulę. Tym razem zajmiemy się pana plecami.

Nie zaprotestował, zaczął rozpinąć guziki. Gdy do połowy zdjął koszulę, usłyszał, jak pielęgniarce zapiera dech. Zerknął na nią. Ewidentnie zbyt dobrze jej nie poinformowali, bo teraz zawzięcie próbowała nie gapić się na jego pozbawioną włosów i sutków pierś. Elementy przebrania wykryli oczywiście bardzo szybko i już ich nie nosił. Ciekawiło go, jak ona zareaguje, gdy znajdzie się na tyle blisko, by zauważyć kształt jego źrenic.

Kiedy zdjął koszulę, pielęgniarka zrobiła mu zastrzyk w mięśnie po obu stronach kręgosłupa. Starła się to robić delikatnie, ból był jednak, jak na jego odczucia, dość dotkliwy. Kiedy skończyła, zapytał:

– A teraz co będziecie robić?

Lekarz zapisał w swojej karcie godzinę wykonania zastrzyku. I odpowiedział:

– Najpierw odczekam dwadzieścia minut, zanim nembukaina... nie zadziała. Potem pobiorę próbki szpiku z pana kręgow.

Newton przez chwilę patrzył na niego w milczeniu. Potem rzekł:

– To jeszcze się pan nie nauczył? W moich kościach nie ma szpiku. Są puste w środku.

– Daj pan spokój – powiedział. – W kościach musi być szpik. Czerwone krwinki...

Newton nie miał zwyczaju przerywać ludziom, tym razem jednak mu przerwał.

– Na szpiku i czerwonych krwinkach się nie znam. Ale o swojej fizjologii pewnie wiem tyle, co pan o swojej. I jestem pewien, że w moich kościach nie ma żadnego szpiku. I to dla mnie żadna przyjemność, dawać się kłuć przez pana, żeby mógł

pan, albo jacyś pana przełożeni, zaspokoić swoją ciekawość co do moich... osobliwości. Z dziesięć razy panu mówiłem: jestem mutantem. Dziwadłem. Nie może pan mi raz uwierzyć na słowo?

– Przykro mi. – Miał minę, jakby naprawdę było mu przykro.

Newton przez chwilę patrzył ponad głową doktora na wiszącą na ścianie kiepską reprodukcję *Starszej kobiety z Arles* van Gogha. Co ma rząd Stanów Zjednoczonych wspólnego ze starszą kobietą z Arles?

– Któregoś dnia chciałbym porozmawiać z pana przełożonymi – powiedział. – A póki czekamy, aż zadziała ta pana niedziałająca nembukaina, chciałbym spróbować swojego środka znieczulającego.

Twarz lekarza pozostała bez wyrazu.

– Dżinu – wyjaśnił Newton. – Dżinu z wodą. Napije się pan razem ze mną?

Lekarz uśmiechnął się odruchowo. Wszyscy dobrzy lekarze reagują uśmiechem na żarty swoich pacjentów, nawet naukowcy-fizjolodzy o należycie przetestowanej lojalności mają się w takich sytuacjach uśmiechać.

– Niestety – odparł. – Jestem w pracy.

Newton zdumiał się własną irytacją. A myślał, że doktora Martineza nawet polubił.

– Ależ panie doktorze. Na pewno jest pan bardzo wysoko opłacanym specjalistą od pana... podwórka i sam ma pan w gabinecie barek z mahoniowym fornirem. Zapewniam pana, że to nie będzie taka dawka alkoholu, żeby drżała panu ręka przy badaniu mojego kręgosłupa.

– Nie mam gabinetu – odpowiedział doktor. – Pracuję w laboratorium. I u nas się w pracy nie pije.

Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu Newton wytrzeszczył nań oczy.

– A. Faktycznie. Pewnie nie. – Zerknął na pielęgniarkę, lecz kiedy ta, wyraźnie skonfundowana, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, dodał tylko: – Rozumiem. Przepisy. – Potem wstał i uśmiechnął się do nich z góry. – To sam się napiję.

Miło było choć przez chwilę nad nimi górować. Podszedł do barku w kącie i nalał sobie pełną szklankę dzinu. Zdecydował, że wodę sobie daruje, bo kiedy rozmawiali, pielęgniarka zasłała stolik białym płótnem i zaczęła rozkładać na nim narzędzia. Było tam kilka igieł, mały nóż, jakby jakieś zaciski, wszystko wykonane ze stali nierdzewnej. I wszystko to pięknie połyskiwało...

\* \* \*

Kiedy lekarz i pielęgniarka poszli, przez ponad godzinę leżał twarzą w dół na łóżku. Nie włożył z powrotem koszuli i plecy miał wciąż nagie, nie licząc bandaży. Było mu trochę zimno – niezwykle odczucie w jego przypadku – ale nie przykrył się niczym. Przez parę minut czuł niezwykle dotkliwy ból; choć już ustał, wyczerpał go niezmiernie – sam ból i poprzedzający go lęk. Zawsze, od najmłodszych lat, najbardziej przerażało go właśnie oczekiwanie na ból.

Przyszło mu do głowy, że oni być może wiedzą, jaki ból mu zadają, że celowo go torturują w ramach jakiegoś nieprzemyślanego prania mózgu, że chcą go w ten sposób złamać. Ta myśl była jeszcze bardziej przerażająca – jeśli to prawda, to oni dopiero się rozkręcają. Było to jednak mało prawdopodobne. Mimo nieustannego zasłaniania się zimną wojną, mimo tyranii, na którą demokracja godzi się w takich chwilach, trudno byłoby im utrzymać to w tajemnicy i uniknąć konsekwencji. A był to rok wyborów. Podczas kampanii w kółko mówiło się o nadużywaniu władzy przez rządzącą partię.

W jednym z przemówień padło nawet jego nazwisko. Parę razy wspomniano o „tuszowaniu afery”.

Jedynym logicznym powodem poddawania go bolesnym badaniom musi być jakaś biurokratyczna ciekawość. Może potrzeba bezsprzecznego udowodnienia, że zgodnie z ich podejrzeniami nie jest człowiekiem – podejrzewali go o to, ale ze względu na absurdalność samej tezy nie mogli się do tego przyznać. Jeśli tak przebiegał tok ich rozumowania, tkwił w nim fundamentalny i oczywisty błąd. Niezależnie od tego, ilu nieludzkich cech się w nim doszukają, zawsze bardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem będzie, że jest nietypowym okazem człowieka, mutantem, cudakiem, dziwadłem – a nie istotą z innej planety. Jakoś nie dostrzegali tego problemu. Co mogli jeszcze znaleźć, zagłębiając się w szczegóły, czego już by nie wiedzieli na poziomie ogólnym? Co mogliby w ten sposób udowodnić? I wreszcie, jeśli to udowodnią, co wtedy zrobią?

Nie obchodziło go to jednak – nie obchodziło go, czego się o nim dowiedzieli, nie obchodziło go, co się stanie z planem opracowanym wiele, wiele lat temu, ponad dwadzieścia, w innej części Układu Słonecznego. Nie zastanawiając się nad tym zbyt, przypuszczał, że i tak wszystko skończone – i nie czuł prawie nic poza ulgą. Obchodziło go tylko jedno – żeby już skończyli z tymi piekielnymi przesłuchaniami i zostawili go w spokoju. Samo uwięzienie nie przeszkadzało mu: pod wieloma względami był to dla niego naturalny sposób życia, o wiele bardziej satysfakcjonujący niż życie na wolności.

## rozdział 7

FBI było uprzejme i w miarę kulturalne, ale po dwóch dniach bezsensownych pytań Bryce był kompletnie wyczerpany, niezdolny nawet wściekać się na pogardę, którą wyczuwał za zasłoną uprzejmości. Gdyby trzeciego dnia go nie wypuścili, pewnie by się rozsypał. Ale nawet za bardzo na niego nie naciskali – czuł, że w ogóle nie mają go za kogoś ważnego.

Trzeciego dnia z rana przyjechał po niego ten sam agent co zawsze, żeby zabrać go z YMCA i przewieźć cztery ulice dalej, do federalnego biura w centrum Cincinnati. Mieszkanie w Imce też przyczyniło się do jego znużenia – gdyby miał FBI za bardziej inteligentnych ludzi, być może uznałby, że celowo go tam ulokowali, by nabawił się depresji w zaniedbanych pomieszczeniach, pełnych ponurych dębowych mebli i niezliczonych chrześcijańskich broszur, do których nikt nigdy nie zajrzał.

Tym razem agent zaprowadził go do innego pokoju, przypominającego gabinet dentystyczny, gdzie pielęgniarz wbijał mu rozmaite igły, mierzył tętno, ciśnienie krwi, a nawet robił zdjęcia rentgenowskie czaszki. A wszystko to w ramach, jak ktoś wyjaśnił, „rutynowej procedury identyfikacyjnej”. Bryce zachodził w głowę, co jego puls ma wspólnego z jakąś „identyfikacją”, wiedział jednak, że nie powinien pytać. Nagle skończyli, a facet, który go przywoził, powiedział, że może już sobie iść. Bryce zerknął na zegarek. Wpół do jedenastej w dzień.

Gdy wyszedł z sali i poszedł korytarzem do głównego wyjścia, zdziwił się po raz kolejny. Agentka prowadziła do tego samego

pomieszczenia Betty Jo. Uśmiechnęła się do niego, ale nic nie powiedziała, a pilnująca poprowadziła ją dalej, prosto do sali.

Zdumiał się własną reakcją. Mimo ogromnego znużenia żołądek ścisnął mu się z ekscytacji, radości niemal, że ją zobaczył – a jeszcze bardziej z tego, że ujrzał jej szczerą twarz i pulchne kształty w tym absurdalnym, męcząco surowym korytarzu biurowca FBI.

Wyszedł przed budynek, siadł na schodach w świetle chłodnego, grudniowego słońca i poczekał na nią. Wypuścili ją dopiero koło południa – wyszła, po czym ociężale, nieśmiało, siadła obok niego. W zimnym powietrzu jej perfumy wydawały się ciepłe – intensywne i słodkie. Przeszedł energiczny młody człowiek z teczką, udając, że ich nie widzi. Bryce odwrócił się do Betty Jo i ze zdumieniem zauważył, że ma opuchnięte oczy, jakby przed chwilą płakała. Popatrzył na nią nerwowo.

– A ciebie gdzie ulokowali?

– W YWCA. – Wzdrygnęła się. – Nie za bardzo mi się tam podobało.

Logiczne, że akurat tam, choć nie przyszło mu to do głowy.

– A mnie w tej drugiej – odparł. – W YMCA. I jak cię traktowali? Znaczący FBI. – Głupio się poczuł, tak rzucając tymi skrótami, YMCA, FBI.

– Może być. – Pokręciła głową, oblizała usta. Spodobał mu się ten gest, miała pełne usta, nieumalowane, ale czerwone od chłodnego powietrza. – Ale pytań mieli całą masę. Wszystkie o Tommy’ego.

Kiedy wspomniała Newtona, poczuł się zakłopotany. Jeszcze nie chciał rozmawiać o Anteańczyku.

Jakby wyczuła jego zakłopotanie. Może sama też się tak czuła? Po chwili dodała:

– Pójdzie pan ze mną na obiad?

– Dobry pomysł. – Wstał, naciągnął płaszcz, potem pochylił się i pomógł jej wstać, chwyciwszy za obie ręce.



Czystym przypadkiem znaleźli przyjemną cichą restaurację i zjedli porządny obiad. Wyłącznie naturalne jedzenie, żadnych syntetyków, na deser była nawet prawdziwa kawa, choć po trzydzieści pięć centów za filiżankę. Oboje mieli jednak pieniędzy jak lodu.

Przy jedzeniu niewiele rozmawiali, w ogóle nie wspominając o Newtonie. Zapytał ją, jakie ma plany, i dowiedział się, że żadnych. Gdy skończyli, dodał:

– I co teraz zrobimy?

Wyglądała teraz lepiej, na bardziej opanowaną i pogodną.

– Może do zoo pójdziemy? – zaproponowała.

– Właściwie czemu nie? – Wydało mu się, że to dobry pomysł.

– Możemy złapać taksówkę.

W zoo było bardzo mało ludzi, pewnie ze względu na sezon bożonarodzeniowy. Bryce'owi bardzo to odpowiadało. Wszystkie zwierzęta siedziały w pomieszczeniach, a oni we dwoje chodzili od budynku do budynku, przyjemnie sobie gawędząc. Jemu podobały się wielkie, groźne koty, zwłaszcza pantery, a jej kolorowe ptaki. Ucieszył się, że tak samo jak on nie przepada za małpami – miał je za nieprzyzwoite zwierzaki – i zdegustowałoby go, gdyby jak wiele innych kobiet uznała je za śliczne i zabawne. Nigdy nie widział w małpach nic zabawnego.

Ucieszył się także, widząc, że na stoisku, akurat przy samym wejściu do akwarium, można kupić piwo. Kupili je i wnieśli do środka – choć tabliczka wyraźnie zabraniała – i usadowili się w półmroku przed wielkim akwarium, w którym pływał gigantyczny sum. Ogromna ryba wyglądała na spokojną, z wąsem godnym mandaryna i szarą, słoniową skórą. Patrzyła smętnie, jak piją piwo.

Chwilę posiedzieli w milczeniu, obserwując suma. W końcu Betty Jo zapytała:

– Jak pan myśli, co Tommy'emu zrobią?

Zdał sobie sprawę, że czekał na poruszenie tego tematu.

– Nie wiem. Ale myślę, że nic złego.

Betty Jo napiła się z kubka.

– Powiedzieli, że on nie jest... nie jest Amerykaninem.

– To prawda.

– Pan wiedział, że nie jest?

Już miał wtrącić, żeby mówiła do niego po imieniu, ale jakoś nie wydało mu się to stosowne.

– To chyba prawda – odparł, zachodząc w głowę, jak go, do cholery, deportują, kiedy dowiedzą się, skąd jest.

– Długo będą go trzymać, myśli pan?

Przypomniał sobie zdjęcie rentgenowskie szkieletu Newtona, potem skrupulatność, z jaką badali go w małym gabinecie dentystycznym – i nagle zrozumiał, dlaczego go badali. Chcieli sprawdzić, czy on też nie jest Anteańczykiem.

– Tak – powiedział. – Myślę, że bardzo długo. Jak najdłużej.

Nie zareagowała. Spojrzał na nią. Trzymała na kolanach papierowy kubek, oburącz, i wpatrywała się weń, jakby zaglądała do studni. Łagodne, rozproszone światło z akwarium nie rzucało cieni na jej twarz, a gładka prostota rysów i poza jej ciała usadowionego solidnie na ławce skojarzyły mu się z piękną rzeźbą. Patrzył na nią w milczeniu, chyba przez bardzo długą chwilę.

Ona nagle spojrzała na niego. Od razu zrozumiał, dlaczego wcześniej płakała.

– Będzie ci go brakowało, prawda? – I dopił piwo.

Jej wyraz twarzy nie zmienił się. Głos miała łagodny.

– Oczywiście, będzie mi go brakowało – powiedziała. – Teraz chodźmy, obejrzymy sobie inne ryby.

I obejrzeni resztę ryb, ale żadna nie spodobała im się tak jak stary sum.

Gdy przyszła pora wracać taksówką do miasta, uświadomił sobie, że nie wie, jaki adres podać taksówkarzowi, że nie ma dla

siebie miejsca. Spojrzał na Betty Jo stojącą obok niego w słońcu i zapytał:

– A ty? Gdzie się zatrzymasz?

– Nie wiem – powiedziała. – Nikogo w Cincinnati nie znam.

– Mogłabyś wrócić do rodziny w... gdzie to było?

– W Irvine. Faktycznie, to niedaleko. – Spojrzała na niego żałośnie. – Ale chyba nie chcę. Nie dogadywaliśmy się za dobrze.

Powiedział, nie myśląc, co sugeruje:

– Może zatrzymasz się ze mną? W jakimś hotelu? A potem, jeśli zechcesz, znajdziemy jakieś mieszkanie?

Przez chwilę miała zdumioną minę – już zaczął się bać, że się obraziła. Potem jednak podeszła o krok bliżej do niego i odpowiedziała:

– O Boże, pewnie, że tak. Myślę, że powinniśmy się trzymać razem, panie doktorze.

## rozdział 8

W drugim miesiącu zamknięcia znów zaczął ostro pić, nie do końca wiedząc, dlaczego. Nie chodziło o samotność, bo, jak kiedyś zwierzył się Bryce'owi, na towarzystwie niezbyt mu zależało. Pozbył się ogromnego stresu, z którym żył przez lata – problemy były tu prostsze, a odpowiedzialność prawie zerowa. Miał tylko jeden problem, który mógłby stać się pretekstem do picia – problem, czy kontynuować plan, czy go przerwać, o ile władze mu kiedykolwiek na to pozwolą. Za często jednak nie zaprzątał sobie tym głowy – wydawało się niezwykle mało prawdopodobne, by kiedykolwiek miał jeszcze coś do powiedzenia w tej kwestii.

Nadal bardzo dużo czytał, a ostatnio zainteresował się literaturą awangardową, zwłaszcza trudną, rygorystyczną formalnie poezją z niskonakładowych pisemek – sestynami, villanellami, balladami; choć przeważnie ubogie w idee i przemyślenia, fascynowały go warstwą językową. Sam nawet spróbował skłecić wiersz, włoski sonet, aleksandrynem, stwierdził jednak, uporawszy się z pierwszą wymęczoną oktawą, że jest przeraźliwie nieutalentowany. Pomyślał, że kiedyś musi spróbować po anteańsku.

Czytał także dużo książek naukowych i historycznych. Dozorcy zaopatrywali go w lektury równie chętnie jak w dżin, nigdy nikt nawet nie mrugnął okiem; na nic, czego zażądał od stewarda, który go karmił i sprzątał apartament, nie musiał czekać dłużej niż dzień. W ogóle usługiwali mu z niebywałą sprawnością i skutecznością. Raz, aby sprawdzić, co będzie,

poprosił o arabski przekład *Przeminęło z wiatrem* – i steward, niewzruszony, przyniósł mu go po pięciu godzinach. Ponieważ nie umiał czytać po arabsku, a powieści w ogóle niespecjalnie go interesowały, użył go jako podpórki na jednej z półek z książkami – tomszcze było bowiem monumentalnie ciężkie.

Tak naprawdę przeszkadzało mu tylko jedno: brak możliwości wyjścia od czasu do czasu na zewnątrz. Chwilami chciałby również zobaczyć się z Betty Jo lub Nathanem Bryce'em, jedynymi ludźmi na całej planecie, których mógł nazwać przyjaciółmi. Coś czuł wobec Antei – na Antei zostawił żonę i dzieci – ale nie było to silne uczucie. Ostatnio w ogóle mało myślał o domu. Stał się tubylcem.

Pod koniec drugiego miesiąca wyglądało na to, że medyczne badania dobiegają końca. Zostało mu po nich parę nieprzyjemnych wspomnień i łagodny, chroniczny ból głowy. A przesłuchania od pewnego czasu stały się nudnymi powtórzeniami – widać było, że kończą się im pomysły na pytania. Mimo to nikomu nie przyszło do głowy zadać mu najbardziej oczywistego z nich: czy jest z innej planety. Był już prawie pewien, że go o to podejrzewają – nikt jednak nie zapytał wprost. Bali się, że ich wyśmieją, czy też był to element jakiejś wyrafinowanej techniki psychologicznej? Chwilami już decydował się powiedzieć im całą prawdę. Pewnie i tak by nie uwierzyli. Mógłby także zacząć utrzymywać, że jest z Marsa lub Wenus i upierać się przy tym, póki nie uznają go za wariata. Choć raczej nie okazaliby się aż tak głupi.

Wtem, pewnego popołudnia, technika diametralnie się zmieniła. Zdziwił się, a potem poczuł także ulgę.

Przesłuchanie zaczęło się jak zwykle – przyszedł człowiek nazwiskiem Bowen, który od samego początku przepytывał go przynajmniej raz na tydzień. Choć żaden z przesłuchujących i badających nie przedstawiał mu się stanowiskiem, Bowen zawsze wydawał mu się o wiele ważniejszą osobą od

pozostałych. Jego asystent był odrobinę sprawniejszy, ubranie miał odrobinę droższe, a oczy odrobinę bardziej podkrążone. Może był jakimś podsekretarzem albo kimś liczącym się w CIA. Oczywiście było także to, że jest bardzo inteligentnym człowiekiem.

Gdy przyszedł, serdecznie się z Newtonem przywitał, usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Newton nie lubił zapachu papierosów, lecz dawno dał sobie spokój ze sprzeciwami. Poza tym pokój był klimatyzowany. Jego asystent usiadł za biurkiem Newtona. Dobrze, że chociaż on nie palił. Przywitał ich obu dość życzliwie, choć nie wstał z kanapy, kiedy weszli. Zauważał, że pod tym wszystkim kryje się niesympatyczna gra w kotka i myszkę. Jednakże wcale nie był tej grze niechętny.

Bowen, jak zawsze, od razu przeszedł do rzeczy.

– Muszę panu wyznać, że jest pan dla nas zagadką. Od początku. Nie mamy nawet pojęcia, skąd pan jest i kim pan jest.

Newton spojrzał mu w oczy.

– Jestem Thomas Jerome Newton, z Idle Creek, Kentucky. Jestem dziwadłem pod względem fizycznym. Mój akt urodzenia jest w sądzie hrabstwa Bassett. Urodziłem się w roku tysiąc dziewięćset osiemnastym.

– To by znaczyło, że ma pan siedemdziesiąt lat. A wygląda pan na czterdzieści.

Newton wzruszył ramionami.

– Mówiłem. Jestem dziwadłem. Osobliwością. Mutantem. Nowym gatunkiem być może. To chyba nie jest przestępstwo, prawda? – Wszystko to już wcześniej mówił, ale nie miał problemu z tym, żeby powtórzyć to po raz kolejny.

– Przestępstwo nie. Ale podejrzewamy, że pana akt urodzenia jest sfałszowany. A to już tak.

– Możecie to udowodnić?

– Raczej nie. Panu wszystko raczej dobrze wychodzi. Skoro udało się panu wynaleźć film Worldcolor, to chyba

sfalszowanie aktu nie byłoby dla pana wielkim problemem. I oczywiście akt z roku tysiąc dziewięćset osiemnastego jest trudno zweryfikować. Świadkowie już nie żyją i tak dalej. Pozostaje parę innych kwestii – na przykład nie udało nam się znaleźć żadnych znajomych z dzieciństwa. Nawet lepiej: w ogóle nikogo, kto by pana pamiętał sprzed pięciu lat. – Zdusił papierosa, a potem podrapał się po uchu, jakby był myślami gdzie indziej.

Newton zastanowił się machinalnie, czy przesłuchujący uczą się swoich technik, na przykład tego drapania się w ucho, w specjalnych szkołach, czy też podłapują to z filmów.

Udzielił tej samej odpowiedzi, co zawsze.

– To dlatego, że byłem takim dziwadłem. Matka prawie nikomu mnie nie pokazywała. Pewnie pan zauważył, że nawet teraz życie w zamknięciu mi nie przeszkadza. W tamtych czasach trzymanie dziecka pod kluczem nie było szczególnie trudne. A w tamtym rejonie Kentucky to już w ogóle.

– I nigdy nie chodził pan do szkoły?

– Nie.

– Mimo to jest pan jednym z najlepiej wykształconych ludzi, jakich w życiu poznałem. – I zanim zdążył odpowiedzieć: – Tak, wiem. Pana umysł też jest osobliwy. – Powstrzymał ziewnięcie. Wyglądał na śmiertelnie znudzonego.

– Dokładnie.

– I do sześćdziesiątego piątego roku życia ukrywał się pan w wieży z kości słoniowej gdzieś na zadupiu w Kentucky. Nikt pana nie widział, nikt o panu nie słyszał? – Bowen uśmiechnął się ze znużeniem.

Teza była oczywiście absurdalna, ale nic już nie mógł na to poradzić. Oczywiście tylko głupi by w to uwierzył, ale przecież musiał mieć jakąś legendę. Mógł zadać sobie więcej trudu, spreparować więcej dokumentów i przekupić paru urzędników, aby stworzyć sobie bardziej przekonującą przeszłość, jednak na

długo przed jego wylotem podjęto decyzję, że nie – uznano, że ryzyko jest większe niż potencjalna korzyść. Już samo znalezienie eksperta, który sfałszuje akt urodzenia było trudne i niebezpieczne.

– Dokładnie. – Uśmiechnął się. – Nikt o mnie nie słyszał, poza paroma osobami z rodziny, które dawno nie żyją, dopóki nie skończyłem sześćdziesięciu pięciu lat.

A Bowen niespodziewanie powiedział coś całkiem nowego.

– I wtedy zaczął pan sprzedawać pierścionki, tak? Od miasta do miasta? – Jego głos zrobił się szorstki. – Zrobił pan, w domu, pewnie z miejscowych materiałów, około stu złotych pierścionków, dokładnie identycznych. I nagle, w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, postanowił pan ni stąd, ni zowąd zacząć nimi handlować, tak?

To go zaskoczyło; dotąd nie wspominali o tych pierścionkach, choć zakładał, że muszą o nich wiedzieć. Uśmiechnął się na samą myśl o absurdalnym wytłumaczeniu, które będzie mu musiał zaserwować.

– Otóż to – powiedział.

– Rozumiem, że złoto wykopał pan na podwórku, kamienie zrobił pan za pomocą „Małego Chemika”, a napis wygrawerował agrafką, tak? I wszystko po to, żeby móc je sprzedać w małych sklepikach jubilerskich za mniej, niż warte są same kamienie?

Newton mimo woli poczuł rozbawienie.

– Bo jestem także ekscentrykiem.

– Ale nie takim – stwierdził Bowen. – Takich ekscentryków nie ma.

– No to jak pan by to wytłumaczył?

Bowen przerwał, by zapalić kolejnego papierosa. Dłoń miał nad podziw spokojną po takim pokazie złości. Potem powiedział:



– Myślę, że przywiózł pan pierścionki ze sobą statkiem kosmicznym. – Uniósł lekko brwi. – I co pan na to?

Newton, mimo wszystko wstrząśnięty, starał się tego nie okazać.

– To interesujące – powiedział.

– Pewnie, że interesujące. A jeszcze bardziej interesujące, kiedy się pamięta, że szczątki dość osobliwego pojazdu znaleźliśmy jakieś pięć mil od miasta, gdzie sprzedał pan pierwszy pierścionek. Może pan tego nie wie, panie Newton, ale ten kadłub, który tam został, nadal promieniował w pewnym paśmie częstotliwości. Musiał przejść przez pasy van Allena.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł Newton. Słabe to było, ale nic innego nie przyszło mu do głowy. FBI okazało się bardziej dokładne i skrupulatne, niż myślał.

Nastąpiła długa pauza. Potem powiedział:

– Gdybym przyleciał tu statkiem, chyba miałbym jakiś lepszy sposób na zdobycie pieniędzy niż sprzedawanie pierścionków?

– Choć dotąd wydawało mu się, że niespecjalnie przejmuje się, czy poznają prawdę o nim, czy nie, ze zdziwieniem stwierdził, że czuje się zakłopotany przez te nowe pytania i ich bezpośredniość.

– A co innego by pan zrobił – powiedział Bowen – gdyby był pan, dajmy na to, z Wenus i potrzebował naszych pieniędzy?

Newton stwierdził, że chyba pierwszy raz w życiu trudno mu mówić spokojnie.

– Skoro Wenusjanie potrafią robić statki kosmiczne, to i pieniądze umieliby podrobić.

– Tylko skąd by na Wenus wytrzasnęli dziesiątkę na wzór?

Newton nie odpowiedział, Bowen zaś sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął mały przedmiot, położył go na stole przed sobą. Asystent uniósł na moment wzrok, czekając, aż ktoś coś powie, pewnie, by to zapisać. Newton zamrugał. Na stole leżało pudełko na aspirynę.

– Fałszywe pieniądze prowadzą nas do czegoś innego.

Wiedział, do czego on teraz zmierza, i nic nie mógł na to poradzić.

– Skąd to wzięliście? – zapytał.

– Jeden z naszych ludzi trafił na to, przeszukując pana pokój hotelowy w Louisville. To było dwa lata temu, zaraz po tym, jak złamał pan nogę w windzie.

– Od jak dawna przeszukujecie moje pokoje?

– Od dawna.

– Więc już dawno musieliście mieć powód, żeby mnie aresztować. Czemu tego nie zrobiliście?

– Ponieważ – wyjaśnił Bowen – chcieliśmy oczywiście najpierw dowiedzieć się, co pan zamierza. Do czego ma służyć ten statek, który pan buduje w Kentucky. Poza tym, jak pan na pewno wie, nie było to takie proste. Dorobił się pan ogromnego majątku, a my nie możemy ot tak sobie bezkarnie aresztować bardzo bogatych ludzi, zwłaszcza jeśli mamy uchodzić za rozsądną władzę, a nasz jedyny zarzut wobec bardzo bogatego człowieka jest taki, że prawdopodobnie przybył z Wenus czy coś w tym stylu. – Nachylił się ku niemu i konfidencjonalnie ściszył głos. – Bo to Wenus, panie Newton?

Newton odpowiedział uśmiechem. W sumie ta nowa informacja prawie nic nie zmieniła.

– Idle Creek, Kentucky. Nigdy nie mówiłem nic innego.

Bowen spojrział z namysłem na pudełko aspiryny. Podniósł je, zważył w dłoni.

– Jak pan zapewne wie, to pudełko jest zrobione z platyny. Przyzna pan, że już to jest niezwykle. Niezwykle jest także, że zważywszy nadzwyczajną... jakość... materiałów i wykonania, jest to, jak to się mówi, bardzo nieudolna imitacja pojemnika na aspirynę Bayera. Na przykład jest o dobre sześć milimetrów za długi, a kolory zupełnie się nie zgadzają. I zawias jest zrobiony zupełnie inaczej niż w bayerowskim. – Zerknął na Newtona. –

Nie jest lepszy, po prostu inny. – Ponownie się uśmiechnął. – Ale najbardziej uderzające jest to, że na pudełku brakuje napisów drobnym drukiem, są tylko faliste linie, które udają tekst.

Newton zaczynał się czuć niezręcznie, wściekły, że zapomniał zniszczyć pudełko.

– I co według pana z tego wynika? – powiedział, świetnie wiedząc, jakie wnioski wyciągnęli.

– Wynika, że ktoś podrobił to pudełko najlepiej, jak mógł, na podstawie reklamy w telewizji. – Parsknął śmiechem. – Z telewizji odbieranej gdzieś na dalekich peryferiach.

– Idle Creek – rzucił Newton – to są dalekie peryferia.

– Podobnie Wenus. Poza tym w drugistorze w Idle Creek można kupić takie pudełko, razem z aspiryną w środku, za dolara. W Idle Creek nie ma potrzeby, żeby robić je sobie samemu.

– Nawet jeśli ktoś jest absolutnym ekscentrykiem i ma bardzo dziwne obsesje?

Bowen wciąż wyglądał na rozbawionego – może własnymi słowami.

– Mało prawdopodobne – powiedział. – W sumie może ja lepiej zakończę tę przepychankę. – Spojrzał uważnie na Newtona. – Jedna rzecz mnie fascynuje, wie pan? Jak to możliwe, żeby ktoś obdarzony pana... inteligencją popełnił aż tyle błędów. Jak pan myśli, dlaczego postanowiliśmy zgarnąć pana właśnie wtedy, gdy był pan w Chicago? Miał pan dwa miesiące na myślenie dlaczego.

– Nie wiem.

– Właśnie, widzi pan? Wygląda na to, że wy – Anteańczycy, tak się nazywacie? – nie do końca potraficie myśleć jak ludzie. Według mnie każdy przeciętny człowiek, czytelnik pisemek kryminalnych, doszedłby do wniosku, że w pańskim pokoju w Chicago, kiedy zwierzał się pan doktorowi Bryce'owi, musiał być mikrofon.

Milczał, oszołomiony, przez pełną minutę. Wreszcie powiedział:

– Rzeczywiście, Anteańczycy nie myślą tak jak wy. Ale też nie zamykalibyśmy kogoś na dwa miesiące, żeby zadawać mu pytania, na które znamy odpowiedzi.

Bowen wzruszył ramionami.

– Nowoczesne rządy działają w tajemniczy sposób. Nikt za nimi nie trafi. To jednak nie był mój pomysł, żeby pana aresztować. To FBI. Ktoś gdzieś na górze spanikował. Przestraszyli się, że chce pan wysadzić świat tym swoim promem kosmicznym. Właściwie od początku mieli taką teorię. Agenci składali raporty z postępów w projekcie, a zastępcy dyrektorów zastanawiali się, czy zaatakuje nim pan Nowy Jork, czy może Waszyngton. – Pokiwał głową z udawanym smutkiem.

– Oni od czasów Edgara Hoovera mają takie apokaliptyczne nastawienie.

Newton gwałtownie wstał i poszedł nalać sobie drinka. Bowen poprosił, żeby zrobił trzy. Potem sam wstał i z rękoma w kieszeniach patrzył przez chwilę w podłogę, kiedy Newton robił drinki.

Podał szklanki Bowenowi i jego sekretarzowi, który, biorąc drinka, odwrócił wzrok. Przyszło mu coś do głowy.

– Ale kiedy FBI usłyszało nagranie mojej rozmowy – bo podejrzewam, że pan ją nagrał – musiało zmienić zdanie co do moich zamiarów?

Bowen pociągnął łyk.

– Prawdę mówiąc, FBI nigdy się o tym nagraniu nie dowiedziało. Po prostu dostali od nas polecenie aresztowania pana. Nagranie nigdy nie wyszło poza mój gabinet.

Kolejna niespodzianka. Ale niespodzianki pojawiały się ostatnio tak szybko, że zdążył się do tego przyzwyczaić.

– Zatem pan może odmówić im wydania tego nagrania?

– Właściwie chyba powinienem to panu powiedzieć: mam zaszczyt być dyrektorem CIA. W pewnym sensie FBI to moi podwładni.

– Więc pan się nazywa... zaraz... van Brugh? Słyszałem o panu.

– My w CIA jesteśmy raczej skryci – powiedział Bowen czy van Brugh. – W każdym razie z tego nagrania dowiedzieliśmy się o panu wszystkiego, czego chcieliśmy. A skoro zwierzył się pan Bryce’owi, stwierdziliśmy, że jeśli pozwolimy FBI pana zgarnąć, a wiedzieliśmy, że są o krok od takiej decyzji, to oni też być może wszystkiego się od pana dowiedzą. Nie chcieliśmy, by tak się stało, bo nie mamy do FBI zaufania. Czasy są niebezpieczne, wie pan. Mogliby rozwiązać nasz wspólny problem, po prostu zabijając pana.

– A wy nie zamierzacie mnie zabić?

– Zastanawialiśmy się nad tym. Ale ja nigdy nie byłem zwolennikiem takiego rozwiązania. Choćby nawet był pan bardzo niebezpieczny, zabić pana to jak zabić kurę znoszącą złote jaja.

Newton dokończył drinka i napełnił z powrotem szklankę.

– Co to ma znaczyć?

– Nasz Departament Obrony kończy już pracę nad całą masą broni balistycznych opartych na danych wykradzionych trzy lata temu z pana dokumentów. Czasy, jak mówiłem, są niebezpieczne i może się pan nam przydać na wiele sposobów. Wy, Anteańczycy, zapewne macie ogromną wiedzę o broni.

Newton milczał przez minutę, wpatrując się w szklankę. Potem powiedział spokojnie:

– Skoro słyszeliście moją rozmowę z Bryce’em, to wiecie, jaki los Anteańczycy sami sobie urządzili. Nie zamierzam przyczyniać się do wszechmocy Stanów Zjednoczonych. Zresztą, nawet gdyby, to nie byłbym w stanie. Ja nie jestem naukowcem. Zostałem wybrany do tej misji ze względu na

fizyczną wytrzymałość, a nie wiedzę. O broni wiem bardzo niewiele, podejrzewam, że mniej niż pan.

– Ale na Antei musiał pan widzieć wasze bronie.

Newton odzyskiwał opanowanie, być może dzięki drinkowi. Już nie czuł, że się tłumaczy.

– A pan widział samochody, prawda? Byłby pan w stanie wytłumaczyć, z marszu, dzikusowi z Afryki, jak zrobić taki samochód? Wyłącznie z miejscowych materiałów?

– Nie. Ale zasadę działania silnika spalinowego bym mu wytłumaczył. O ile znalazłbym w dzisiejszej Afryce jakiegoś dzikusa. I gdyby ten dzikus był inteligentny, mógłby coś z taką informacją zrobić.

– Pewnie się zabić – odparł Newton. – W każdym razie niczego takiego nie zamierzam panu powiedzieć. Obojętne, co pan z tą informacją robi. – Dopił kolejną szklankę. – Pewnie moglibyście spróbować tortur.

– Niestety. Strata czasu – powiedział van Brugh. – Widzi pan, od dwóch miesięcy męczymy pana głupkowatymi pytaniami. To swego rodzaju psychoanaliza. Mamy tu kamery rejestrujące częstotliwość mrugania powiekami i inne tego typu rzeczy. Doszliśmy do wniosku, że tortury na pana nie zadziałają, że pod wpływem bólu bardzo szybko by pan zwariował. A z drugiej strony o pana konstrukcji psychologicznej, poczuciu winy, niepokojach i tak dalej, nie wiemy na tyle dużo, by zastosować odpowiednie pranie mózgu. Podawaliśmy też panu najrozmaitsze środki – nasenne, narkotyczne – i żadne nie zadziałały.

– No to co zrobicie? Zastrzelicie mnie?

– Nie. Niestety nawet tego nam nie wolno. Musielibyśmy mieć zgodę prezydenta, a on jej nie udzieli. – Uśmiechnął się ze smutkiem. – Widzi pan, po rozważeniu wszystkich kosmicznych zagadnień i czynników na koniec wszystko sprowadza się do normalnej, ziemskiej polityki.

– Polityki?

– Tak się składa, że mamy rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty ósmy. Rok wyborczy. Prezydent już prowadzi kampanię, chce zostać wybrany na drugą kadencję, a wie z dobrych źródeł – wiadomo panu, że od Watergate nie zmieniło się nic i że prezydent wykorzystuje nas, CIA, do szpiegowania drugiej strony? – że jeśli nie postawimy panu porządnym zarzutów, albo nie zwolnimy pana z odpowiednimi przeprosinami, republikanie zrobią z pana sprawy aferę godną afery Dreyfusa.

Newton nagle parsknął śmiechem.

– Że jak mnie zastrzelicie, prezydent może przegrać wybory?

– Amerykańskie Stowarzyszenie Przemysłowców już się spotkało z republikanami i powiedziało im, co o tym myśli. A ci dżentelmeni, zapewne pan wie, mają ogromne wpływy. I chronią swoich.

Newton śmiał się coraz głośniej. Chyba po raz pierwszy w życiu naprawdę śmiał się w głos. Nie chichotał, nie prychał, nie parskał – śmiał się tubalnie i głośno. Wreszcie wykrztusił:

– Czyli będziecie musieli mnie wypuścić?

Van Brugh uśmiechnął się ponuro.

– Jutro. Jutro pana wypuszczamy.

## rozdział 9

Od ponad roku coraz trudniej było mu stwierdzić, jaki ma pogląd na jakąś kwestię. To nie było typowe dla Anteańczyków, musiał tego nabrać na Ziemi. Piętnaście lat uczył się mówić po angielsku, zapinać guziki, wiązać krawat, uczył się statystyk znanych baseballistów, marek samochodów i niezliczonych innych informacji, z których tak wiele okazało się zbędnymi. I przez cały ten czas nigdy nie dręczyły go wątpliwości, nigdy nie kwestionował planu, do którego realizacji go wybrano. A teraz, po pięciu latach fizycznego przebywania pomiędzy ludźmi, nie był w stanie dojść, co sądzi choćby w tak prostej kwestii jak wypuszczenie z więzienia. Co do samego planu – nie wiedział, co o nim myśleć, więc w ogóle o nim nie myślał. Bardzo ludzki się stał.

Tego dnia z rana dostał z powrotem elementy swojej charakteryzacji. Dziwnie się czuł, znów wkładając je na siebie, przed wyjściem na świat. Głupie to było – przed kim niby miał się teraz ukrywać? Mimo to cieszył się, że znów założy soczewki kontaktowe nadające jego oczom bardziej ludzki wygląd. Zawarte w nich filtry chroniły go przed nazbyt jaskrawym światłem, na które nie pomagały nawet nieustannie noszone przezeń ciemne okulary. A gdy je założył i zerknął w lustro, poczuł ulgę, że znów wygląda jak człowiek.

Mężczyzna, którego pierwszy raz widział na oczy, wyprowadził go z pokoju i poprowadził korytarzem oświetlonym jaskrawymi świetlnymi płytami – także patent W.



E. Corporation – i pilnowanym przez uzbrojonych żołnierzy. Weszli do windy.

Światło w windzie było boleśnie intensywne. Włożył ciemne okulary.

– Co powiedzieliście gazetom o tej całej sprawie? – zapytał, mimo że niespecjalnie go to interesowało.

Mężczyzna, choć dotąd milczący, okazał się całkiem przyjazny. Był niski, przysadzisty i miał kiepską cerę.

– To nie moja działka – zaczął życzliwie – ale z tego co pamiętam, powiedzieli, że jest pan zatrzymany w areszcie dla ochrony, bo pana praca ma strategiczne znaczenie dla obronności. Czy coś w tym rodzaju.

– Będą na mnie czekać dziennikarze? Po wyjściu?

– Myślę, że nie. – Winda zatrzymała się. Drzwi otworzyły się na kolejny strzeżony korytarz. – Wypuścimy pana dyskretnie, jak to się mówi, tylnymi drzwiami.

– Już teraz?

– Za jakieś dwie godziny. Zostały nam pewne rutynowe procedury. Musimy pana przygotować do wyjścia. Po to tu jestem. – Szli dalej korytarzem, bardzo długim i jak wszystko w tym budynku, zbyt jasno oświetlonym. – Proszę powiedzieć – zapytał – za co pana w ogóle zatrzymano?

– To pan nie wie?

– U nas takich rzeczy raczej się nie rozpowiada.

– Pan van Brugh nie informuje was o takich rzeczach?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Van Brugh nikomu niczego nie mówi, chyba że prezydentowi, a i to tylko tyle, ile akurat ma ochotę powiedzieć.

Na końcu korytarza – a może tunelu, tego nie był pewien – były drzwi, przez które weszli do pomieszczenia przypominającego zbyt duży gabinet dentystyczny. Niesamowicie czysty, wyłożony bladożółtymi kafelkami. Na środku stał fotel podobny do stomatologicznego, otoczony

kilkoma niebezpiecznie nowymi maszynami. Stały przy nich dwie kobiety i mężczyzna, w pogotowiu, uprzejmie uśmiechnięci, ubrani w pasujące do kafelków jasnożółte kitle.

Spodziewał się zobaczyć van Brugha – nie do końca wiedział dlaczego – ale go tu nie było.

Agent, który go prowadził, wskazał mu fotel. Uśmiechnął się szeroko.

– Wiem, że to strasznie wygląda, ale naprawdę nic bolesnego nie planujemy. Parę rutynowych badań, w większości w celach identyfikacyjnych.

– Mój Boże – powiedział Newton. – Jeszcze za mało mnie badaliście?

– To nie byliśmy my, proszę pana. Przykro mi, jeśli niektóre badania się powtórzą. Tu jest FBI i musimy zebrać informacje do naszych akt. Wie pan: grupa krwi, odciski palców, EEG, tego typu rzeczy.

– No dobrze. – Usiadł zrezygnowany w krześle. Van Brugh mówił, że rządy działają tajemniczo i nikt za nimi nie trafi. W każdym razie za długo to nie potrwa.

Przez chwilę szturchali go i atakowali igłami, sprzętem fotograficznym i różnymi metalowymi przyrządami. Założyli mu na głowę opaskę do mierzenia fal mózgowych, potem na przeguby mankiety mierzące tętno. Niektóre z wyników musiały być zaskakujące, ale nikt z nich nie okazał zdziwienia. Wszystko to było, jak powiedział agent FBI, rutynową procedurą.

A potem, mniej więcej po godzinie, przywieźli kolejną maszynę, ustawili ją bardzo blisko przed nim i poprosili, żeby zdjął okulary. Maszyna miała dwa obiektywy rozstawione jak oczy. Wydawało się, że patrzą na niego badawczo. Wokół każdego była gumowa półkula wyglądająca jak oczodół.

Od razu się przeraził. Jeśli nic nie wiedzą o specyfice jego oczu...

– Co będziecie mi tym robić?

Laborant w żółtym fartuchu wyjął z kieszeni koszuli małą linijkę i przytknął ją do jego nosa. Głos miał beznamiętny.

– Zrobimy panu parę zdjęć – wyjaśnił. – Nic nie będzie bolało.

Jedna z kobiet, uśmiechając się zawodowo, sięgnęła po jego okulary.

– Teraz to na chwilę zdejmujemy...

Szarpnął głową, odsuwając się, i unióśł rękę, by osłonić twarz.

– Zaraz, zaraz. Jakich zdjęć?

Mężczyzna przy aparacie zawahał się. Potem zerknął na agenta FBI, który siedział teraz na krześle pod ścianą. Agent kiwnął przyzwalająco głową. Facet w żółtym kitlu powiedział:

– Właściwie to jednocześnie dwa zdjęcia. Jedno to standardowe zdjęcie identyfikacyjne pana siatkówek, na którym widać układ naczyń krwionośnych. Najlepszy sposób identyfikacji ludzi na świecie. A drugie to rentgen. Chcemy zrobić zdjęcie rowków na pana potylicy – tylnej stronie czaszki.

Newton usiłował wstać z fotela.

– Nie! – powiedział. – Nie wiecie, co robicie.

Przyjacielski agent szybciej, niż Newton się spodziewał, znalazł się za fotelem i posadził go z powrotem. Nie był w stanie się ruszyć. Agent pewnie tego nie wiedział, ale nawet kobieta byłaby w stanie go unieruchomić.

– Bardzo przepraszam – odezwał się – ale musimy zrobić te zdjęcia.

Spróbował się uspokoić.

– Nikt was nie poinformował? Nikt wam nie powiedział o moich oczach? Musicie wiedzieć o moich oczach.

– Co wiedzieć? – zapytał laborant w żółtym kitlu. Zaczynał się niecierpliwić.

– Są wrażliwe na promieniowanie rentgenowskie. To urządze...

– Nikt nie ma takich oczu, żeby widzieć promieniowanie rentgenowskie. – Zaciął usta wyraźnie poirytowany. – Nikt nie widzi na takich częstotliwościach.

Skinął głową na kobietę, która uśmiechnęła się zakłopotana i ściągnęła mu okulary. Zamrugał od jaskrawego światła.

– Ja widzę – powiedział, mrużąc oczy. – Widzę zupełnie inaczej niż wy. – Potem: – Proszę, pokażę wam, jak są zbudowane moje oczy. Puśćcie mnie tylko i dajcie mi zdjąć... soczewki.

Agent FBI nie puścił go.

– Soczewki? – zdziwił się laborant. Nachylił się nad nim i długo patrzył mu w oczy. Wyprostował się. – Pan nie nosi żadnych soczewek.

Zaczynał czuć coś, czego nie przeżywał od bardzo dawna – panikę. Jaskrawe światło stało się opresywne, przytłaczające; wydawało się, że pulsuje w rytm jego serca. Czuł, że mówi bełkotliwie jak pijak.

– To są inne... zupełnie nowe soczewki. Taka błona, nie plastik. Puśćcie mnie na moment, to wam pokażę.

Laborant cały czas miał zaciśnięte usta.

– Nie ma czegoś takiego – burknął. – Mam dwadzieścia lat doświadczenia z soczewkami kontaktowymi i takiego...

Agent FBI za jego plecami powiedział coś pięknego:

– Artur, daj mu spróbować. – I nagle puścił jego rękę. – W końcu płaci podatki.

Newton westchnął.

– Będzie mi potrzebne lusterko. – Zaczął szperać po kieszeniach i nagle znów spanikował. Nie miał ze sobą tych specjalnych szczypczyków do zdejmowania błon z oczu... – Niestety – powiedział, nie zwracając się właściwie do nikogo. – Niestety, nie mam przy sobie specjalnego narzędzia. Może zostało w moim pokoju...

Agent FBI uśmiechnął się cierpliwie.

– Proszę pana – powiedział. – Nie możemy tu siedzieć przez cały dzień. Zresztą, nawet gdybym chciał, nie mam wstępu do pana pokoju...

– No dobrze. A macie może małą pincetkę? Mógłbym spróbować...

Laborant skrzywił się.

– Moment. – Wymamrotał coś jeszcze i zaczął grzebać w szufladach.

W minutę zebrał pokaźną kolekcję błyszczących narzędzi – kleszczyków, pincet i pincetopodobnych urządzeń o nieznanym przeznaczeniu. Rozłożył je na stoliku obok fotela dentystycznego.

Jedna z kobiet już podała Newtonowi okrągłe lusterko. Wziął ze stolika tępo zakończone szczypczyki. Niezbyt przypominały jego własne, ale może się nadadzą. Szczęknął nimi kontrolnie kilka razy. Chyba trochę za duże, ale będą musiały wystarczyć.

Potem stwierdził, że nie jest w stanie utrzymać lusterka nieruchomo. Poprosił kobietę, by mu je potrzywała. Stała bliżej i wzięła lusterko, trzymając je zbyt blisko jego twarzy. Kazał jej się odrobinę cofnąć, potem musiał poprosić o ustawienie go pod innym kątem, żeby widzieć własne oczy. Cały czas je mrużył. Facet w żółtym fartuchu zaczął postukiwać stopą o podłogę. Postukiwał jakby w rytm pulsowania świateł.

Gdy Newton przysunął do oka dłoń ze szczypczykami, palce zaczęły mu potwornie dygotać. Pośpiesznie cofnął rękę. Spróbował jeszcze raz, ale nie był w stanie zbliżyć narzędzia do oka. Dłoń cały czas trzęsła mu się tak, że nie mógł jej opanować.

– Nie mogę – powiedział. – Jeszcze minutkę.

Ręka cofnęła się odruchowo od oka – bał się i tego narzędzia, i własnych, przeklętych, rozdygotanych palców. Szczypce upadły mu na kolana. Poszukał ich niezręcznie, westchnął i spojrzął na agenta FBI, którego twarz nic nie wyrażała.

Odchrząknął, cały czas mrużąc oczy. Te światła muszą być takie jasne?

– Proszę pana – rzekł. – Może mógłbym się czegoś napić? Dżinu?

Tamten roześmiał się nagle. Tym razem jego śmiech nie brzmiał życzliwie. Był obcesowy, zimny, brutalny. Niósł się echem po wykafelkowanym pomieszczeniu.

– Pan da już spokój. – Uśmiechnął się protekcjonalnie. – Pan da już spokój.

Zdesperowany ścisnął szczypce. Gdyby tylko udało się zdjąć choć trochę jedną błonę, nawet gdyby zranił się w oko, to wiedzieliby... Czemu ten van Brugh nie przyszedł i im nie powiedział? Lepiej nawet całkowicie uszkodzić jedno oko niż potraktować oba tą maszyną, tymi obiektywami, które chcą mu zajrzeć w głąb czaszki, dla jakiegoś debilnego celu policzyć rowki po wewnętrznej stronie potylicy, zaglądnąć tam przez oczy, przez jego wrażliwe oczy.

Agent FBI nagle zacisnął mu ręce na przegubach i ramionach – na tych ramionach tak słabych w porównaniu z dowolnym człowiekiem. Wygiął mu je do tyłu i przytrzymał. A wtedy ktoś założył mu na głowę zacisk przytrzymujący skronie.

– Nie! – powiedział cicho. Cały drżał. – Nie! – Nie był w stanie poruszyć głową.

– Przykro mi – powiedział laborant. – Przykro mi, ale musimy panu unieruchomić głowę. – Wcale nie brzmiał, jakby mu było przykro. Przysunął aparat Newtonowi do samej twarzy. Przekręcił gałkę, która przytknęła obiektywy i gumowe kopułki do jego oczu niczym lornetkę.

A Newton, po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni, zrobił coś kompletnie mu obcego i bardzo ludzkiego. Zaczął wrzeszczeć. Z początku nieartykułowanie, potem zaczął wykrzykiwać słowa:

– Nie wiecie, że nie jestem człowiekiem? Nie jestem człowiekiem! – Gumowe kopytka zasłoniły mu całe światło. Nie widział nic i nikogo. – W ogóle nie jestem człowiekiem!

– Proszę o spokój – rzucił agent FBI za jego plecami.

I wtedy nastąpił błysk srebrnego światła, który wydał się Newtonowi jaśniejszy niż letnie słońce w południe dla kogoś, kto wyszedł z ciemnego pokoju i zmusił się do spojrzenia na nie szeroko otwartymi oczyma, póki go nie oślepiło. Potem poczuł, że ucisk na twarz ustał. Wiedział, że odsunęli od niego aparat.

Dopiero kiedy się dwa razy przewrócił, zbadali mu wzrok i stwierdzili, że oślepl.

## rozdział 10

Przez sześć tygodni trzymano go w odosobnieniu w rządowym szpitalu, a rządowi lekarze stawali na głowie, ale zupełnie nic nie wskórali. Komórki światłoczułe na jego siatkówkach zostały prawie całkowicie wypalone, wrażenia optyczne był w stanie odróżniać mniej więcej tak, jak bardzo prześwietlona klisza fotograficzna. Po paru tygodniach potrafił niepewnie odróżnić światło od ciemności i poznać, że postawiony przed nim duży ciemny przedmiot jest dużym ciemnym przedmiotem. Ale to było wszystko. Żadnego rozpoznawania kolorów ani kształtów.

To podczas tego okresu zaczął z powrotem myśleć o Antei. Na początku łapał się na przywoływaniu starych i zatartych wspomnień, głównie z dzieciństwa. Wspomnił pewną przypominającą szachy grę, którą uwielbiał jako dziecko – grało się w nią przezroczystymi sześcianikami na okrągłej planszy – zaczął przypominać sobie zawiłe reguły, według których jasnozielone kostki dominowały nad szarymi, jeśli udało się je ustawić w wielokąty. Przypomnił sobie instrumenty muzyczne, na których uczył się grać, książki, które czytał, zwłaszcza historyczne, wspomnił automatyczne zakończenie dzieciństwa w wieku trzydziestu dwóch anteańskich lat – czterdziestu pięciu według ludzkiej rachuby – przez małżeństwo. Swojej żony sam nie wybrał, choć to się czasami zdarzało: pozwolił, by rodzina zdecydowała za niego. Małżeństwo było udane i całkiem przyjemne. Żadnej namiętności, Anteańczycy nie byli jednak namiętną rasą. Teraz, oślepiony, w amerykańskim szpitalu, zauważył, że myśli



o swojej żonie dużo czulej niż kiedyś. Tęsknił za nią i żałował, że jej tu nie ma. Chwilami płakał.

Nie mogąc oglądać telewizji, czasami słuchał radia. Dowiedział się, że władzom nie udało się utrzymać jego oślepienia w tajemnicy. Republikanie intensywnie wykorzystywali ten wypadek w swojej kampanii. Stawiali to za przykład nadużywania władzy i nieodpowiedzialności.

Po pierwszym tygodniu stwierdził, że nie czuje do nich wszystkich urazy. Jak można się złościć na dzieci? Van Brugh przeprosił go mocno zawstydzony. To wszystko było nieporozumienie; nie wiedział, że FBI nie zostało poinformowane o szczególnych cechach Newtona. Był świadom, że van Brughowi tak naprawdę jest wszystko jedno i że niepokoi go tylko, co Newton powie po wyjściu prasie i jakie nazwiska wymieni. Newton, znużony, zapewnił go, że nic nie powie, jedynie, że to był wypadek. Wypadek nie do uniknięcia. Wypadek, więc nikt nie jest winny.

Potem któregoś dnia van Brugh powiedział mu, że zniszczył nagranie. Od początku wiedział, jak stwierdził, że i tak nikt w to nie uwierzy. Uznają je za fałszywkę, pomyślą, że Newton jest wariatem, wszystko, tylko nie prawda.

Newton zapytał go, czy według niego nagranie jest prawdziwe.

– Dla mnie oczywiście tak – powiedział cicho van Brugh. – Wie o nim co najmniej sześć osób i wszystkie w to wierzą. Między innymi prezydent, sekretarz stanu. Ale zniszczymy te nagrania.

– Dlaczego?

– Bo... widzi pan – van Brugh zaśmiał się zimno – powodów jest wiele, ale między innymi taki, że nie chcemy zapisać się w historii jako największa banda świrów, jaka kiedykolwiek rządziła tym krajem.

Newton odłożył książkę, na której uczył się Braille'a.

– Czyli będę mógł kontynuować pracę? W Kentucky?

– Być może. Nie wiem. Nie spuścimy pana z oka do końca pańskiego życia. Ale jeśli do władzy dojdą republikanie, to ktoś inny zajmie moje stanowisko. I wtedy nie wiem.

Newton wziął książkę z powrotem. Na moment, po raz pierwszy od wielu tygodni, zainteresował się tym, co się dzieje wokół niego. Lecz to zainteresowanie wygasło równie nagle, jak się pojawiło. Wygasło bez śladu. Zaśmiał się cicho.

– To ciekawe – powiedział.

\* \* \*

Gdy wychodził ze szpitala, prowadzony przez pielęgniarkę, czekał na niego tłum ludzi. W jaskrawym słonecznym świetle dostrzegał ich sylwetki i słyszał głosy. Ktoś, zapewne policja, utorował mu korytarz wśród tłumy. Pielęgniarka prowadziła go tamtędy do auta. Słyszał ciche oklaski. Dwa razy potknął się, ale nie upadł. Pielęgniarka prowadziła go bardzo sprawnie. Miała z nim zostać na całe miesiące lub lata, tak długo, jak długo będzie potrzebna. Nazywała się Shirley i, na ile się zorientował, była gruba.

Nagle ktoś chwycił go za rękę i ścisnął ją delikatnie. Przed nim pojawił się tęgi człowiek.

– Miło mi widzieć pana z powrotem, panie Newton. – Głos Farnswortha.

– Dziękuję, Oliver. – Poczul się bardzo zmęczony. – Mamy parę spraw do omówienia.

– Tak. Nie wiem, czy pan wie, ale jesteśmy w telewizji.

– O. Nie wiedziałem. – Rozejrzał się, próbując bezskutecznie odnaleźć kształt kamery. – A gdzie jest kamera?

– Po pana prawej – mruknął Farnsworth.

– Obróć mnie do niej. Ktoś chce mnie o coś zapytać?

Zza jego łokcia dobiegł głos ewidentnie należący do prezentera telewizyjnego.

– Panie Newton, mówi Duane Whitely z CBS. Powie nam pan, jak się czuje, będąc na wolności?

– Nie – odparł Newton. – Jeszcze nie.

Prezenter nie dał się zbić z tropu.

– A jakie ma pan plany na przyszłość? Po tym, co pan właśnie przeszedł?

Newton wreszcie dostrzegł kształt kamery: odwrócił się twarzą do niej, niemal zupełnie niepomny na ludzką widownię, zarówno tu, na miejscu, w Waszyngtonie, jak i przed telewizorami całego kraju. Myślał o zupełnie innej widowni. Uśmiechnął się słabo. Do anteańskich uczonych? Do własnej żony?

– Jak zapewne państwo wiecie – zaczął – pracowałem nad kosmiczną sondą badawczą. Moja firma prowadziła bardzo duży projekt, którego celem było zbudowanie kosmicznego pojazdu i wysłanie go w głąb Układu Słonecznego, aby zmierzył poziom promieniowania, które jak dotąd uniemożliwia podróże międzyplanetarne. – Nabrał tchu i uświadomił sobie, że bolą go ramiona i głowa. Może to znowu skutek ciężenia po tylu tygodniach spędzonych w łóżku. – Kiedy przebywałem w zamknięciu, co zresztą zupełnie mi odpowiadało, miałem czas, by się zastanowić.

– Tak? – wtrącił prezenter, żeby wypełnić czymś ciszę.

– Tak. – Uśmiechnął się łagodnie, znacząco, radośnie wręcz do kamery, do własnego domu. – Stwierdziłem, że mój projekt jest zbyt ambitny. Przerывam go.

**1990:**

Ikar tonie

Nathan Bryce po raz pierwszy odkrył Thomasa Jerome'a Newtona dzięki rolce kapiszonów. A powtórnie odkrył go dzięki płycie gramofonowej. Na płytę trafił równie przypadkowo, jak na kapiszony, ale przynajmniej w tym przypadku od razu wiedział, co to oznacza. Było to w październiku roku 1990, w drugistorze Walgreen w Louisville, parę przecznic od mieszkania, gdzie mieszkali razem Bryce i Betty Jo Mosher. Siedem miesięcy po skromniutkim telewizyjnym przemówieniu pożegnalnym Newtona.

Zarówno Bryce, jak i Betty Jo zdołali odłożyć większą część swoich pensji z World Enterprises i Bryce naprawdę nie musiał na razie pracować, przynajmniej nie przez rok czy dwa. Mimo to zatrudnił się jako konsultant u producenta zabawek edukacyjnych – i z pewną satysfakcją myślał, że jako chemik właśnie zatoczył pełne koło. Któregoś popołudnia, wracając z pracy do domu, wstąpił do drugstore'u. Chciał kupić sznurowadła, ale zatrzymał się w drzwiach, zobaczywszy wielki druciany kosz z płytami i napisem: „Wyprzedaż, 89 centów”. Zawsze był łowcą okazji. Przegrzebał trochę etykiet, przyjrzał się jednej czy dwu, a potem trafił na amatorsko wyglądającą okładkę, która natychmiast, po samym tytule, wpadła mu w oko. Odkąd płyty zmieniły się w małe stalowe kulki, producenci przeważnie pakowali je w plastikowe pudełeczka przyczepione do dużej plastikowej etykiety, z grafiką i standardowym absurdalnym komentarzem, które w dawnych kwadrofonicznych albumach mieściły się na

okładce płyty. Tu jednak etykieta była po prostu kartonowa i nie zawierała obrazka. Aby tanim kosztem dać wrażenie artystyczne, zastosowano banalny trik: opis płyty wydrukowano wyłącznie małymi literami. Brzmiał: *wiersze z kosmosu*. A po drugiej stronie etykiety: *gwarantujemy, że nie zrozumiecie tego języka, i będziecie tego bardzo żałować! siedem wierszy nie z tego świata autorstwa człowieka, którego nazywamy „przybyszem”*.

Bryce bez cienia wahania wziął płytę, żeby ją odsłuchać, wsunął kulkę do rowka i pstryknął włącznikiem. Język, który usłyszał, był naprawdę dziwny – smutny, płynny, pełen długich samogłosek, osobliwie wznoszący się i opadający i kompletnie niezrozumiały. Jednak głos, bez dwóch zdań, należał do T.J. Newtona.

Wyłączył płytę. Na odwrocie okładki widniał napis: „Studio nagrań: Trzecie Odrodzenie, Sullivan Street 23, Nowy Jork”...

„Trzecie odrodzenie” mieściło się na poddaszu, a jego personel składał się z jednej osoby, wyelegantowanego czarnego młodzieńca z sumiastym wąsem. Na szczęście, gdy Bryce wpadł do jego biura, był akurat w przyjacielskim, wylewnym nastroju i chętnie wyjaśnił, że „przybyszem” z płyty był jakiś bogaty świr, Tom Jak-mu-tam, mieszkający gdzieś na Village, albo i nie. Podobno sam przyszedł do studia i z własnej kieszeni sfinansował rejestrację, produkcję i dystrybucję nagrania. Można go tam znaleźć w takiej kawiarni z alkoholem, „Pod Kluczem i Łańcuchem”...

„Pod Kluczem i Łańcuchem” okazało się reliktem z epoki dawnych kawiarni, które wymarły w latach siedemdziesiątych. Garstce udało się przetrwać, bo zainstalowały sobie bar i zaczęły serwować tani alkohol. Nie było już bongosów, nie było ogłoszeń o wieczorkach poetyckich – ich era minęła dawno temu – ale na ścianach wisiały amatorskie obrazy, stały ustawione byle jak tandetne drewniane stoły, a nieliczni klienci

byli starannie wystylizowani na bezdomnych. Ale Thomasa Jerome'a Newtona wśród nich nie było.

Bryce zamówił sobie przy barze whiskey z wodą sodową i pił ją powoli zdeterminowany, by poczekać nawet parę godzin, jeśli będzie trzeba. Dopiero co zaczął drugą, gdy przyszedł Newton. W pierwszej chwili go nie poznał. Był lekko przygarbiony i poruszał się jeszcze bardziej ociężale niż kiedyś. Nosił, jak to on, ciemne okulary, lecz oprócz nich miał białą laskę, a na głowie idiotyczny szary filcowy kapelusz. Prowadziła go pod rękę gruba pielęgniarzka w kitlu. Zaprowadziła go do odosobnionego stolika z tyłu, posadziła i poszła. Newton odwrócił się do baru.

– Dzień dobry, Elbert.

A barman odpowiedział:

– Już przynoszę, tatku.

Otworzył butelkę džinu Gordona, postawił ją na tacy z buteleczką angostury i szklanką, przyniósł wszystko Newtonowi do stolika, Newton wyciągnął banknot z kieszeni koszuli, podał mu go, uśmiechnął się niewyraźnie i rzucił:

– Reszty nie trzeba.

Bryce obserwował go pilnie od baru, gdy po omacku szukał szklanki, znalazł ją i nalał sobie pół miarki džinu oraz solidną porcję angostury. Nie dodał lodu, nie zamieszał drinka, lecz od razu zaczął go popijać. Bryce niespodziewanie zaczął się zamartwiać, niemal w panice. Co właściwie ma mu powiedzieć, teraz, gdy już go odnalazł? Ma podbiec do niego od baru, ze szklanką whiskey w garści i powiedzieć: „Przez ten rok zmieniłem zdanie. Jednak chciałbym, żeby Anteańczycy przejęli władzę nad światem. Poczytałem trochę gazet i już chcę, żeby tak się stało”?

Gdy miał go naprawdę przed sobą, te słowa wydały mu się kompletnie absurdalne – a do tego Newton wyglądał teraz

naprawdę żałośnie. Zupełnie jakby tamta rozmowa w Chicago odbyła się we śnie albo na innej planecie.

Gapił się na Anteańczyka chyba przez bardzo długi czas, wspominając, kiedy ostatni raz widział Statek, newtonowski prom kosmiczny. Z góry, z wojskowego samolotu, który zabierał go z ośrodka w Kentucky razem z Betty Jo i pięćdziesięcioma innymi osobami.

Na chwilę, gdy nad tym rozmyślał, prawie zapomniał, gdzie jest. Przypomniał sobie ten piękny, ogromny i dziwny statek budowany na polu w Kentucky, przypomniał sobie, jaką przyjemność sprawiała mu praca nad nim, jak bardzo był pochłonięty rozwiązywaniem problemów wytrzymałości metali, powłok ceramicznych, temperatury, ciśnienia, jak czuł, że wreszcie zaangażowano go do czegoś ważnego, czegoś istotnego. Pewnie teraz części statku zaczęły już rdzewieć – o ile FBI nie zapakowało wszystkiego w folię termokurczliwą i nie wysłało *ad acta* do jakiejś piwnicy pod Pentagonem. Obojętne jednak, co się z nim stało, to nie był pierwszy w historii świata pomysł na zbawienie, który przepadł po kontakcie z biurokracją. Wprawiawszy się rozmyślaniami w odpowiedni nastrój, pomyślał: a co tam, cholera. Wstał, podszedł do stolika Newtona i powiedział spokojnym i zdecydowanym głosem:

– Dzień dobry.

Głos Newtona wydawał się równie spokojny.

– Nathan Bryce?

– Tak.

– No... – Newton dopił trzymanego w dłoni drinka. – Cieszę się, że pan przyszedł. Tak myślałem, że któregoś dnia pan wpadnie.

Z jakiegoś powodu jego ton – pewnie ta jego nonszalancja – kompletnie wytrącił Bryce'a z równowagi. Poczul, że robi mu się nieswojo.

– Trafiłem na tę pana płytę – powiedział. – Z wierszami.



Newton uśmiechnął się niewyraźnie.

– Tak? I jak się panu spodobały?

– Nie za bardzo. – Starał się, by to zabrzmiało bezpośrednio, tymczasem wypadło małostkowo. Odchrząknął. – A po co pan ją w ogóle nagrywał?

Newton dalej się uśmiechał.

– To jest niesamowite, w jak nieprzemyślany sposób postępują ludzie – powiedział. – Przynajmniej tak mi powiedział jeden człowiek z CIA.

Zaczął nalewać sobie kolejną porcję dżinu; Bryce zauważył, że bardzo drżą mu przy tym ręce. Trzęsącą się dłonią odstawił butelkę.

– To nagranie to nie są żadne anteańskie wiersze. To coś jakby list.

– List? Do kogo?

– Do mojej żony. I do części tych mądrych ludzi na Antei, którzy szkolili mnie do misji... do tego życia tutaj. Liczyłem, że może któregoś dnia ktoś ją puści w radiu na ultrakrótkich falach. Bo widzisz, tylko one docierają do innych planet. Ale, o ile wiem, jeszcze nikt jej nie puścił.

– I co pan w nim powiedział?

– Hmm. „Do widzenia”. „Idźcie w cholerę”. Tego typu rzeczy.

Bryce czuł się coraz bardziej niezręcznie. Przez chwilę żałował, że nie wziął ze sobą Betty Jo. Byłaby świetna, od razu przywróciłaby normalność, wszystko stałoby się normalne i do zniesienia. Betty Jo sądziła jednak, że jest w Newtonie zakochana, a to mogłoby się okazać jeszcze gorsze. Milczał, za żadne skarby nie wiedząc, co ma powiedzieć.

– No... Nathan... mogę ci mówić po imieniu, prawda? Znalazłeś mnie, dobrze, i czego ode mnie oczekujesz?

Uśmiechnął się, za okularami, pod tym kretyńskim kapeluszem. Jego uśmiech wydawał się stary jak świat; w ogóle nie był to ludzki uśmiech.

Bryce poczuł nagle onieśmienie, tym uśmiechem, tym ponurym, potwornie znużonym tonem głosu Newtona. Zanim odpowiedział, nalał sobie drinka, niechcący szczękając butelką o szklankę. Potem wypił go, patrząc prosto na Newtona, w płaskie, matowe, zielone szkła jego okularów. Ścisnął oburącz plastikową szklankę, trzymając łokcie na stole, i powiedział:

– Newton, ja chcę, żebyś uratował nasz świat.

Uśmiech Newtona nie zmienił się. Odpowiedział od razu:

– Nathan, a warto go ratować?

Nie przyszedł tutaj przerzucać się ironicznymi stwierdzeniami.

– Tak – odparł. – Myślę, że warto. Ja w każdym razie chciałbym dożyć swoich dni.

Newton gwałtownie wychylił się z krzesła w stronę baru.

– Elbert – zawołał. – Elbert?

Barman, niski mężczyzna o smutnej ściągniętej twarzy, ocknął się z marzeń na jawie.

– Tak, tatku? – zapytał łagodnie.

– Elbert – powiedział Newton – ty wiesz, prawda, że nie jestem człowiekiem? Wiesz, że jestem z innej planety, która nazywa się Antea, i przyleciałem tu statkiem kosmicznym?

Barman wzruszył ramionami.

– Coś tam słyszałem.

– To wszystko prawda. Tak właśnie było.

Zawahał się, a Bryce wytrzeszczył na niego oczy zszokowany nie tyle jego słowami, ile ich dziecinnym, niedojrzałym, głupkowskim tonem. Co oni mu zrobili? Oślepił czy coś jeszcze?

Newton po raz kolejny zawołał barmana.

– Elbert, a wiesz, po co przyleciałem na waszą planetę?

Tym razem barman nawet nie podniósł wzroku.

– Nie, tatku, nie. Nie słyszałem.

– Przyleciałem was uratować. – Mówił wyraźnie, ironicznie, choć w głosie czuło się nutę hysterii. – Przyleciałem was wszystkich uratować.

Bryce widział, że barman uśmiechnął się. I nie wychodząc z baru, odparł:

– Tatku, to lepiej bierz się za to, i to już. Nas trzeba już ratować.

Wtedy Newton zwiesił głowę. Bryce nie wiedział: ze smutku, wstydu czy rozpacz.

– To prawda – odrzekł prawie szeptem. – Nas trzeba już ratować.

Uniósł wzrok i uśmiechnął się do Bryce'a.

– Masz kontakt z Betty Jo?

Zbiło go to z tropu.

– Tak...

– Co u niej słychać? Jak się czuje?

– Dobrze. Ale tęskni za tobą. – I dodał: – Tak jak mówi pan Elbert, nas trzeba ratować, i to już. Zrobisz to?

– Niestety. Przykro mi.

– Nie ma żadnej szansy?

– Nie ma. Oczywiście, że nie ma. Władze wszystko o mnie wiedzą...

– Powiedziałeś im?

– Możliwe, że tak, ale to raczej niczego nie zmieniło. Wiedzieli od dawna. Chyba byliśmy naiwni.

– Kto? Ja i ty?

– Ty. Ja. Ludzie z mojej planety, mądrzy ludzie... – Zawołał półgłosem: – Byliśmy naiwni, Elbert.

Elbert odpowiedział równie cicho:

– Naprawdę, tatku? – Wydawał się autentycznie przejęty, jakby na moment uwierzył w to, co mówi Newton.

– Długą drogę przebyłeś.

– O tak. I to bardzo małym statkiem. Żeglujże, żeglarzu, hej, żeglujże... Podróż trwała bardzo długo, wiesz, Nathan, ale przez większość czasu czytałem.

– No tak, ale nie o to mi chodziło. Odkąd tu jesteś, u nas, przebyłeś bardzo długą drogę. Pieniądze, potem nowy statek.

– Tak, rzeczywiście, zarobiłem ogromne pieniądze. Nadal zarabiam. Nawet coraz więcej. Mam pieniądze w Louisville, w Nowym Jorku, mam pięćset dolarów w kieszeni i rentę od rządu. Jestem waszym obywatelem. Dali mi obywatelstwo. Pewnie nawet zasiłek dla bezrobotnych by mi przysługiwał. A, i przecież, Nathan, World Enterprises cały czas funkcjonuje, chociaż ja w ogóle nim nie zarządzam. World Enterprises.

Bryce, przerażony dziwnym wyglądem i zachowaniem Newtona, nie był w stanie już na niego patrzeć. Wbił wzrok w blat stołu.

– A będziesz w stanie dokończyć statek?

– Myślisz, że mi pozwolą?

– Ktoś tak bogaty jak ty...

– Myślisz, że ja bym chciał to zrobić?

Bryce uniósł wzrok.

– No właśnie, chciałbyś?

– Nie. – Jego twarz nagle przybrała swój dawniejszy, spokojniejszy, bardziej ludzki wygląd. – A może tak, Nathan. Chcę. Ale za mało chcę. Za mało.

– A co z twoimi rodakami? Rodziną?

Znów ten nieziemski uśmiech.

– Pewnie wszyscy umrą. Ale i tak raczej was przeżyją.

Bryce'a zaskoczyły własne słowa:

– Boże, czy jak uszkodzili ci wzrok, to uszkodzili ci też rozum?

Mina Newtona nie zmieniła się.

– Nie masz w ogóle pojęcia o moim rozumie, Nathan. A to dlatego, że jesteś człowiekiem.

– Zmieniłeś się.

Newton zaśmiał się chicho.

– W co, Nathan? Zmieniłem się w coś nowego czy z powrotem w coś starego?

Bryce nie wiedział, co odpowiedzieć, więc się nie odezwał.

Newton nalał sobie odrobinę i postawił szklanę na stole. Potem powiedział:

– Ten świat jest skazany na zagładę jak Sodoma, a ja zupełnie nic nie mogę na to poradzić. – Zawahał się. – No tak, część umysłu mi uszkodzili.

Bryce, chcąc jakoś zaprotestować, wyjąkał:

– Ale... statek...

– Statek jest do niczego. Trzeba go było skończyć na czas. Teraz jest go za mało. Nasze planety dopiero za siedem lat będą tak blisko. Teraz już się oddalają od siebie. A po drugie, Stany Zjednoczone nigdy nie pozwolą mi go dokończyć. Nawet jeśli, to nie pozwolą mi go uruchomić. A gdybym go uruchomił, aresztują wszystkich Anteańczyków, którzy przylecą nim z powrotem. I pewnie oślepią. I uszkodzą im mózgi.

Bryce dopił drinka.

– A mówiłeś, że masz broń.

– No, mówiłem. Kłamałem. Nie mam żadnej broni.

– Czemu miałbyś kłamać...?

Newton nachylił się ku niemu, ostrożnie opierając się łokciami o stół.

– Oj, Nathan, Nathan. Bałem się ciebie. Wtedy. I teraz też się boję. Przez każdą sekundę na tej planecie bałem się wszystkiego. Na tej potwornej, przepięknej i przerażającej planecie, całej pełnej ludzi, dziwacznych stworzeń i ogromnych ilości wody. Teraz też się boję. Boję się tu umrzeć.

Zamilkł, a gdy Bryce dalej nic nie odpowiedział, kontynuował:

– Nathan, pomyśl, że przez sześć lat żyjesz wśród małych. Albo wśród owadów, wśród błyszczących, krzątających się,

bezmyślnych mrówek.

Bryce na parę minut poczuł niezwykłą jasność umysłu.

– Myślę, Newton, że kłamiesz. Nie jesteśmy dla ciebie jak owady. Może kiedyś byliśmy, ale teraz już nie.

– Ach tak, oczywiście, kocham was. Niektórych. Ale i tak jesteście jak owady. Być może jestem już bardziej podobny do was niż do siebie. – Rzucił mu swój dawny, drwiący uśmiech. – W końcu ludzie to moja specjalność. Moje podwórko. Całe życie was badam.

Barman niespodziewanie zawołał do nich:

– Panowie, nie chcecie czystych szklanek?!

Newton osuszył swoją.

– Absolutnie – powiedział. – Dwie czyste szklanki, Elbert.

Gdy Elbert przecierał stół wielką pomarańczową ścierką, Newton dodał:

– Elbert? Postanowiłem, że jednak nie będę was ratować.

– No to szkoda. – Elbert postawił szklanki na wilgotnym blacie. – Przykro mi to słyszeć.

– Szkoda, prawda? – Wymacał świeżo postawioną butelkę, nalał. A nalewając, zapytał: – A... Nathan, a często się widzisz z Betty?

– Tak. Betty Jo i ja mieszkamy razem.

Newton upił łyk dżinu.

– Jako kochankowie?

Bryce zaśmiał się cicho.

– Tak, jako kochankowie.

Twarz Newtona stała się beznamiętna. Bryce dawno nauczył się, że to maska skrywająca uczucia.

– Czyli życie toczy się dalej.

– Rany boskie, a czego się spodziewałeś? – zdziwił się Bryce. – Oczywiście, że życie toczy się dalej.

Newton nagle roześmiał się. Bryce aż osłupiał – nigdy nie słyszał, żeby on się śmiał. Newton, wciąż dygocąc ze śmiechu,

powiedział:

– No to bardzo dobrze. Nie będzie już taka samotna. A gdzie ona jest?

– W domu, w Louisville, z kotami. Pewnie pijana.

Głos Newtona uspokoił się już.

– Kochasz ją?

– Wygłupiasz się – burknął Bryce. Nie spodobał mu się ten śmiech. – To dobra kobieta. Jestem z nią szczęśliwy.

Newton uśmiechnął się teraz łagodnie.

– Nathan, nie zrozum źle tego, że się śmiałem. Pomyślałem po prostu, że to świetnie, że wam się udaje we dwoje. Wzięliście ślub?

– Nie. Ale myślałem o tym.

– Zdecydowanie powinieneś się z nią ożenić. Ożenić się i pojechać w podróż poślubną. Potrzebujesz pieniędzy?

– Nie to mnie powstrzymało. Ale trochę pieniędzy by mi się przydało. Chcesz mi dać?

Newton znów się zaśmiał. Wyglądał na bardzo ucieszonego.

– Oczywiście, jak najbardziej. Ile potrzebujesz?

Bryce napił się.

– Milion dolarów.

– Wypiszę ci czek. – Newton pomacał się po kieszeni koszuli, wyciągnął książeczkę czekową, położył ją na stole. Była z banku Manhattan Chase. – Dawno temu oglądałem taki program telewizyjny, gdzie był czek na milion dolarów – powiedział. – Dawno. Jeszcze w domu. – Przesunął czek w stronę Bryce'a. – Ty wypisz, ja podpiszę.

Bryce wyciągnął z kieszeni tani długopis i napisał na czeku swoje nazwisko, potem kwotę: \$1 000 000. Potem, starannie: „jeden milion dolarów”. Przesunął książeczkę po stole.

– Wypełnione.

– Musisz pokierować moją ręką.

Wstał więc, obszedł stół, wetknął Newtonowi w rękę długopis i przytrzymał ją, gdy Anteańczyk pisał schludnym, równym pismem: „Thomas Jerome Newton”.

Bryce włożył czek do portfela.

– Pamiętasz – zapytał Newton – taki film, pokazywali go w telewizji, *List do trzech żon*?

– Nie.

– Widzisz, na zdjęciu tego listu uczyłem się pisać odręcznie po angielsku, dwadzieścia lat temu na Antei. Mieliśmy świetny odbiór, ten film odebraliśmy na kilku kanałach.

– Masz ładne, schludne pismo.

Newton uśmiechnął się.

– Oczywiście, że tak. Wszystko bardzo dokładnie robiliśmy. Nic nie przeoczyliśmy, a ja bardzo mocno się starałem, żeby zostać idealną imitacją człowieka. – Odwrócił twarz do Bryce’a, jakby naprawdę go widział: – I oczywiście mi się udało.

Bryce, nic nie mówiąc, wrócił na miejsce. Miał wrażenie, że powinien okazać współczucie czy coś, ale sam nic nie czuł. Nie odezwał się więc.

– To dokąd pojedziecie z Betty Jo, mając tyle pieniędzy?

– No, nie wiem. Może na Pacyfik, na Tahiti? Ale pewnie trzeba by wziąć ze sobą klimatyzator.

Newton znów zaczął uśmiechać się tym swoim nieziemskim, anteańskim uśmiechem.

– Żeby nie trzeźwieć, Nathan?

Bryce spał się.

– Może i tak – powiedział.

Właściwie nie miał pojęcia, co zrobić z milionem dolarów. Przyjęło się, że ludzie się zastanawiają, co by zrobili, gdyby dostali od kogoś milion dolarów, on sam jednak nigdy sobie tego pytania nie zadał. Może faktycznie powinni pojechać na Tahiti, zamieszkać w chacie i nie trzeźwieć, o ile na Tahiti są jeszcze takie chatki. A jak nie, to zatrzymać się tam w Hiltonie.



– To życzę powodzenia. – I potem: – Cieszę się, że mogłem coś zrobić z tymi pieniędzmi. Mam ich całą masę.

Bryce wstał. Poczł się zmęczony i odrobinę pijany.

– A nie ma szansy, żeby...?

Newton uśmiechnął się jeszcze osobliwiej niż przedtem; usta pod okularami i kapeluszem wyglądały jak niezręczna krzywa linia na narysowanej przez dziecko uśmiechniętej buźce.

– Oczywiście, że jest, Nathan. Oczywiście, że jest szansa.

– No... – zaczął Bryce. – Dziękuję ci za te pieniądze.

Przez ciemne okulary nie było widać jego oczu – Bryce miał wrażenie, że Newton patrzy wszędzie naraz.

– Łatwo przyszło, łatwo poszło, Nathan – powiedział. – Łatwo przyszło, łatwo poszło.

I nagle zaczął się trząść. Jego kanciaste ciało pochyliło się, filcowy kapelusz upadł bezgłośnie na stół, odsłaniając kredowobiałe włosy. Potem jego anteańska głowa opadła na chude anteańskie ręce i Bryce zobaczył, że płacze.

Przez chwilę stał w milczeniu, patrząc na niego. Potem obszedł stolik, klęknął, objął jego plecy ramieniem i przytulił łagodnie, czując, jak lekkie ciało dygoce mu w objęciach niczym delikatny, nerwowy, spłoszony ptak.

Podszedł do nich barman. Gdy Bryce uniósł wzrok, powiedział:

– Ten człowiek chyba potrzebuje pomocy.

– Tak – zgodził się Bryce. – Chyba tak.

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

1985: Ikar spada

rozdział 1

rozdział 2

rozdział 3

rozdział 4

rozdział 5

rozdział 6

rozdział 7

rozdział 8

rozdział 9

rozdział 10

1988: Rumpelszyk

rozdział 1

rozdział 2

rozdział 3

rozdział 4

rozdział 5

rozdział 6

rozdział 7

rozdział 8

rozdział 9

rozdział 10

1990: Ikar tonie